

MARIUSZ BŁASZCZAK:
CZASU DO WYBORÓW NIE ZMARNUJEMY



PAZERNOŚĆ LEKARZY BUDZI SZCZEGÓLNĄ NIEUFNOŚĆ PACJENTÓW



MANIFEST „NOWEGO GORBACZOWA", CZYLI CZEGO CHCE ROSJA



WOJNY IZRAELA, WNIOSKI DLA POLSKI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

30 (712) 2026
20–26 lipca 2026
CENA: 13,90 zł
(w tym 8% VAT)



INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
9 772544 269601 30
Numer w sprzedaży do 27 VII 2026 r.

WIELKA GRA

MOCARSTWOWE PLANY UKRAINY

KIJÓW UWAŻA, ŻE WYJDZIE Z WOJNY Z ROSJĄ JAKO „IMPERIUM", KTÓRE BĘDZIE DYKTOWAĆ WARUNKI POLSCE I ZACHODOWI. CZY TO REALNY SCENARIUSZ? JAK POWINNA ODPOWIEDZIEĆ WARSZAWA?

SALTUS
UBEZPIECZENIA

Dbamy o to, co się liczy.



Ubezpieczenie mieszkań i domów jednorodzinnych SALTUS – Mój DOM

Szeroki zakres ochrony, który możesz dopasować do swoich potrzeb.

Oferta dostępna w placówkach Spółdzielczych Kas oraz Banków Spółdzielczych

Informacja o charakterze reklamowym i marketingowym

SIECI spis treści



29 Z Bartłomiejem Chmielowcem *rozmawia Dorota Łosiewicz*



32 Precz z Sikorskim *Dariusz Matuszak*



58 Zdobycie Jerozolimy *Stanisław Płużański*

NA POCZĄTEK

5 **NARODOWE SZCZUCIE**
Bronisław Wildstein

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **RUDY I BRUDY**
MuMa

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **CUDZY PRĄD, WŁASNY HARACZ**
Daniel Obajtek

13 **SKUTECZNY HEDGING?**
Marta Kaczyńska-Zielińska

14 **WALIZKA DAMIANA STANISŁAWSKIEGO**
Michał Korsun

16 **DWA LATA WALKI O PRAWDĘ**
Arkadiusz Mularczyk

16 **SAMOBÓJSTWO KORUPCJĄ PODLANE**
Samuel Pereira

17 **WYPALENI**
Joanna Formela

18 **A JEDNAK UFO**
Ryszard Makowski

TEMAT TYGODNIA

19 **IMPERIUM ZEŁENSKIEGO**
Stanisław Janecki

KRAJ

23 **CZASU DO WYBORÓW NIE ZMARNUJEMY**
Z Mariuszem Błaszczakiem rozmawia Jerzy Szmit

26 **TOTALNE ODKLEJENIE**
Konrad Kołodziejski

29 **KONIEC Z WYKORZYSTYWANIEM NIEWIEDZY PACJENTÓW**
Z Bartłomiejem Chmielowcem rozmawia Dorota Łosiewicz

32 **PRECZ Z SIKORSKIM**
Dariusz Matuszak

35 **GORZKIE ŻNIWA**
Marzena Nykiel

38 **KONFEDERACJA SIĘ ROZPYCHA**
Maciej Walaszczyk

40 **JAK OCALIĆ 6 MILIARDÓW?**
Maciej Pawlicki

42 **WOJNY IZRAELA, WNIOSKI DLA POLSKI**
Z dr. Łukaszem Przybyłą rozmawia Piotr Gursztyn

ŚWIAT

47 **MANIFEST „NOWEGO GORBACZOWA”**
Marek Budzisz

50 **PIERWSZA CÓRA FRANCJI**
Aleksandra Rybińska

OPINIE

52 **TECHNOLOGIA NIE MOŻE SIĘ ROZWIJAĆ KOSZTEM GODNOŚCI CZŁOWIEKA**
Z dr Klaudią Rosińską rozmawia Goran Andrijanić

HISTORIA

55 **KRONIKA ZMIAN KLIMATYCZNYCH**
Grzegorz Górny

58 **JAK ZDOBYCIE JEROZOLIMY PRZEZ KRZYŻOWCÓW ZMIENIŁO BIEG HISTORII**
Stanisław Płużański

SIECI KULTURY

61 **BOHATEROWIE ODKRYWANI POWOLI**
Jolanta Gajda-Zadworna

64 **HITY I KITY**
Piotr Zaremba

KUCHNIA

66 **MOJE SMAKI: WIOLETA BŁAZUCKA**
Jolanta Gajda-Zadworna

67 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

68 **POMIĘDZY KULTEM A KULTURĄ**
Robert Tekieli

70 **WARUNKI DLA UKRAINY**
Wojciech Reszczyński

71 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

72 **TRUD WDZIĘCZNOŚCI**
Aleksander Nalaskowski

73 **ADIÓS MUNDIAL!**
Ryszard Czarnecki

74 **WIĘCEJ DOMOSTW, TYLKO NAS MNIEJ**
Katarzyna Zybertowicz

eprasa.pl efcf109b2d

Gra w kalendarze

Trwająca od miesięcy wielka saga rozstania pomiędzy PiS a środowiskiem Mateusza Morawieckiego zdaje się dobiegać końca. Prezes PiS postawił posłom jasne ultimatum: albo rezygnacja z aktywności w stowarzyszeniach, albo wyrzucenie z szeregów partii. Rzecz dotyczy formalnie wszystkich stowarzyszeń, ale realnie mierzona jest w grupę polityczną byłego premiera. Spośród kilku stowarzyszeń jedynie Rozwój Plus stanowi coraz wyrazistszy, coraz bardziej podmiotowy i ewidentnie bardzo ambitny zalążek nowej siły politycznej. Siły, która już dziś całkowicie samodzielnie, bez oglądania się na Nowogrodzką, formułuje własne komunikaty, własne plany, własny program. Siły, która już dziś, mówiąc my, ma na myśli nie PiS, ale właśnie kręgi krążące wokół Rozwoju Plus.

Zachowując szacunek dla dorobku premiera Morawieckiego, dla jego talentu gospodarczego i również politycznego, trzeba jasno stwierdzić, że jego działania wyraźnie zmierzają do budowy podmiotowej pozycji politycznej, a logicznym końcem tej drogi jest powołanie własnej partii. Są to działania w pełni świadome i tak właśnie mierzone. Musi to dostrzec każdy, choćby elementarnie zorientowany obserwator polityki. Owszem, wiele partii toleruje różnorakie skrzydła, platformy, środowiska, wiele nawet uważa tego typu różnorodność za źródło siły pozwalające osiągnąć efekt „wielkiego namiotu". Tolerancja w tym obszarze w żadnym wypadku nie oznacza jednak akceptacji dla całkowicie samodzielnej polityki w sferze programowej, mniej lub bardziej jawnego negowania rozstrzygnięć ciał decyzyjnych, zgłaszania koncepcji nie tylko nieomówionych, lecz także wręcz otwarcie sprzecznych z propozycjami lidera partii.

A tak było choćby w przypadku afery Szpitala Południowego, gdy prezes Jarosław Kaczyński zaproponował nową formułę komisji zaufania publicznego, a Mateusz Morawiecki tradycyjną komisję śledczą. To samo dotyczy kandydatury prof. Przemysława Czarnka na premiera, której środowisko byłego szefa rządu *de facto* nie zaakceptowało.

Nie chodzi tu o spory wokół konkretnych decyzji, konkretnych nominacji. Tu chodzi o rzecz dużo ważniejszą: o taki poziom niespójności, który uniemożliwia wspólne działanie. W przypadku konfliktu w PiS tak właśnie się zdarzyło, a kolejne próby zażegnania kryzysu, próby wypracowania działającego kompromisu skończyły się jedynie dalszą eskalacją. I żaden poważny lider partii nie może na dłuższą metę tolerować takiej sytuacji, ponieważ wie, że w ten sposób formację czeka jedynie degrengolada. Fakt, że środowisko byłego premiera przywołuje wiele pretensji wobec kierownictwa partii i również wiele argumentów politycznych, mało tu zmienia. W polityce – tak jak na piłkarskim boisku – nie kończy się żadnej większej gry bez siniaków czy nawet kontuzji. I często bywa również tak, że ktoś inny zaczyna grać pierwsze skrzypce, bo zmienił się kontekst, bo to już nowy etap.

Jeśli uznamy, że celem Mateusza Morawieckiego jest „pójście na swoje", pozostaje gra w kalendarze. Optymalnym terminem powołania nowej partii byłaby wiosna 2027 r., ewentualnie jesień br. PiS również to wie i dlatego stara się wymusić przesilenie w okresie wakacyjnym – znacząco utrudni to start nowego ugrupowania. Dlatego kierownictwo partii wystosowało ultimatum w drugiej połowie lipca. W tym scenariuszu we wrześniu nowy projekt nie będzie już miał aury świeżości, a latem wiele wiatru raczej nie złapie.

Rozłam w PiS byłby dla prawicy prawdziwą tragedią. Znacząco ułatwiłby utrzymanie władzy przez Donalda Tuska. Przyniósłby Prawu i Sprawiedliwości poważne osłabienie personalne, oznaczałby ryzyko zmarnowania wielu głosów. Oznaczałby także głębokie, coraz głębsze pęknięcie wewnątrz niemal każdego środowiska niepodległościowego. Ale czasem tak jest, że nie ma innego wyjścia. Być może ten rozłam jest wręcz konieczny. I główny nurt PiS, i rebelianci muszą zobaczyć, gdzie stoją, co mają w ręku, jak to jest działać na własne konto i kto świeci światłem odbitym, a kto własnym. A później, gdy już wszystko stanie się jasne, będzie można myśleć o powrocie do współpracy na zasadach właściwych dla poważnych partii politycznych. Trwanie w obecnej, po prostu patologicznej sytuacji nie ma sensu.

Jacek Karnowski



Reklama | 01/0126/F/ZAL

BRONISŁAW WILDSTEIN

Narodowe szczucie

„Ukrainiec regularnie kradł", „Dlaczego nie kontrolują Ukraińców?", „Ukrainiec deportowany", „Ukrainiec wymachiwał szablą", „Ukrainiec usłyszał zarzuty", „Ukrainiec pobił 27-latka" (okazało się, że ofiara to też Ukrainiec), „Nocny atak Ukraińców" – wprawdzie na rosyjską rafinerię, ale dla czytelnika prześlizgującego się po nagłówkach jawi się jako kolejny przykład przestępstwa wymierzonego w Polaków.

To pierwsza z brzegu garść tytułów zaczerpnięta z jednego prawicowego portalu. I nie jest to strona Grzegorza Brauna czy Leszka Millera, ale medium, które – jak się zdaje – pragnie uchodzić za poważne.

Statystyki przestępczości wśród Ukraińców w naszym kraju nie są wysokie, a konfliktów z Polakami jest wręcz zdumiewająco mało. Nie znaczy to, że przybyły do nas anioły, a wojna powoduje, że grupy kryminalne zza naszej wschodniej granicy poszukują żerowiska w Polsce. W naszym kraju żyje blisko 2 mln Ukraińców. Gdyby tylko promil z nich naruszał prawo, wystarczałoby na codzienną rubrykę kryminalną. Przypomnijmy sobie, jak po realnym otwarciu granicy do Niemiec spore grupy naszych rodaków ruszyły tam „na jumę". I jak oburzaliśmy się stygmatyzowaniem Polaków jako przestępców, co odbijało się w żartach w rodzaju quasisloganu turystycznego: „Jedź do Polski, twój samochód już tam jest". Dowcipy owe miały większe uzasadnienie niż eksponowanie dziś każdego naruszenia prawa przez Ukraińców, co powoduje, że zaczynamy traktować ich jako najbardziej niebezpieczną grupę cudzoziemców w Polsce.

Słuszne oburzenie Polaków przyznaniem przez prezydenta Zełenskiego frontowej brygadzie patronatu UPA uruchomiło coraz bardziej absurdalną spiralę wrogości wobec Ukrainy i jej mieszkańców. Zrozumienie, że obecny prezydent nie z nami, a z Niemcami chce budować strategiczny alians, nie powinno wywoływać poczucia krzywdy, a potrzebę przeorientowania naszej polityki wschodniej na transakcyjną, czyli orientowania jej na doraźne rekompensaty. Nie oznacza to rezygnacji z idei Międzymorza, ale przemyślenie jej i przesunięcie realizacji w czasie.

Rządy i ich polityka się zmieniają, a podstawowe interesy narodów oraz ich położenie pozostają w miarę trwałe. Przenoszenie nawet najbardziej uzasadnionych pretensji do władzy na rządzony przez nią naród nie jest rozumnym podejściem. Wyobraźmy sobie, że Polacy zostają utożsamieni ze służalczą postawą Donalda Tuska w stosunku do Berlina. Niestety polityka Zełenskiego jest dziś w Polsce traktowana jako wybór całego narodu. Prowadzi to do bezsensownej negacji naszej wcześniejszej postawy wobec Ukrainy. W rzeczywistości obecne napięcia w niczym nie kwestionują słuszności pomocy dla zagrożonych egzystencjalnie sąsiadów. Uznawanie, że rację miał wówczas Braun czy Miller, to opcja na rzecz Kremla. To odruchy, które blokują myślenie. Nie Ukraińcy grożą naszej niepodległości, ale Rosjanie. To akurat jeden z niewielu trwałych elementów naszego położenia.

To Moskwie służy eksponowanie wyłącznie tego, co złe w polsko-ukraińskich stosunkach i piętnowanie drugiej strony. Zawsze jesteśmy w stanie znaleźć niewłaściwe zachowania pośród przedstawicieli innych narodów, tak jak oni potrafią je wskazać u nas. Bezsensowna spirala nakręca się, jak teraz między Polakami a Ukraińcami.

Nie podejrzewam redaktorów portalu, z którego zaczerpnąłem inicjalne przykłady, o antyukraiński plan, w ogóle nie podejrzewam ich o nadmiar myślenia. Jest klimat, aby pokazywać, jacy to Ukraińcy są niewdzięczni, to będziemy licytować się przykładami na to i w ten sposób ściągniemy rozgrzanych odbiorców. Jak mało ma to wspólnego z realnym obrazem naszych relacji i jaki będzie miało wpływ na przyszłość – nad tym wspomniani redaktorzy się nie zastanawiają. I możemy mieć pewność, że po ukraińskiej, równie urażonej stronie odpowiedź będzie identyczna. A w Moskwie i Berlinie biją brawo.

Lewicowo-liberalna strona cierpi na atrofię perspektywy wspólnotowej, stronie konserwatywnej grozi jej hipertrofia, a zatem sprowadzenie człowieka wyłącznie do roli reprezentanta zbiorowości. Chrześcijaństwo stanowi odtrutkę na to niebezpieczeństwo, ale w realności konfliktu bywa ono często redukowane do ornamentalnej funkcji.

Na uroczystości upamiętniającej masakry wołyńskie Przemysław Czarnek został zaatakowany za to, że jego partia, gdy była u władzy, pomagała Ukrainie. Oskarżenia te wykrzykiwał współpracownik oskarżonego o szpiegostwo na rzecz Kremla Mateusza Piskorskiego, twórcy prorosyjskiego ugrupowania. Kandydat PiS na premiera odpowiedział, że zawsze bronił pamięci ofiar ukraińskiego ludobójstwa. Nie krytykuję go. Uczestnik życia publicznego powinien reagować na stawiane mu zarzuty. Jednak stan rzeczy, w którym jeden z ważniejszych polityków krajowych musi oficjalnie tłumaczyć się moskiewskiemu lobbyście z pomocy Ukrainie, urasta do rangi metafory, która pokazuje patologię naszej wewnętrznej sytuacji.



Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl efcf109b2d



Sygnalista nadaje

365 dni ***Waldka Żurka*** (i Ewy Wrzosek) – mamy nowe demokratyczne święto. Już cały rok Polska Uśmiechnięta cieszy się tym, że ministrem ds. zapowiedzi rozliczeń jest Waldek Janek Żurek. Chłopak z Chrzanowa (stamtąd była też babiczka). Chluba Technikum Drwalskiego w Brynku. Bohater praworządności (tak jak my ją rozumiemy). Człowiek, który starł zęby w walce z ziobryzmem i neosędzizmem.

„2025 r. był jednym z najtrudniejszych, ale też najważniejszych w moim życiu. Rokiem decyzji, odpowiedzialności i codziennej walki o to, by prawo znów znaczyło prawo [...]. Przed nami jeszcze bardzo dużo pracy. Nie odpuszczamy" – tak podsumował swoją roczną pracę Waldek. Piękne słowa. Tak jak wszyscy demokraci uwielbiamy słuchać jego zapowiedzi, kogo rozliczy. A ładnie sformułowana zapowiedź jest sto razy lepsza nawet niż ta zrealizowana. Bowiem w praworządności (tak jak my ją rozumiemy) liczy się nieuchronność kary, a nie termin jej wykonania. Kiedyś na pewno się uda. A dokładnie wtedy, gdy zostanie zrealizowanych 100 konkretów.

Niepotrzebne zamieszanie wywołała decyzja sądu w sprawie Europejskiego Nakazu Aresztowania dla Zbigniewa Zet (kiedyś Ziobro). Sąd odmówił wydania ENA, bo USA nie należą do Unii Europejskiej. I nigdy – co trzeba podkreślić – nie będą należały. Kraj, którym rządzi Pomarańczowy Tyran, ma zerowe szanse na bycie przyjętym do naszego elitarnego klubu. Chyba że rozliczą praworządnie Trumpa, przeliczą głosy (rekomendujemy metodę dr. Kontka) i potwierdzą, że jedyną prawdziwą prezydentką jest Kamala Harris (pewnie zapomnieliście, kto to – to taka opalona pani, która opiekowała się panem Bidenem). Apelujemy do osób demokratycznych: nie rozpaczajcie z powodu decyzji sądu w sprawie ENA dla Ziobry. Dzięki niej wszyscy dowiedzieliśmy się, że USA to nie Europa i że przez Trumpa stracili szansę na status kandydacki do UE. To cenniejsze niż schwytanie Ziobry.

Odnotujmy też ważne słowa Pana Premiera Donalda Tuska: „Minister Żurek ma skrępowane ręce, taka jest prawda. Przepraszam, powinienem mieć więcej wyobraźni wtedy, kiedy zapowiadałem szybkie rozliczenia". Nie spodziewałem się, że będzie to takie trudne. My też przepraszamy i prosimy o przeproszenie! PS Kto skrępował ręce Waldkowi? Ktoś wie? Będzie nagroda dla autora najlepszej odpowiedzi.

Dążymy do budowy pierwszego polskiego statku kosmicznego – zapowiedział Pan Premier Donald Franciszek. Świetny pomysł! Lepszy nawet od 100 konkretów na 100 dni. Co może się nie udać? Budowa takiego statku jest bardzo prosta. Dużo łatwiejsza niż budowa jakiegoś CPK czy zorganizowanie służby zdrowia bez kolejek. Bez porównania prostsza od ułożenia rozkładu jazdy PKP tak, by pociągi odjeżdżały planowo. Już tłumaczymy, jak zrobić to w łatwy sposób. Dokładny instruktaż można znaleźć w filmie „Plan dziewięć z kosmosu" (reżyser – Ed Wood). Tam statki kosmiczne zostały wykonane z kołpaków samochodowych. I to działało. Zobaczcie sami.

A u nas będzie łatwiej, bo zespoły napędowe dostarczą osoby najbardziej kreatywne, czyli ministry Paulina

Ważna wiadomość dla tych, którzy czują nostalgię za wczesnymi latami 90. Ukazała się książka o całkowicie bezpretensjonalnym tytule „Przyzwoita polityka". To wywiad z panem Rotfeldem, który wprawdzie nie był w Unii Demokratycznej, ale mówi tonem tak podniosłym, jakby w niej był. To niewątpliwie thriller, tak wciągający, jak wywiad rzeka z Józefą Hennelową, Andrzejem Zollem albo nawet Różą Thun.

eprasa.pl efcf109b2d

Hennig-Kloska i Ula Zielińska. Według naszych informacji będą to wiatraki marki Siemens. Wprawdzie używane i nienajnowsze, ale za to bardzo drogie.

Została jeszcze najtrudniejsza kwestia, czyli wybór nazwy dla statku kosmicznego z Tenkraju. Najlepiej coś w stylu Sokół Platformy albo Platforma Millenium. W nawiązaniu do najszybszej kupy złomu w galaktyce. PS Nie zapomnijmy o innym ważnym projekcie rozwojowym. Chodzi o program opracowany przez kolektyw S&F (Sajens end Fikszyn) budowy naszej polskiej bomby atomowej. Nie musi być przecież duża. Wystarczy taka, którą da się zrzucić na tego Nawrockiego z Gdańska, który zajumał pałac Rafałowi Trzaskowskiemu. Oba projekty należy połączyć. Niech Moc 100 Konkretów będzie z wami!



Według pierwotnych założeń potrzebna była też druga bombka atomowa, przeznaczona dla Kwatery Głównej partii Kaczystowskiej przy ul. Nowogrodzkiej. Ostatnie wydarzenia sprawiły jednak, że już nie będzie potrzebna. Kaczyści wytłuką się sami między sobą. A dokładniej dojdzie do takiego porozumienia między maślarzami i harcerzami, że Pan Premier Tusk będzie premierem także następną kadencję. Osobom prawicowym, które przetrwają nadchodzące zdarzenia, rekomendujemy znakomite miejsce na konwent zjednoczeniowy. Zapiszcie adres: parafia św. Katarzyny, Warszawa, Dolinka Służewiecka.



Fajną nazwą dla kosmicznego tuskolotu byłaby Unia Centrum (potocznie zwana Ucecją). Ale jest już zajęta. Powstaje masowy i dynamiczny ruch społeczny pod przywództwem charyzmatycznych liderów, czyli Pauliny Hennig-Kloski i Michała Koboski. Tej siły nikt nie zatrzyma! Szkoda, że do Ucecji nie wszedł Rysiek Petru. Ale może wejdzie. Na razie jest zajęty – jak sam poinformował – tworzeniem Konfederacji Light. Wszystko jednak wskazuje na to, że zgodnie z obecnymi trendami dietetyczno-politycznymi efektem jego starań będzie Konfederacja Zero.



Nie ma miejsca w Unii Centrum dla ***Kaśki Pełczyńskiej-Nałęcz***, wstrętnej baby, która ciągle irytuje Pana Premiera. Teraz dodatkowo ta hejterka przeprowadziła haniebny atak na szanowaną branżę biznesu, jaką jest seks-łorking (dawniej zwany prostytucją). Kaśka rozpoczęła kampanię nienawiści przeciwko innowacyjnej wersji seks-łorkingu połączonego najnowszymi trendami, czyli Airbnb: „Zgłosimy poprawki dające prawa samorządom do wprowadzania stref wolnych od Airbnb. Oraz dające ludziom prawo do decydowania, czy mają hotel/burdel za ścianą". Na szczęście w środkach masowego przekazu czytamy: „Dni Pełczyńskiej-Nałęcz w rządzie są policzone". W tej sytuacji trzeba wystosować apel do ministra Żurka: skoro nie może rozliczyć Ziobry, to niech rozliczy Pełczyńską-Nałęcz.



Równie mocny brejkin njus i gejmczendżer ogłosił Rafał Kazimierz Trzaskowski. Wiadomość wstrząsnęła opinią publiczną na całym świecie. „Moją propozycję objęcia stanowisk wiceprezydentek Warszawy przyjęły Magdalena Młochowska i Izabela Marcewicz-Jendrysik" – ogłosił Rafał. Tym samym informujemy, że skończyła się łapanka na wiceprezydentki. Osoby utożsamiające się jako kobiety, w wieku 40–50 lat, mogą już bezpiecznie wychodzić na ulice Warszawy. Rodzinom pań Magdaleny i Izabeli składamy szczere wyrazy współczucia.

Wybór, którego dokonał Rafał, jest głośno i pozytywnie komentowany przez największe media świata, łącznie z gazetami na Jamajce. Wszędzie podkreślane jest to, że obie panie są szeroko znane w bardzo wąskich gronach swoich wielbicieli. Warto przy okazji zwrócić uwagę na pomijany, ale niezmiernie istotny szczegół. Była jedna osoba, która chciała zostać wiceprezydentką, ale nie została, również o imieniu Magda. Mowa o Magdzie Roguskiej, bardzo, ale to bardzo bliskiej współpracownicy Marcina Kierwińskiego. To ta blondyna, którą często można było zobaczyć na zdjęciach z Marcinem. Ale tylko na początku kadencji, bo potem ludzie zaczęli gadać.

Habemus RPO. Sylwia Grzegorczyk-Abram – prawniczyni, adwokacini, autorytetka i obrończyni praworządności (tak jak my ją rozumiemy). Historyczny wybór, tak samo dobry jak ten, gdy gen. Jaruzelski wskazał na Ewę Łętowską. Lepszy w tej roli byłby tylko Roman Giertych, ale on jest zajęty zarządzaniem Silnymi Razem i wpisami w mediach społecznościowych. Zgodnie z hasłem „Nie ma praworządności dla wrogów praworządności" Sylwia też da popalić populistom i innym kaczystom. Gdzie Żurek nie może, tam Sylwię się pośle.

A teraz opowiastka pedagogiczna dla dziatwy szkolnej. Patrzcie dzieci, jak oszczędnością i pracą (w kilku szpitalach) działacze się bogacą. ***Dawid Kacprzyk***, człowiek legenda, nie tracił ani chwili. Brał wszystkie dyżury jako lekarz i wszystkie sesje jako radny. Był tak skrupulatny, że za każdym razem, gdy tylko opuszczał go dar bilokacji, brał usprawiedliwienie za nieobecność. W ten sposób nie uronił nawet 300 zł, które mu przysługiwały jako dieta radnego. Grosz do grosza, dyżur do dyżuru, sesja do sesji i można za gotówkę kupić Porsche Panamera. Dla chcącego nic trudnego.

Fot. Ludmyła Skwarczyńska x3, Andrzej Wiktor

eprasa.pl efcf109b2d

RUDY i BRUDY
Z ŻYCIA PREMIERA TENKRAJU

Kosmiczny odlot

W gabinecie Ronalda Kła siedziało trzech spiskowców. Minister spraw zagranicznych Radek Świrowski, szara eminencja koalicji Roman Naszaszkapa oraz doproszony trochę z braku większej liczby przeciwników Kła Grzegorz Szuflada z Wrocławia, polityk znajdujący się wprawdzie na aucie, ale wciąż posiadający wpływy w terenie. Premier wyjechał w delegację do Paryża i drzwi były teoretycznie zamknięte, ale Naszaszkapa miał dorobiony klucz.



– Ronald myślał, że jest cwany, ale ja jestem cwańszy – pochwalił się Naszaszkapa. – Poprosiłem Fokę, żeby dorobił klucz. To jest mój chłopak, o nic nie pyta, tylko wykonuje polecenia.

– Ufasz mu? Temu Foce? – zapytał kontrolnie Szuflada.

– W której szafie cię trzymają, Grzegorz? – Naszaszkapa spojrzał na Szufladę ze zdziwieniem. – Przecież Foka to najwierniejszy z wiernych. Myśmy razem nie takie rzeczy robili. Np. w Rusnordzie.

– Roman, cicho! Grzegorz to zaufany towarzysz, ale wiesz: tisze jediesz, dalsze budiesz – przerwał mu Świrowski. – Nie ma się co chwalić, tylko trzeba działać. Otóż Kieł kompromituje nas w świecie.

– Nie może być, znowu go do pociągu nie wpuścili? – Szuflada uśmiechnął się szeroko, ukazując dwa rzędy równiutkich porcelanowych zębów. I dodał mściwym tonem: – Nie mówię tego po złości, że mnie odstawił na boczny tor, ale chyba każdy widzi, że w Europie nikt nie szanuje...

– Wczoraj w Paryżu znowu go nie posadzili przy głównym stole – stwierdził z satysfakcją Świrowski. – Moi szpiedzy mi donieśli, że niemal klękał przed Żołnierskim, żeby mu pozwolił usiąść obok siebie. A ten nic, poprawił tylko miniaturkę tryzuba w klapie marynarki i udawał, że nie słyszy.

– Podobno Friedrich, Emmanuel i Keir przez cały dzień udawali, że go nie widzą – dodał Naszaszkapa.

– Dobrze mu tak! – wycedził Szuflada. – My we Wrocławiu tak szybko nie zapominamy wyrządzonych krzywd. Ale czym sobie na to zasłużył?

– Całokształtem – odpowiedział natychmiast Świrowski. – Ronald brzydko się starzeje. A to biega po Paryżu i rozdaje croissanty, a to próbuje nagrywać z zagranicznymi politykami rolki do internetu. Wszyscy mają go dosyć. Facet dziecinnieje z dnia na dzień.

– Dziwne, bo my się trzymamy znakomicie. – Szuflada znowu uśmiechnął się szeroko.

– Ja czuję się znakomicie! – Świrowski w odpowiedzi wyprężył się i strzelił obcasami. – Jeśli tylko Tenkraj będzie mnie potrzebował, to mogę zastąpić Kła choćby dzisiaj. Zwłaszcza, że widzę poważne podstawy do odwołania go z funkcji.

– Jakie? – spytał rzeczowo Szuflada.

– Totalne odklejenie. – Świrowski miał już wcześniej przygotowaną odpowiedź. – Kieł właśnie ogłosił, że będziemy budować rakietę kosmiczną!

– Niemożliwe! – Szuflada pokręcił głową z niedowierzaniem. – Przecież my nie mamy pieniędzy na podstawowe procedury medyczne, świadczenia socjalne, stypendia dla zdolnej młodzieży...

– To mnie akurat nie martwi, bo państwo nie jest od rozdawania pieniędzy – przerwał mu Świrowski. – Są jednak inne potrzebne wydatki, np. wsparcie renowacji starych posiadłości.

– O to, to – zawtórował mu Naszaszkapa. – Szczególnej pomocy potrzebuje nasza klasa średnia, której jestem skromnym reprezentantem. No a ta rakieta to jakaś gigantomania. Kła trzeba odwołać natychmiast!

– Nie poznaję cię, Roman. – Szuflada spojrzał na niego z uwagą. – Przecież byliście sobie tacy bliscy. To z twoich ust usłyszałem, że Kieł jest premierem tysiąclecia.

– Stracił w moich oczach, kiedy mianował ministrem sprawiedliwości Barszczyka – wyjaśnił Naszaszkapa. – To jest kompletne beztalencie. Karierowicz o manierach drwala, któremu siekierka się stępiła. A resort potrzebuje wirtuoza, który ma przepisy w małym palcu i potrafi je właściwie interpretować. Jak, nie przymierzając...

– Jak, nie przymierzając, ty – odgadł Szuflada. – To już mam całkowitą jasność. Przygotowujecie spisek przeciwko Kłowi, bo ty, Radku, chcesz zająć jego miejsce, a ty, Romanie, chcesz być ministrem.

– Nie potrafiłbym tego ująć z większą precyzją – potwierdził Naszaszkapa.

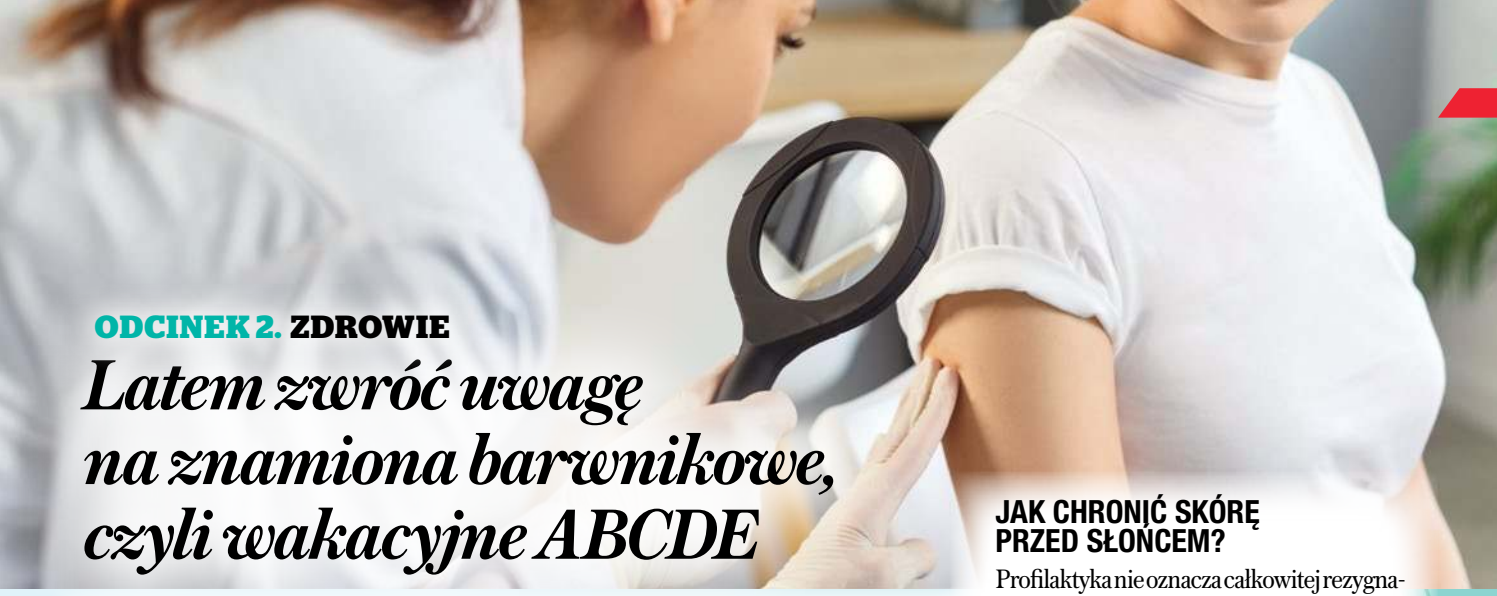
– To w takim razie, co ja będę miał z tego przewrotu? – zapytał Grzegorz Szuflada z Wrocławia.

– Otóż ty, Grzegorzu, kiedy już Kieł zbuduje tę swoją rakietę – Świrowski spojrzał zimnym wzrokiem przed siebie – będziesz miał ten przywilej, że zamkniesz naszego premiera w środku i osobiście naciśniesz guzik, który na zawsze wyśle go w kosmos.

MuMa

Fot. Grafika wygenerowana przez AI/MuMiN

eprasa.pl efcf109b2d



ODCINEK 2. ZDROWIE

Latem zwróć uwagę na znamiona barwnikowe, czyli wakacyjne ABCDE

Znamiona barwnikowe, potocznie nazywane pieprzykami, to zmiany skórne powstające na skutek nagromadzenia melanocytów – komórek produkujących melaninę, czyli barwnik odpowiadający za kolor skóry

Mogą odznaczać się różną wielkością, kształtem i kolorem, a większość z nich ma charakter łagodny i nie stanowi zagrożenia dla zdrowia. Ich liczba zależy m.in. od uwarunkowań genetycznych, typu skóry oraz skali ekspozycji na promieniowanie UV. Problem pojawia się, gdy znamię zaczyna się powiększać, zmieniać kolor lub kształt.

JAK SŁOŃCE WPŁYWA NA ZNAMIONA?

Promieniowanie ultrafioletowe jest jednym z najważniejszych czynników środowiskowych zwiększających ryzyko nowotworów skóry. Nadmierna ekspozycja na promieniowanie UV może prowadzić nawet do uszkodzeń DNA komórek skóry. Organizm posiada mechanizmy naprawcze, jednak częste i intensywne uszkodzenia mogą sprzyjać powstawaniu nieprawidłowych komórek.

Szczególnie niebezpieczne są oparzenia słoneczne, zwłaszcza te przebyte w dzieciństwie i młodości. Ryzyko rozwoju czerniaka zwiększa także częste korzystanie z solarium. Nie oznacza to, że każde znamię stanie się zmianą nowotworową. Regularna ochrona skóry i obserwacja znamion są jednak najważniejszym elementem profilaktyki.

REGUŁA ABCDE – JAK OBSERWOWAĆ ZNAMIONA?

Samodzielna kontrola skóry pozwala szybciej zauważyć zmiany wymagające konsultacji dermatologicznej. Pomocna jest reguła ABCDE:

A – asymetria (asymmetry)
Niepokój powinny budzić znamiona o nieregularnym, niesymetrycznym kształcie.

B – brzegi (border)
Nieregularne, poszarpane lub niewyraźne granice zmiany wymagają oceny specjalisty.

C – kolor (colour)
Sygnałem ostrzegawczym może być niejednolity kolor znamienia lub pojawienie się nowych odcieni, np. czerni, czerwieni czy granatu.



D – średnica (diameter)
Zmiany większe niż ok. 6 mm, szczególnie jeśli szybko się powiększają, powinny być kontrolowane.

E – ewolucja (evolution)
Najważniejszą cechą jest zmiana w czasie – wzrost, zmiana wyglądu, krwawienie, świąd lub ból.

Reguła ABCDE nie zastępuje badania lekarskiego, ale pomaga rozpoznać znamiona wymagające dokładniejszej diagnostyki.

JAK CHRONIĆ SKÓRĘ PRZED SŁOŃCEM?

Profilaktyka nie oznacza całkowitej rezygnacji ze słońca. Najważniejsze jest rozsądne korzystanie z letnich atrakcji. Warto stosować kremy z filtrem przeciwsłonecznym, szczególnie podczas długiej ekspozycji na słońce. Obowiązkowo – noszenie nakrycia głowy, okularów przeciwsłonecznych oraz przewiewnej odzieży chroniącej skórę. Szczególnej ochrony wymagają dzieci, ponieważ ich skóra jest bardziej podatna na uszkodzenia wywołane promieniowaniem UV.

KIEDY WARTO UDAĆ SIĘ DO DERMATOLOGA?

Konsultacji wymaga każde znamię, które nagle zaczyna się zmieniać. Warto zgłosić się do specjalisty, jeśli pojawi się nowa, szybko rosnąca zmiana, krwawienie, niegojące się miejsce, uporczywy świąd lub wyraźna zmiana wyglądu istniejącego znamienia. Regularne kontrole dermatologiczne są szczególnie ważne u osób z dużą liczbą znamion, jasną karnacją, historią częstych oparzeń słonecznych lub przypadkami czerniaka w rodzinie.

Filip Siódmiak

Absolwent kierunku dietetyka na Gdańskim Uniwersytecie Medycznym. Dietetyk kliniczny w Uniwersyteckim Centrum Klinicznym w Gdańsku, gdzie zdobywa doświadczenie w pracy z pacjentami wymagającymi specjalistycznej opieki żywieniowej, autor licznych artykułów na temat zdrowego stylu życia dostępnych na portalu wGospodarce.pl

PARTNER CYKLU

FUNDACJA Sanitas

Źródła: • Leiter, Ulrike et al., „Epidemiology of Skin Cancer: Update 2019", „Advances in experimental medicine and biology" 2020, t. 1268, s. 123–139. • Gandini, Sara et al., „Meta-analysis of risk factors for cutaneous melanoma: III. Family history, actinic damage and phenotypic factors", „European journal of cancer (Oxford, England: 1990)" 2005, t. 41, nr 14, s. 2040–2059. • Columbia University Irving Medical Center. Melanoma Prevention, Risk Factors, and Screening, New York: Columbia University.

Artykuł sponsorowany | 01/0526/F/ZAL

eprasa.pl efcf109b2d

Niemcy

Zapaść giganta

Niemiecki gigant motoryzacyjny Volkswagen przygotowuje się do głębokiej restrukturyzacji. Prezes koncernu Oliver Blume w piśmie do pracowników przyznał, że z powodu rosnących kosztów firma może być zmuszona do kolejnych masowych zwolnień.

Wprawdzie Blume chce – jak podkreślił – uniknąć zamknięcia fabryk, ale wciąż „nie jest to wykluczone". W przypadku takiego scenariusza łączna liczba planowanych redukcji w grupie Volkswagena sięgnie blisko 100 tys. osób. Zdecydowana większość tych miejsc pracy znajduje się w Niemczech. Jak twierdzi tygodnik „Der Spiegel", zagrożone zamknięciem mają być zakłady w Zwickau i Emden, fabryka Audi w Neckarsulm oraz fabryka pojazdów użytkowych w Hanowerze. Gama modeli ma zostać zredukowana nawet o 50 proc., a liczba możliwych opcji wyposażenia – o 75 proc.

„W odpowiedzi na zmieniającą się sytuację na rynku globalnym i gwałtowny wzrost konkurencji moce produkcyjne zostaną dostosowane do liczby 9 mln pojazdów rocznie" – głosi dokument. Dla porównania: kilka lat temu największy europejski producent samochodów planował produkcję do 12 mln aut rocznie. Po pandemii liczba ta została zmniejszona do 10 mln.

Największym problemem niemieckiego koncernu jest słabnąca sprzedaż w Chinach. Grupa z Wolfsburga, do której należą marki Volkswagen, Audi, Škoda i Porsche, w drugim kwartale dostarczyła do Chin o ok. 26 proc. mniej samochodów. W skali globalnej liczba dostaw w okresie od kwietnia do czerwca spadła do zaledwie 2,08 mln pojazdów – o prawie 9 proc. mniej niż rok wcześniej. W przypadku Porsche sprzedaż spadła nawet o 18 proc.

Premier Saksonii i polityk chadecji Michael Kretschmer oskarżył Volkswagena, że ma rozbudowaną biurokrację i jest nieefektywny. Wezwał też koncern do odejścia od 35-godzinnego tygodnia pracy. Tymczasem zarząd szuka innych rozwiązań, m.in. planował wydzierżawić jedną z fabryk w Osnabrück izraelskiemu koncernowi zbrojeniowemu Rafael. Niestety negocjacje utknęły w miejscu, ponieważ emirat Kataru, który jest jednym z dużych akcjonariuszy Volkswagena z dwoma miejscami w radzie nadzorczej, niechętnie patrzy na takie pomysły. Wobec tego alternatywą pozostały większe cięcia.

Aleksandra Rybińska



Narkotykowe imperium Prigożyna

Pawieł Prigożyn, syn Jewgenija, nieżyjącego twórcy i właściciela Grupy Wagnera, dzięki niedobitkom z tej formacji stworzył własne imperium narkotykowe w Republice Środkowoafrykańskiej. Jak informuje „The Wall Street Journal", Rosjanom udało się przejąć kontrolę nad dystrybucją tramadolu, syntetycznego opioidu produkowanego w Indiach. Ten lek, przyjmowany w dużych ilościach, staje się silnie uzależniającym stymulantem, znanym jako kokaina dla ubogich.

Tramadol zażywają robotnicy wykonujący niewolniczą pracę w kopalniach złota nadzorowanych przez wagnerowców, a także członkowie rozmaitych bojówek i formacji zbrojnych. „Na polu bitwy tramadol jest przyjmowany w ogromnych dawkach" – twierdzi Nathalia Dukhan z genewskiego think tanku Global Initiative against Transnational Organized Crime. „Strach znika, a pobudzenie gwałtownie rośnie, gdy walczący wpadają w farmakologiczny trans".

Weterani Wagnera i Paweł Prigożyn, kontrolując dystrybucję tramadolu, który jest przemycany do Demokratycznej Republiki Konga, skąd trafia do Republiki Środkowoafrykańskiej, w ten sposób wywierają wpływ na sytuację polityczną w regionie. Zaopatrują w ten specyfik gwardię prezydenta Faustina-Archange Touadéry, a także grupy paramilitarne zastraszające opozycję, takie jak Sharks i Black Russians. Popyt na tramadol jest tak wysoki, że jego cena w ciągu jednego roku wzrosła trzykrotnie. Przed bitwą dowódcy rozdają bojownikom silne dawki leku, aby zwiększyć ich agresję i stłumić strach. W rezultacie liczba ofiar śmiertelnych w bitwach o kontrolę nad regionami bogatymi w minerały wzrosła w ostatnim roku o prawie 20 proc., do ok. 500 zabitych.

Ostatnio zaobserwowano też współpracę wagnerowców z rebelianckimi Siłami Szybkiego Wsparcia z Sudanu. Niewykluczone, że Prigożyn junior chce wpłynąć na wynik sudańskiej wojny domowej i poszerzyć wpływy Grupy Wagnera, która dzięki temu – niczym Feniks z popiołów – mogłaby znowu wrócić do gry.

Marek Budzisz



Rep. Środkowoafrykańska

eprasa.pl efcf109b2d



Płonące rafinerie

Rosja

6 lipca po raz pierwszy w historii na Syberii zawyły syreny przeciwlotnicze. Ten region Rosji nigdy nie znalazł się w zasięgu wrogich nalotów, takiego zagrożenia nie było nawet podczas II wojny światowej. Celem ataku przeprowadzonego przez ukraińskie drony była rafineria w Omsku. Należy ona do największych zakładów naftowych w Rosji i przetwarza rocznie 22 mln t ropy, co przekłada się na 8 proc. całej produkcji paliw.

Uderzenie wywołało szok. Wydawało się bowiem, że omska rafineria, położona w odległości 2,5 tys. km od granicy z Ukrainą, jest całkowicie bezpieczna. Okazało się jednak, że ukraińskie drony są w stanie dotrzeć do tak odległego celu i poważnie go uszkodzić. W rezultacie rosyjska produkcja benzyny po raz kolejny przyhamowała i – jak się ocenia – pokrywa obecnie 65 proc. krajowego zapotrzebowania.

Liczba nalotów osiągnęła historyczny rekord w maju – odnotowano wtedy co najmniej 17 ataków, co doprowadziło do wstrzymania produkcji w wielu zakładach zaopatrujących europejską część Rosji. W efekcie niedobory paliwa, które od początku lata dotkliwie dawały się we znaki w południowej Rosji i na okupowanych terytoriach ukraińskich, rozprzestrzeniły się na centralną część kraju, aby ostatecznie sięgnąć wybrzeża Pacyfiku. Jak pisze agencja Bloomberg, pod koniec czerwca 90 proc. rosyjskich regionów wprowadziło jakąś formę racjonowania paliwa lub zgłosiło problemy z dostawami.

I chociaż w czerwcu liczba nalotów spadła, to ich skutki były również druzgocące. Przetwórstwo ropy naftowej spadło do najniższego poziomu od 20 lat, a władze na Kremlu musiały ratować się doraźnym importem benzyny m.in. z Białorusi. Dwa uderzenia w moskiewską rafinerię skutecznie wyeliminowały największego dostawcę paliwa do stolicy i po raz pierwszy od rozpoczęcia inwazji w 2022 r. zakłóciły codzienne życie mieszkańców Moskwy. W końcu nawet Putin musiał przyznać, że „istnieją pewne problemy z dostawami paliwa".

Benzyny dla indywidualnych odbiorców brakuje, bo lwią część i tak już ograniczonej produkcji przejmuje wojsko. Rosyjscy kierowcy zostali więc z niczym. Niektórzy z nich próbują upolować deficytowy towar za pomocą aplikacji do szukania czynnych stacji benzynowych, inni montują w swoich autach instalacje gazowe. Rozkwitł też czarny rynek.

Przyszłość rosyjskiego sektora naftowego rysuje się w ciemnych barwach, ale nie wynika to tylko z nalotów na rafinerie. Syberyjskie zasoby ropy naftowej zaczynają się wyczerpywać, dlatego pilne staje się uruchomienie nowych złóż w Arktyce. Będzie to jednak kosztować miliardy dolarów, które Moskwa woli dziś tracić na wojnie.

Konrad Kołodziejski

Fot. Shutterstock x4



Fabryka elit przyszłości

Chiny

Chiny przeprowadzają obecnie największą reformę systemu oświaty na świecie. Nie chodzi tylko o skalę przedsięwzięcia (objętych jest nim ok. 290 mln uczniów i studentów), lecz przede wszystkim o jakościową zmianę paradygmatu nauczania.

Pekin podkreśla, że transformacja jest wymuszona rozwojem sztucznej inteligencji i robotyki. W związku z tym ministerstwo edukacji przystąpiło do modyfikacji ponad 30 proc. wszystkich programów studiów licencjackich w kraju. Jedne kierunki są tworzone lub rozbudowywane, inne modyfikowane, a jeszcze inne likwidowane. Władze kładą nacisk na rozwój takich przedmiotów jak lingwistyka, logika formalna, teoria komunikacji, technologie kwantowe czy inżynieria półprzewodników.

Zgodnie z planami każdy uczeń szkoły podstawowej musi nie tylko dobrze rozumieć znaczenie takich pojęć jak „algorytm" czy „uczenie maszynowe", lecz także wiedzieć, które części zadań powierzać różnym typom sztucznej inteligencji, a które rozwiązywać samodzielnie. Absolwenci szkół powinni umieć logicznie myśleć, wyciągać wnioski i definiować problemy do rozwiązania. Z jednej strony ogranicza się edukację w dziedzinach postrzeganych jako łatwe do zautomatyzowania, a z drugiej przeznacza olbrzymie środki na stworzenie całej rzeszy wysoko wykwalifikowanych specjalistów w sektorze zaawansowanych technologii. Nie trzeba dodawać, że za tym wszystkim idą nowe programy nauczania, nowa metodyka, podręczniki, szkolenia, kursy dla nauczycieli itd.

Gigantyczna skala przedsięwzięcia nie ma odpowiednika we współczesnej historii. Wspomniana reforma jest wynikiem przyjęcia ambitnej strategii geopolityczno-technologicznej, której stawką jest światowe przywództwo. Chińczycy zdają sobie sprawę, że klucz do zwycięstwa to stworzenie nowych elit zdolnych sprostać wyzwaniom związanym z rozwojem sztucznej inteligencji. W tej sytuacji, gdyby któryś z chińskich ministrów zaproponował likwidację zadań domowych dla uczniów, zostałby zapewne oskarżony o sabotaż i zdradę ojczyzny.

Grzegorz Górny

eprasa.pl efcf109b2d

Cudzy prąd, własny haracz

Brawo, brawo – tylko że decyzję o budowie bloku w Grudziądzu przygotowano i zakontraktowano znacznie wcześniej, jeszcze w latach 2021–2022, pod auspicjami mojego zarządu i poprzedniego rządu. Generalnego wykonawcę wybrano w 2022 r., a całość była elementem strategii rozbudowy niskoemisyjnej energetyki gazowej.

Podobnie z Baltic Power – finalna decyzja inwestycyjna w październiku 2023 r., przygotowania i finansowanie dużo wcześniej. Dziś obecna ekipa kroi tort upieczony przez poprzedników i czeka na oklaski, jakby sama mieszała ciasto.

A co z innymi projektami zaplanowanymi i rozpoczętymi przed 2023 r. – w energetyce gazowej, dywersyfikacji dostaw czy rozbudowie zdolności? Z przyjemnością przypisuje je sobie, jakby wyrosły z niczego przez jedną noc.

Tymczasem nowy zarząd ORLENU, zamiast ruszać z kolejnymi ambitnymi inwestycjami, wybrał inną specjalność. Zamiast nowych mocy, akwizycji i wielkich projektów – seria zawiadomień, kontroli i rozliczeń wewnętrznych. O prawdziwym rozwoju można co najwyżej pomarzyć. Zyski, które mogłyby zasilić modernizację rafinerii, technologie przyszłości czy dalszą ekspansję, idą na podatek od nadzwyczajnych zysków. Ten haracz, uderzający głównie w ORLEN, ma zasilić budżet państwa. Jakby ktoś uznał, że łatwiej jest sięgnąć do kieszeni narodowego czempiona, niż stworzyć warunki do jego wzrostu. Klasyczna polityka „weź i podziel", tylko że w wersji energetycznej, w dodatku przy aplauzie dzielonych.

Tymczasem w Brukseli nie ma wakacji. Trwają prace nad rewizją systemu handlu emisjami (ETS), nowymi ramami dla przemysłu niskoemisyjnego oraz negocjacjami wieloletniego budżetu Unii na kolejne lata. To nie są drobiazgi – to decyzje, które przesądzą o rachunkach za prąd dla polskich rodzin i o tym, czy nasz przemysł pozostanie konkurencyjny.

Polski głos? Ledwo słyszalny. Brak twardej, konsekwentnej obrony interesów narodowych – ani w sprawie realistycznego tempa transformacji, ani w uznaniu roli energetyki jądrowej jako stabilnego źródła, ani w ochronie rafinerii i petrochemii przed regulacjami, które pachną importem z zewnątrz. Zamiast ofensywy – dyplomatyczna cisza jak makiem zasiał.

A co z kopalnią soli w Inowrocławiu? Kiedyś broniona jako strategiczny element bezpieczeństwa energetycznego – potencjał magazynowania gazu, energii czy stabilizacji produkcji chemicznej. Dziś wygląda na to, że nagle stała się solą w oku nowych decydentów. Zamiast rozwijać ten potencjał i bronić jego znaczenia, projekty są spowalniane lub porzucane. Osoby, które wskazywały na strategiczną wartość i broniły sensownych inicjatyw, spotykają się z nieprzyjaznymi działaniami i kontrolami. Jakby ktoś uznał, że łatwiej jest „zaorać" to, co nie pasuje do nowej narracji, niż budować na solidnych fundamentach.



Rząd premiera Tuska z prawdziwą pompą ogłasza kolejne energetyczne triumfy – prąd z morskiej farmy wiatrowej Baltic Power już płynie, a teraz jeszcze energia z elektrowni gazowo-parowej CCGT Grudziądz trafiła do krajowej sieci! ORLEN publikuje komunikaty o „historycznych dniach" i „efektach największego programu inwestycyjnego". Można...

Zarząd ORLENU też nie pali się do walki w Brukseli. Zamiast bronić pozycji narodowego giganta, zdaje się godzić z rolą posłusznego płatnika kolejnych danin. Niektóre obiecujące inicjatywy inwestycyjne – dotyczące wydobycia, magazynowania czy dywersyfikacji – tracą impet. Zamiast kapitału na rozwój – administracja spadkiem i pilnowanie, by nikt za bardzo nie przypominał, kto za ten spadek odpowiada.

Cała sytuacja ma w sobie sporo komicznego absurdu. Kiedy Europa szykuje regulacje, które mogą drogo kosztować polski przemysł i gospodarstwa domowe, w Warszawie i Płocku panuje dziwna harmonia – chwalimy się cudzym prądem z Grudziądza i Baltic Power, płacimy haracz i milczymy w kluczowych sprawach. Zamiast inwestować z rozmachem – księgujemy sukcesy poprzedników. Zamiast walczyć o polski interes – pilnujemy, by danina spłynęła równo do budżetu.

Na szczęście fundamenty są naprawdę solidne. Dzięki decyzjom z poprzednich lat prąd płynie, spółka generuje wyniki, a Polska wciąż ma realną szansę na energetyczną siłę w regionie. To najlepszy dowód, że odwaga inwestycyjna i perspektywiczne myślenie nie idą na marne. Prawdziwa sprawczość wróci – bo Polacy doskonale odróżniają tych, którzy budowali, od tych, którzy tylko opowiadają.

Najwyższy czas na powrót do faktów, konkretnych działań i odważnej polityki. Polska energetyka zasługuje na więcej niż komedię omyłek i haracz zamiast inwestycji.

Daniel Obajtek

Fot. Archiwum autora

eprasa.pl efcf109b2d

Skuteczny hedging?



Marta Kaczyńska-Zielińska

Przedłużająca się eskalacja napięć wokół Iranu, kolejne ataki na żeglugę w Zatoce Perskiej i cieśninie Ormuz oraz utrzymująca się konfrontacja pomiędzy Iranem, Izraelem i USA nie są jedynie kolejnym kryzysem regionalnym. Stanowią przejaw znacznie głębszego procesu narastającej rywalizacji o kształt przyszłego ładu międzynarodowego. Konflikt na Bliskim Wschodzie jest zarazem emanacją globalnej konfrontacji mocarstw i wydarzeniem, którego skutki wykraczają daleko poza region. Zakłócenia żeglugi przez cieśninę Ormuz wpływają na światowe rynki energii, łańcuchy dostaw, inflację i bezpieczeństwo żywnościowe.

Reakcje Waszyngtonu i Pekinu na kryzys irański odzwierciedlają odmienne modele polityki zagranicznej. Stany Zjednoczone dążą do utrzymania swobody żeglugi poprzez obecność wojskową, sieć sojuszy i sankcje. Chiny – mimo że są jednym z największych importerów ropy z Bliskiego Wschodu oraz głównym odbiorcą irańskiej ropy – unikają wywierania otwartej presji na Teheran. Priorytetem Pekinu pozostaje bezpieczeństwo energetyczne, utrzymanie dialogu ze wszystkimi stronami konfliktu oraz niedopuszczenie do sytuacji, w której jego działania wzmacniałyby amerykańską pozycję strategiczną. Z perspektywy Chin przedłużające się zaangażowanie USA na Bliskim Wschodzie ogranicza możliwość skoncentrowania amerykańskich zasobów wojskowych i politycznych w regionie Indo-Pacyfiku. Rywalizacja obu mocarstw obejmuje dziś niemal wszystkie kluczowe regiony świata.

Najważniejszym teatrem strategicznej konkurencji pozostaje jednak Indo-Pacyfik. Wobec rosnącej aktywności Chin na Morzu Południowochińskim Filipiny rozszerzają współpracę wojskową z USA. Korea Południowa pozostaje silnie związana gospodarczo z Chinami, lecz swoje bezpieczeństwo opiera na sojuszu z Waszyngtonem. Japonia zwiększa wydatki obronne i rozwija produkcję zaawansowanych półprzewodników, Australia pogłębia współpracę wojskową w ramach AUKUS, a Indie starają się zachować strategiczną autonomię, jednocześnie rozwijając współpracę z USA w ramach formatu Quad. Szczególne znaczenie zachowuje Tajwan, którego przemysł półprzewodnikowy stanowi jeden z fundamentów światowej gospodarki cyfrowej. Konkurencja amerykańsko-chińska coraz wyraźniej przenosi się z poziomu handlu na poziom technologii.

Jednym z największych wyzwań współczesnej geopolityki jest sytuacja państw, które dla zachowania stabilności chciałyby utrzymywać dobre relacje zarówno z Chinami, jak i USA. Współpraca z Pekinem zapewnia dostęp do inwestycji, handlu i infrastruktury, relacje z Waszyngtonem natomiast oznaczają gwarancje bezpieczeństwa oraz dostęp do zachodnich technologii i rynków finansowych. Taką strategię realizują m.in. Indie, Arabia Saudyjska, Zjednoczone Emiraty Arabskie, Brazylia oraz liczne państwa Azji, m.in. Kazachstan i Uzbekistan. Możliwość utrzymania tej równowagi staje się jednak coraz bardziej ograniczona. Wraz z postępującym przenikaniem gospodarki, technologii i bezpieczeństwa wybór partnera handlowego coraz częściej oznacza również wybór strategiczny. Coraz więcej państw stosuje zatem strategię określaną jako hedging, polegającą na dywersyfikowaniu zależności i unikaniu jednoznacznego opowiedzenia się po stronie jednego z mocarstw. Jej powodzenie zależy jednak od siły gospodarki, stabilności instytucji oraz zdolności do przeciwstawienia się presji.

Współczesna rywalizacja amerykańsko-chińska nie jawi się jako odtworzenie dwubiegunowego świata znanego z okresu zimnej wojny. Zdaje się, że kreuje system wielobiegunowy, w którym państwa będą selekcjonować partnerów. Czy balansowanie między mocarstwami będzie skuteczne długofalowo? Rywalizacja nie dotyczy bowiem wyłącznie sfery ekonomii, ale wiąże się z oddziaływaniem odmiennych systemów wartości. Z jednej strony cywilizacji akcentującej uniwersalny charakter praw człowieka i wolności jednostki, z drugiej – cywilizacji stawiającej na pierwszym planie stabilizację polityczną państwa, nadrzędną rolę państwa i Komunistycznej Partii Chin.

REKLAMA



200626/F

eprasa.pl efcf109b2d



Walizka Damiana Stanisławskiego

dziennikarza i wykładowcy akademickiego

Są rzeczy, które towarzyszą nam przez całe życie, choć na co dzień rzadko zastanawiamy się nad ich prawdziwym znaczeniem. Dla mnie jedną z nich jest walizka. To nie tylko miejsce na ubrania czy niezbędne drobiazgi – to symbol nowych początków, podróży, marzeń i odwagi do odkrywania świata. Za każdym razem, gdy ją pakuję, wiem, że przede mną coś nowego. Czasem jest to długo wyczekiwany urlop, innym razem krótki weekendowy wyjazd, podróż służbowa czy spontaniczna wyprawa. Niezależnie od celu walizka zawsze staje się cichym towarzyszem moich wspomnień. To właśnie w niej zamykam nie tylko rzeczy, lecz także emocje, oczekiwania i plany. Z czasem sama walizka staje się częścią tych wspomnień, nosząc ślady przebytych tras, lotnisk i przygód, a tych w moim życiu jest wiele – od przeżytego na własnej skórze trzęsienia ziemi, przez obserwowanie strachu po zamachach w Ziemi Świętej, aż po przesłuchania przez służby. Tak było m.in. w Turcji i Izraelu. Obserwowałem strefę zdemilitaryzowaną w Korei oraz życie na pustyni w Afryce. Praca dziennikarza, który podróżuje, wydaje się sielanką, ale to właśnie wtedy człowiek uczy się najwięcej, zwłaszcza o sobie samym.





PIENIĄDZE

Monety i banknoty z różnych krajów, które zbieram, przypominają mi konkretne momenty: kawę wypitą na małym placu, bilet kupiony w pośpiechu, targ pełen kolorów i zapachów, a także ludzi, którzy trzymali je przede mną. Wśród nich są np. te z Korei Południowej, USA czy Maroka.



eprasa.pl efcf109b2d





MASZYNA DO PISANIA

Przypomina mi, że niektóre chwile najlepiej zachować w słowach. Pisanie porządkuje myśli, zatrzymuje emocje i pozwala lepiej zrozumieć siebie oraz świat.



KSIĄŻKI

W mojej walizce zawsze jest miejsce na książki. Najczęściej wybieram reportaże oraz publikacje o Bliskim Wschodzie, Afryce i stosunkach międzynarodowych. Dzięki nim lepiej rozumiem miejsca.



GRA

Świat gier komputerowych to dla mnie nie tylko rozrywka, lecz także sposób na relaks i oderwanie się od codzienności. Lubię dobrze opowiedziane historie, wyzwania i możliwość odkrywania nowych, wirtualnych światów.



STARY SCYZORYK

Od lat towarzyszy mi w podróżach. To nie tylko praktyczne narzędzie, lecz także symbol gotowości na niespodziewane sytuacje i przypomnienie, że najprostsze przedmioty często mają największą wartość.



ZEGARKI

Choć w mojej kolekcji jest kilkanaście zegarków, są takie, po które sięgam niemal każdego dnia. Nie dlatego, że są najdroższe, ale dlatego, iż wiążą się z ważnymi wspomnieniami. Moje zegarki przypominają, że najcenniejsze w życiu są chwile, których nie da się cofnąć.



ZESTAW DO PARZENIA KAWY

Z Izraela. Przypomina mi, że dobra kawa to coś więcej niż napój. Uwielbiam świeżo parzoną kawę, jej aromat, smak i chwilę zatrzymania, którą daje, niezależnie od tego, gdzie jestem.



ZDOBIONA DESKA

Nie przywożę z podróży przypadkowych pamiątek. Tę deskę do serów znalazłem na targu staroci w Holandii. Ma charakter, historię i za każdym razem przypomina mi o tamtym miejscu.



PASJE

Prawdziwy sens życia i podróżowania nadają momenty, w których wychodzimy poza strefę komfortu i odkrywamy, jak wiele jesteśmy w stanie zrobić. Dla mnie takimi chwilami są doświadczenia, które wymagają odwagi: skok ze spadochronem, nurkowanie czy przekraczanie własnych barier.



APARAT FOTOGRAFICZNY

To absolutny must have w każdej mojej podróży. To dzięki niemu mogę zatrzymać chwile. Każde zdjęcie stanowi zapis emocji, światła, miejsca i ludzi, których spotykam po drodze. Wracając do tych fotografii, wracam też do konkretnych momentów, śmiechu, zachwytu, spokoju czy ekscytacji.



RODZINA

Każda najlepsza podróż zaczyna się od właściwych towarzyszy. Dla mnie są nimi dzieci, Janek i Majka, a także partnerka Monika i nasza wierna Molly – suczka rasy lagotto romagnolo. Razem odkrywamy świat i dostrzegamy to, czego sami nigdy byśmy nie zobaczyli.

Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

Fot. Andrzej Wiktor, prywatne archiwum Damiana Stanisławskiego

eprasa.pl efcf109b2d

Dwa lata walki o prawdę



Przez ostatnie dwa lata konsekwentnie kierowałem do Komisji Europejskiej interpelacje dotyczące odpowiedzialności za wywołanie II wojny światowej. Wielokrotnie opisywałem na łamach moich felietonów, że Komisja, odpowiadając na moje pytania, unikała wskazania państwa odpowiedzialnego za tę zbrodnię. Zamiast tego posługiwała się określeniem „reżimy totalitarne", jakby sprawcy nie mieli narodowej tożsamości ani własnego państwa.

Można odnieść wrażenie, że w dominującej narracji części instytucji unijnych historia II wojny światowej została sprowadzona przede wszystkim do pamięci o Holokauście oraz ogólnych odniesień do „reżimów totalitarnych". Coraz rzadziej pojawia się natomiast jednoznaczne wskazanie, że sprawcą wybuchu wojny i odpowiedzialne za jej zbrodnie były nazistowskie Niemcy. Taki sposób przedstawiania historii prowadzi do stopniowego rozmywania odpowiedzialności państwa, które rozpętało największy konflikt w dziejach świata, a jednocześnie marginalizuje doświadczenie Polski i innych narodów Europy Środkowo-Wschodniej.

Dlatego odpowiedź, którą otrzymałem w ubiegłym tygodniu, ma szczególne znaczenie. Po dwóch latach konsekwentnych interpelacji Komisja Europejska po raz pierwszy wprost napisała, że odpowiedzialność za wywołanie II wojny światowej oraz jej zbrodnie ponoszą nazistowskie Niemcy. Nie jest to jedynie kwestia jednego zdania. To oficjalne potwierdzenie prawdy historycznej przez instytucję, która wcześniej konsekwentnie unikała tak jednoznacznego sformułowania.

To dowód, że konsekwencja przynosi efekty. Kropla naprawdę drąży skałę. Nie zamierzam jednak poprzestać na tym jednym sukcesie. Jeżeli przez lata w europejskich instytucjach próbowano rozmywać odpowiedzialność Niemiec za wybuch wojny, to naszym obowiązkiem jest konsekwentnie przywracać tę prawdę. Historia nie może być pisana na nowo pod dyktando politycznej poprawności ani interesów najsilniejszych państw. Europa, która nie ma odwagi nazwać sprawców swoich największych tragedii, naraża się na utratę własnej wiarygodności. Prawda historyczna nie podlega negocjacjom. Niemcy rozpętały II wojnę światową, Polska była jej pierwszą ofiarą i nikt nie ma prawa tego relatywizować ani wymazywać z europejskiej pamięci.

Arkadiusz Mularczyk

Samobójstwo korupcją podlane



Samuel Pereira

„Pół miliona migrantów ma dostać prawo do legalnego pobytu w Hiszpanii". Takie nagłówki można było przeczytać jeszcze w połowie kwietnia. Jaka jest rzeczywistość? Dziś, gdy podliczono wszystkie złożone wnioski, ich liczba przekracza milion – wynosi dokładnie 1 174 978. Liczby nie kłamią: to ponad dwa razy więcej, niż zakładano. A ostatecznie zalegalizowanych nielegalnych migrantów będzie jeszcze więcej, jeśli weźmiemy pod uwagę tzw. łączenie rodzin. Każdy zalegalizowany imigrant może sprowadzić średnio trzy osoby z rodziny, co w efekcie – i nie jest to teoria spiskowa, tylko cytowane przez „El Mundo" ostrzeżenia policji – w ciągu roku może dać nawet 3 mln osób.

Lewica jak zwykle jest w szoku, bo już pojawiły się problemy z kontrolami (przed którymi ostrzegała prawica, ale kto by jej tam słuchał, prawda?), brakuje bowiem środków na dokładne sprawdzanie. Obowiązek weryfikacji dokumentów i przeszłości kryminalnej częściowo przerzucono z policji na Ministerstwo Migracji. Kieruje nim Elma Saiz Delgado, polityk obozu władzy, niegdyś delegatka rządu w Nawarze za czasów radykała José Luisa Rodrígueza Zapatero, dziś znanego głównie z ciężkich zarzutów kryminalnych związanych z brutalnym reżimem Hugo Cháveza i Nicolása Maduro w Wenezueli.

Zwracam uwagę na ten aspekt, bo jak zwykle tam, gdzie lewica, tam wyłazi korupcja, której w świecie nielegalnej migracji jest bardzo dużo. Mniej więcej tyle, co pieniędzy, które dzięki lewicowej agendzie trafiają do kieszeni mafii zajmujących się przemytem ludzi. Brak odpowiedniej weryfikacji zwiększa ryzyko oszustw, np. kupowania fałszywych dokumentów czy „świadków" przy łączeniu rodzin. To niejedyne obawy policji w Hiszpanii. Dochodzą do tego zagrożenia, takie jak przeciążenie służby zdrowia, szkół i pomocy społecznej. „El sistema va a quebrar" („System się załamie") – ostrzega w wewnętrznym raporcie hiszpańskiej policji Główny Komisariat ds. Cudzoziemców i Granic, a więc instytucja zajmująca się ściśle kwestiami migracyjnymi, niezwiązana z opozycją. Do tego dochodzi ryzyko wzrostu napięć społecznych i problemów z bezpieczeństwem, o skutkach religijnych i kulturowych nie wspominając. Dla lewicy wszystko to znaczy tyle, co głos kilkudziesięciu tysięcy protestujących obywateli. Czyli nic.

eprasa.pl efcf109b2d

Wypaleni

Wypalenie w pracy – fakt! Czy wypalenie w pracy to wypalenie w życiu? Z życia?



Jakby na przekór temu, że w ostatniej dekadzie znacznie spadło bezrobocie, polepszyła się sytuacja zawodowa Polaków, a w wielu branżach występuje wręcz „rynek pracownika", z roku na rok statystycznie rośnie liczba ludzi deklarujących wypalenie zawodowe.

Obecnie dotyka ono nawet 78 proc. aktywnych zawodowo Polaków, z czego ponad 60 proc. przyznaje, że doświadczyło go osobiście. Aż 89 proc. respondentów uważa, że pracodawcy w Polsce bagatelizują skalę tego zjawiska.

Pokolenia baby boomers, X, Y, Z są nim dotknięte podobnie, choć w kontekście różnych aspektów życia.

Potocznie mówi się więc o epidemii wypalenia zawodowego i to chyba trafne określenie, bo tak jak śmiech jest zaraźliwy, również frustracją i niezadowoleniem można się zarazić. To, że kolejne pokolenia są mniej odporne psychicznie i bardziej skupione na sobie, dolewa tylko oleju do społecznego ognia.

Na ulicach obserwujemy ładną fasadę, nie widzimy ludzi ze spuszczoną głową, więc chciałoby się powiedzieć, że statystyki nie mówią całej prawdy. Dlaczego więc ci z pozoru szczęśliwi, mający niezłą pracę, młodsi i starsi, syci i dobrze odziani ludzie deklarują, że czują się tak bardzo podle? Czyżby było gorzej, bo jest lepiej? Jakby nowy, kolorowy styl życia pełnego atrakcji, wolności i różnorodności nie służył w pełni człowiekowi, jakby prowadził na manowce?

Co jest przyczyną takiej sytuacji, jak można ją polepszyć – zastanawiają się wypaleni zawodowo, a także gremia pracodawców, bo nie od dziś wiadomo, że dobry pracownik to zadowolony pracownik.

Wiele osób świadomie lub nieświadomie uczestniczy w wyścigu szczurów, nadrabiając różne dystanse, by zapewnić sobie poziom dostatku, który w ich otoczeniu nie stygmatyzuje. Towarzyszy temu przyspieszenie i pośpiech, pragnienie osiągnięcia wszystkiego w szybkim czasie i w warunkach ciągłej rywalizacji. Badania wskazują, że społeczeństwa wysoko rozwinięte, do których należy także Polska, nawet poruszają się coraz szybciej. Informacje docierające lotem błyskawicy, zmiany w technologiach. Szybkie tempo pracy zostało uhonorowane jako bezcenny atut pracownika XXI w.

Co interesujące, pieniądze nie znajdują się w czołówce przyczyn wypalenia zawodowego. „Nauczyciele są sfrustrowani, bo ich wypłaty są wciąż do bani"? To tylko mała część prawdy o rosnącym niezadowoleniu z własnej sytuacji. Dobrze rozpoznawalna Doda w ostatniej piosence zadziwiająco szczerze podsumowuje swoje pełne sukcesów, dostatnie finansowo życie, wyśpiewując: „Mam wszystko, ale nie mam nic...".

Wymarzona praca, pełna zaangażowania, która satysfakcjonuje i w której jesteśmy doceniani, to tylko jeden z elementów zadowolenia. Może bowiem być jak drzewo, które płonie i szybko się wypala.

Wypalenie dobrze przedstawia powieść angielskiego pisarza Grahama Greene'a z 1960 r. Jej bohater, młody, genialny architekt, na pewnym etapie kariery czuje, że praca nie przynosi mu już satysfakcji, nie widzi w niej sensu. By uciec od dręczącej frustracji, decyduje się na anonimowe życie w dżungli. Tym tropem podąża dziś część „wypalonych" Polaków, decydujących się na wyprowadzkę z miasta np. w Bieszczady i hodowanie owiec.

Przyczyny, skutki i sposoby przeciwdziałania wypaleniu zawodowemu bada i opisuje wielu naukowców, choćby Christina Maslach, która przez całe swoje zawodowe życie w dynamicznie zmieniających się czasach i okolicznościach przygląda się temu zjawisku, uzupełniając je o nowe znaczenia. Zagrożenia XXI w. zweryfikowały i zmieniły myślenie o wypaleniu i objęły swoim zasięgiem wszystkie zawody. Specjaliści twierdzą, że ani wiek, ani zawód, ani długość stażu absolutnie nie determinują tego, czy możemy się wypalić, czy nie.

Niestety nie ma jednego uniwersalnego środka czy pigułki na wypalenie. Wprawdzie sporo się dzieje po stronie pracodawców, by polepszać zadowolenie pracowników z pracy i płacy, ale dużo zależy także od nas samych – od tego, czy sami potrafimy sobie odpowiedzieć na pytanie o granice naszych możliwości i potrzeb.

Tak, to uczciwa diagnoza – najpierw trzeba przyjrzeć się sobie, co jest dla nas ważne w życiu, jak chcemy je przeżyć, co chcemy robić, jakie mamy ku temu predyspozycje i realne możliwości. „Poznaj samego siebie" – pozostaje jednym z najważniejszych przesłań, które do dziś nie straciło na aktualności. Ta maksyma była wyryta na frontonie świątyni Apollina w Delfach. Ta mądrość zachęca do samowiedzy.

Joanna Formela

Autorka podręcznika dla doradców zawodowych, coach dobrych relacji

Fot. Shutterstock

eprasa.pl efcf109b2d

TRENDY I OWĘDY

A jednak UFO

Kiedyś lato było sezonem ogórkowym. Media koncentrowały się na potworze z Loch Ness, yeti, tajemnicach piramid, złotym pociągu, oczywiście żelaznym tematem było UFO. Do sensacji typu zapchajdziura pasuje wiadomość, że lekarz pracował przez 55 godzin, a pielęgniarka 49 bez przerwy, ale to akurat jest nasza rzeczywistość.



Ryszard Makowski

Do kin wszedł film „Dzień objawienia", wspomagający dyskusję o penetrowaniu Ziemi przez obce cywilizacje. Reżyserem i pomysłodawcą scenariusza jest Steven Spielberg. Mistrz kina akcji ma w swoim dorobku „E.T." i „Bliskie spotkania trzeciego stopnia". Ocenianie filmu przez „mędrca szkiełko i oko" nie jest celowe. Kino typu zabili go i uciekł ma z założenia nieszczelne momenty narracji, Spielberg jednak potrafi prowadzić kamerę tak, aby wciągnąć widza w akcję. Film nie jest wyłącznie błahym zabawiaczem, ma warstwę paradokumentalną. Nawiązuje do pogłosek o Strefie 51 i do tego, że obcy są przetrzymywani w tajnej bazie wojskowej w Nevadzie. Prezentuje materiały od dawna krążące jako niepotwierdzone ciekawostki, na których widać ufoludki i statki pozaziemskie. Spielberg podejmuje pytanie, dlaczego ta wiedza jest tajna. Biorąc pod uwagę, że administracja Trumpa rozpoczęła publikację zdjęć i filmów dotyczących niezidentyfikowanych obiektów, nie wiadomo, czy w przypadku tej produkcji nie mamy do czynienia z przygotowaniem opinii publicznej na informację, że kosmici od dawna są tutaj obecni. Ponoć są przyjaźni.

Może się okazać, że letnie mrzonki medialne skrywały największą tajemnicę ludzkości. To dopiero będzie sensacja, nie tylko na sezon ogórkowy.

ZDJĘCIE TYGODNIA

SABAŁOWA NOC W BUKOWINIE TATRZAŃSKIEJ



Fot. Marcin Szkodziński/Polska Press/East News

SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, RYSZARD CZARNECKI, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, PIOTR GURSZTYN, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, KONRAD KOŁODZIEJSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NALASKOWSKI, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, STANISŁAW PŁUŻAŃSKI, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, JERZY SZMIT, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA S.A.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ROBERT GOŁASZEWSKI, ROBERT.GOLASZEWSKI@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA S.A., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA S.A. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT.: HENRY NICHOLLS/AFP/EAST NEWS, ANDRZEJ WIKTOR, THOMAS HARTWELL/ASSOCIATED PRESS/EAST NEWS, SHUTTERSTOCK/HANNA SUROVA, MOHANNAD KHATIB, PARILOV

Zamów prenumeratę Sieci!

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
Krajowa	118 zł	207 zł	375 zł
Zagraniczna	296 zł	566 zł	1099 zł

**Dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl efcf109b2d

Imperium Zełenskiego



Ukraina wyjdzie z wojny z Rosją jako mocarstwo. Nie tylko trzymające Rosję w szachu, czyli jako realne przedmurze Zachodu, lecz także decydujące o kształcie i przyszłości Europy. O tym, jak będą się zmieniać Unia Europejska i NATO, kto będzie gwarantem pokoju na Starym Kontynencie. A także o roli Polski, która ukraińskiemu mocarstwu może tylko służyć, bo rywalizować z nim nie będzie w stanie.

To nie jest „sen wariata śniony nieprzytomnie" – gdyby odwołać się do słów Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego z wiersza „Serwus, madonna". Plany prezydenta Wołodymyra Zełenskiego i kijowskich elit dotyczące przekształcenia Ukrainy w mocarstwo regionalne po zakończeniu wojny z Rosją bazują na koncepcji „pokoju poprzez siłę" oraz pozycji strategicznego gwaranta bezpieczeństwa dla całej Europy. Fundamentem tej wizji są wciąż ewoluujące założenia Planu Zwycięstwa, przedstawionego 16 października 2024 r. w Radzie Najwyższej, a dzień później na posiedzeniu Rady Europejskiej. Zełenski oficjalnie zaproponował, aby po wojnie ukraińskie jednostki wojskowe – posiadające wyjątkowe, wieloletnie doświadczenie w pełnoskalowej wojnie konwencjonalnej – zastąpiły niektóre kontyngenty sił zbrojnych USA stacjonujące w bazach na terenie Europy. Ukraińska armia ma się stać główną siłą odstraszającą i zabezpieczającą przed ponowną agresję na kontynencie, co uczyni z Ukrainy kluczowego architekta europejskiego systemu bezpieczeństwa.

Bezwarunkowe zaproszenie do NATO stanowi pierwszy i najważniejszy punkt planów Zełenskiego. Członkostwo w Pakcie ma ostatecznie przypieczętować status Ukrainy jako pełnoprawnego, podmiotowego, a wręcz dominującego gracza w Europie Środkowo-Wschodniej. Budowa nowoczesnego, odpornego i suwerennego państwa ukraińskiego zakłada wdrażanie zaawansowanych programów zbrojeniowych, takich jak paneuropejska inicjatywa antybalistyczna Freya czy współpraca w ramach formatów obronnych SAFE, wspieranych kwotą do 150 mld euro.



STANISŁAW JANECKI

Ukraina realizuje plan stworzenia mocarstwa dyktującego warunki NATO i Unii Europejskiej oraz całkowicie marginalizującego Polskę

Kijów proponuje swoim zachodnim partnerom (USA, NATO i UE) specjalne porozumienia dotyczące ochrony oraz komercyjnego wykorzystania ukraińskich złóż minerałów krytycznych (takich jak lit, tytan, uran i grafit), które są kluczowe w nowoczesnych technologiach i transformacji energetycznej. Ukraina ma być hubem technologicznym, masowo produkującym drony, systemy walki elektronicznej oraz nowoczesną artylerię na potrzeby globalnych rynków.

Władze w Kijowie uznały, że Polska odegrała już swoją rolę jako zaplecze logistyczne i dostawca pierwszej pomocy militarnej. W takich celach jak powojenna odbudowa czy integracja z UE i NATO Ukraina potrzebuje partnerów o znacznie większych zasobach finansowych i wpływach politycznych. Stąd wyraźne zbliżenie prezydenta Zełenskiego z Niemcami i Francją, czego symbolem stało się powołanie w Paryżu koalicji antybalistycznej Freya z pominięciem Polski. Kijów rozmawia z najsilniejszymi graczami ponad głowami władz w Warszawie, bo nie uważa ich ani za partnera, ani za godnego rywala. A jeśli to się nie spodoba i wywoła jakieś kontrposunięcia, Ukraina może potraktować Polskę jak wroga.

NARÓD WYBRANY

Nieprzypadkowo mesjanistyczny czy teologiczny wymiar ukraińskiemu mocarstwu i tworzącemu je narodowi stara się nadać generał, który karierę zrobił w wywiadzie, a obecnie jest szefem kancelarii prezydenta Zełenskiego. To Kyryło Budanow 10 lipca 2026 r. obwieścił, że „Ukraińcy to naród wybrany. Wśród Słowian jest on z pewnością wybrany. Dlatego wszyscy trwamy i będziemy trwać – stąd wszystko wyszło, całe prawosławie przyszło do Słowian właśnie stąd. Nikt nie może tego zmienić, jakkolwiek by nie próbowano". Zełenski celowo wystawia Budanowa, bo to on jest symbolem ukraińskiej siły, a ma być wręcz straszakiem. Brał udział w wojnie w Donbasie w 2014 r., uczestnicząc w kilku operacjach specjalnych, gdzie dwukrotnie został ranny. Jak ujawnił w 2024 r. „The New York Times", należał do elitarnej jednostki HUR – 2245, szkolonej w sekrecie od ok. 2016 r. przez CIA. Na początku 2020 r. został zastępcą dyrektora Departamentu Służby Wywiadu Zagranicznego Ukrainy, a już kilka miesięcy później szefem Głównego Zarządu Wywiadu Ministerstwa Obrony (HUR). Miał wówczas zaledwie 34 lata. Rok później został awansowany na stopień generała brygady, a w latach 2022 i 2023 na kolejne stopnie generalskie – generała majora i generała porucznika.

Nieprzypadkowo właśnie Budanow pojawił się w imieniu Zełenskiego w Warszawie, gdy doszło do kryzysu po nazwaniu ukraińskiej jednostki imieniem „Bohaterów UPA". To on stwierdził, że „Ukraina nie przyjmie ultimatum od nikogo na tym świecie. Ostatnio to Rosja próbowała postawić nam ultimatum. Bez urazy wobec Polski, ale jest nieco potężniejsza niż Polska, a my i tak go nie przyjęliśmy. Tak, jest ciężko, źle, jest dużo krwi. Ale nawet ich ultimatum nie przyjęliśmy. Dlaczego ktoś więc sądzi, że przyjmiemy coś innego, z innej strony? Nie należy rozmawiać z nami za pomocą ultimatum". To zabrzmiało jak groźba. I miało tak zabrzmieć.

Zarówno Polska, jak i Ukraina widzą się w roli naturalnego lidera pasa państw między Bałtykiem a Morzem Czarnym, co rodzi strukturalny kon-

Fot. na poprzedniej stronie/ Shutterstock x5

eprasa.pl efcf109b2d



flikt interesów. Warszawa dąży do budowy silnego bloku bazującego na inicjatywie Trójmorza i sojuszu z USA, w którym Rzeczpospolita – jako największa gospodarka regionu – jest naturalnym zwornikiem i reprezentantem interesów Europy Środkowej. Kijów uważa, że to Ukraina, dysponując dużą, zmodernizowaną w boju armią, ponosząc krwawą ofiarę i kontrolując strategiczne zasoby, wywalczyła sobie moralne i militarne prawo do bycia głównym gwarantem bezpieczeństwa w tej części kontynentu. To, co dla wielu Polaków było szokiem, czyli ujawnienie przez Zbigniewa Parafianowicza w książce „Kłopot z Zełenskim" propozycji Ukrainy złożonej USA (latem 2023 r.), by po wycofaniu wojsk amerykańskich z Polski zastąpiły je siły ukraińskie, w Kijowie jest traktowane jako oczywistość. Przecież plan zastąpienia wojsk USA w Europie siłami ukraińskimi wprost pozycjonuje Ukrainę jako nowego regionalnego hegemona.

Krzysztof Wojczal, prawnik, analityk i publicysta, zauważył, że „Kijów czuje się silniejszy niż Warszawa – tak było przed 2014 r., przed 2022 r. i, o ironio, także teraz – więc nie ma szans na żadne braterstwo, bo oni nasze przytulasy będą traktować jako podstęp w drodze do oswojenia i asymilacji. Ich nastawienie mentalne wyklucza braterstwo i partnerstwo na równych zasadach. Chcą nas rozgrywać z Berlinem jako gracz silniejszy".

Jeszcze dalej idzie publicysta i analityk dr Józef Orzeł: „Elita ukraińska postanowiła zagrać po bandzie, na wielkim ryzyku, ale o ogromną stawkę.

> Plany prezydenta Wołodymyra Zełenskiego i kijowskich elit dotyczące przekształcenia Ukrainy w mocarstwo regionalne po zakończeniu wojny z Rosją bazują na koncepcji „pokoju poprzez siłę" oraz pozycji strategicznego gwaranta bezpieczeństwa dla całej Europy

Będzie gwarantem bezpieczeństwa Bałtów, a może i Skandynawii. Pośle tam 5–15 tys. żołnierzy ze swego zaplecza i Rosjanie nie zaatakują, jeśli Bałtowie będą się bali ukraińskich »okupantów«, dośle się tam korpus żołnierzy niemieckich i holenderskich – wtedy niepotrzebny będzie obronny blok Międzymorza i kierownicza rola Polski w nim. Wtedy Polska, bez siły Międzymorza, nie będzie mogła negocjować z Berlinem i Brukselą (B&B) transakcji: bezpieczeństwo wschodniej flanki w zamian za zostawienie jej w spokoju, bez ideologicznego przymusu tworzenia jednego państwa z UE, genderyzacji, migracji i klimatyzacji. B&B będą mogły narzucać Polsce i reszcie UE, co będą chciały. Polska (i reszta UE) straci suwerenność". Józef Orzeł uważa, że „Ukraina nie musi wchodzić do UE – po co jej kolonizacyjna polityka B&B. Ukrainie wystarczy wspólny wolny rynek, co już Merz jej obiecał. Ukraina okaże się najbardziej innowacyjnym krajem Europy – jej rząd pozwoli innym gałęziom biznesu działać tak, jak zbrojeniowemu – bez biurokratycznych regulacji, oddolnemu, prywatnemu, rozproszonemu. Najpierw przemysł dual use, a potem cywilny. Ukraina zbuduje nowy ustrój jak w Chinach: autorytarny w polityce, liberalny w gospodarce (z korupcją, jak zwykle, jako »smarem« w trybikach biznesu)". Z tego wynika, że „Polska dla Ukrainy jest głównie rywalem, którego trzeba pozbawić suwerenności. [...] Ukraina zaczyna prowadzić politykę imperialną, w swoim interesie. Elita ukraińska to ukraińscy sowieci, tyle że antyrosyjscy. Po ustaniu gorącej wojny powstaną dwie osie: Niemcy–Rosja i Niemcy–Ukraina. Jeśli USA wycofają się z Europy, obie osie połączą się w trójkąt współpracy – ze skolonizowaną Polską pośrodku. Jak do tego nie dopuścić? Budować suwerenny blok obronny Międzymorza, popierać i wybierać tylko tych polityków, którzy wspólnie zaplanują jego powstanie i działanie. A wyborcy muszą stale, codziennie kontrolować jego realizację".

PROSTY PLAN

Władze Ukrainy sformułowały swoje mocarstwowe zamiary w pięciu punktach planu Zełenskiego z października 2024 r. Pierwszy dotyczył natychmiastowego zaproszenia Ukrainy do NATO. Drugi zakładał wzmocnienie

Fot. Shutterstock

eprasa.pl efcf109b2d

ukraińskiego przemysłu zbrojeniowego i zniesienie zakazu przeprowadzania uderzeń rakietowych na cele wojskowe na terytorium Rosji. Trzeci mówił o rozmieszczeniu na Ukrainie „kompleksowego niejądrowego pakietu odstraszania strategicznego", który mógłby skutecznie odstraszać Rosję przed dalszą agresją. Czwarty proponował podpisanie z zachodnimi partnerami specjalnej umowy o ochronie i wykorzystaniu znajdujących się na Ukrainie strategicznych surowców mineralnych. Piąty obejmował ofertę rozmieszczenia w bazach na terenie Europy żołnierzy ukraińskich zamiast amerykańskich sił. Pomóżcie nam, a będziemy waszym żandarmem – tak można streścić tę propozycję.

Swoją drogę do mocarstwowości Ukraina rozpoczęła od propozycji wojskowych (zbrojeniowych). Na początku lipca 2026 r. dziewięć europejskich państw wraz z Ukrainą rozpoczęło prace nad utworzeniem koalicji na rzecz rozwoju obrony antybalistycznej. Wspólną deklarację podczas szczytu tzw. koalicji chętnych podpisano w Paryżu. Polska nie znalazła się w tym formacie. Pod dokumentem podpisali się przywódcy Danii, Francji, Hiszpanii, Holandii, Niemiec, Norwegii, Szwecji, Wielkiej Brytanii, Włoch oraz Ukrainy. Sygnatariusze podkreślili, że rosnące zagrożenie ze strony pocisków balistycznych wymaga budowy nowoczesnego, zintegrowanego systemu obrony Europy. Jednym z filarów projektu mają być doświadczenia Ukrainy zdobyte podczas trwającej wojny z Rosją. Rząd Donalda Tuska, a konkretnie przedstawiciele MON, MSZ i Ministerstwa Aktywów Państwowych, negocjował z Ukraińcami udział Polski w koalicji antybalistycznej, ale został „wysłany na drzewo". Ukraińcy powiedzieli zachodnim partnerom, że z wojskowego punktu widzenia Polska nie ma nic do zaproponowania w kwestii tworzenia tarczy antybalistycznej.

Kijów odpowiada w tej koalicji za opracowanie i dostarczenie pocisków przechwytujących. Projekt ma realizować prywatna ukraińska firma Fire Point, która opracowała pocisk FP-7.x. Obecnie podstawą obrony Kijowa są amerykańskie systemy MIM-104 Patriot. Pojedynczy pocisk przechwytujący PAC-3 kosztuje jednak 5–7 mln dol, a koszt produkcji ukraińskiej rakiety FP-7.x szacuje się na ok. 700 tys. dol. Chodzi o pocisk przechwytujący rosyjskie rakiety balistyczne, których produkuje się 600–800 rocznie. Dzięki wsparciu finansowemu i technologicznemu największych europejskich koncernów zbrojeniowych system Freya ma być masową, łatwą w montażu i tanią alternatywą. To pozwoli Ukrainie samodzielnie ochronić własną przestrzeń powietrzną.

> Budanow: „Ukraina nie przyjmie ultimatum od nikogo na tym świecie. Ostatnio to Rosja próbowała postawić nam ultimatum. Bez urazy wobec Polski, ale jest nieco potężniejsza niż Polska, a my i tak go nie przyjęliśmy. Tak, jest ciężko, źle, jest dużo krwi. Ale nawet ich ultimatum nie przyjęliśmy. Dlaczego ktoś więc sądzi, że przyjmiemy coś innego, z innej strony?"

Spółka Fire Point odpowiada za przygotowanie produkcji serii dronów uderzeniowych dalekiego zasięgu FP-1 (do 1,6 km), średniego zasięgu FP-2 (do 200 km), pocisków manewrujących dalekiego zasięgu FP-5 Flamingo (do 3 tys. km), a także pocisków balistycznych: taktycznego FP-7 o zasięgu do 200 km i operacyjnego FP-9 o zasięgu do 855 km. „Wkrótce rakiety przechwytujące będą na niebie nie tylko Ukrainy, lecz także całej Europy" – napisał na swoim profilu na portalu X współwłaściciel i główny konstruktor Fire Point Denys Sztilerman. Spółka opracuje pocisk przechwytujący FP-7.x o długości 7,25 m i średnicy kadłuba 0,53 m (1,15 m wraz z usterzeniem). Lekki kadłub ma być całkowicie kompozytowy. Pocisk ma osiągać prędkość do 1,5 m/s (Ma 4,4), co pozwoli na przechwytywanie rakiet balistycznych. Mają być wystrzeliwane z opracowywanej samobieżnej wyrzutni. Razem z niemiecką spółką Diehl Defence ma zostać opracowana głowica poszukiwawcza z czujnikiem podczerwieni dla pocisku. Architektura systemu Freya ma bazować na protokołach systemów wymiany danych klasy Link 16 standardu NATO STANAG 5516 i protokołach wymiany danych ASTERIX, centrum dowodzenia FDC (Fire Distribution Center) norweskiej spółki Kongsberg Defence & Aerospace oraz opcjonalnych systemów radiolokacyjnych, takich jak Giraffe 8A/4A szwedzkiej spółki Saab Defence and Security i Ground Master GF300/400 francuskiej grupy Thales jako radarów wykrywania, a także GFTR-2100/48 duńskiej spółki Weibel Scientific A/S lub Kronos Land włoskiej grupy Leonardo jako radarów śledzenia.

Widać wyraźnie, jak Ukraina umiejętnie wciągnęła przemysł zbrojeniowy Europy w realizację swoich celów, stając się przy tym państwem, którego nie da się potem zmarginalizować ze względu na dostarczanie kluczowych elementów systemu. I to ma być wojskowa część ukraińskiej mocarstwowości. Polska została z tego wyeliminowana, by pokazać, iż skoro nie jest ważnym graczem obecnie, nie będzie nim też w przyszłości.

Prezydent Zełenski i ukraińskie elity uważają, że po wojnie Ukraina zostanie przez Zachód uznana za naturalnego lidera regionu. Jeśli Polska zostanie wyeliminowana z tej rywalizacji już na początku – a tak się dzieje w związku z koalicją obrony antybalistycznej – nasz kraj nie będzie dla Ukrainy przeszkodą w jej snach o potędze i mocarstwowości. I tu prezydent Zełenski czy jego przyboczny Budanow wyraźnie dają do zrozumienia, że po wojnie Polska może się tylko podporządkować Ukrainie, a jeśli tego nie zrobi, pozna wszelkie złe strony bycia jej wrogiem.

eprasa.pl efcf109b2d

Czasu do wyborów nie zmarnujemy

Nasz program będzie bardzo atrakcyjny. Już przedstawiliśmy trzy punkty. Po pierwsze, wyjście z ETS, co obniży koszty energii elektrycznej. Po drugie, odejście od podatku PIT oraz składek emerytalnych i rentowych od wynagrodzeń za pracę emerytów do kwoty 2,5 tys. zł netto. Po trzecie, podniesienie progu podatkowego ze 120 do 180 tys. rocznie

Z posłem Mariuszem Błaszczakiem, przewodniczącym Klubu Parlamentarnego Prawa i Sprawiedliwości, rozmawia Jerzy Szmit



Fot. Andrzej Wiktor

„Niech się pali, niech się wali, niech benzyna będzie po 15 zł, byleby PiS nie rządziło" – według badań tak myśli ok. 30 proc. wyborców. Jak sobie z tym poradzić?

Mariusz Błaszczak: Ogromną większość czasu po 1990 r. rządzi w Polsce postkomuna. Tak nazwała to śp. prof. Jadwiga Staniszkis. Układ lewicowo-liberalny plus część elit postsolidarnościowych wytworzył u części Polaków postawy, o których teraz mówimy. Pani profesor uważała też, że sposobem na przełamanie tego jest mówienie prawdy. Tak jak chociażby w sprawie Szpitala Południowego i tej wielkiej afery. Informacja o tym dotarła również do tych, którzy wspierają układ funkcjonujący w Polsce i pokazuje, jak fatalnie rządzi koalicja 13 grudnia. Będziemy mówić o tym, a także o wszystkich innych „wyczynach" tej władzy.

Może potrzeba pracy ekspertów, by podpowiedzieli, w jaki sposób rozmawiać z tymi ludźmi?

Prof. Andrzej Nowak na konwencji Prawa i Sprawiedliwości w Katowicach w 2024 r. przywołał badania PAN, z których wynikało, że 14 proc. Polaków nie identyfikuje się z Polską, polskość jest wręcz dla nich problemem, a 28 proc. ma do Polski stosunek ambiwalentny. Właśnie postkomuna, media głównego nurtu i wreszcie postawa władzy wpajają nam, że pora odciąć się od naszej historii, przeszłości, tradycji i wybrać postęp oraz europejskość. Stale działa pedagogika wstydu, zrzucająca na nas choćby odpowiedzialność za niemieckie zbrodnie popełnione w czasie II wojny światowej. Kiedy rządziło PiS, zrobiliśmy wiele, aby to przełamać. Np. organizacje pozarządowe o charakterze konserwatywnym po raz pierwszy zyskiwały dofinansowanie na promowanie prawdy o naszej historii. A to tworzy alternatywę wobec fatalnych rządów koalicji 13 grudnia. Tu chodzi nie tylko o historię, lecz także o tworzenie dzisiejszych postaw i budowanie przyszłości.

Z badań wynika też, że aby pokonać obecny rząd, konieczna jest konsolidacja sił prawicowych i konserwatywnych. Czy wyborcy mogą na to liczyć?

Jesteśmy gotowi do współpracy. Już w 2025 r. przekazaliśmy na ręce przewodniczącego Konfederacji Sławomira Mentzena listę 10 punktów stanowiących fundament rozmów programowych. Niestety zostały one odrzucone. Mamy świadomość, że są między nami różnice, ale więcej przemawia za współpracą niż za różnicami. Również wyborcy zawsze powtarzają nam na spotkaniach (a jeździmy dużo po Polsce), że celem powinny być zmiany, a to można osiągnąć tylko przez odsunięcie od władzy złego rządu Donalda Tuska. Mentzen natomiast odrzucił wszystkie punkty łącznie z pierwszym – wykluczeniem koalicji z Tuskiem. To nas jednak nie zniechęca i szukamy partnerów.

A co z Grzegorzem Braunem?

Jego różne wypowiedzi, a przede wszystkim zanegowanie niemieckich komór gazowych w Auschwitz, są działaniami na szkodę Polski, wpisującymi się w kłamstwo obarczania nas odpowiedzialnością za niemieckie zbrodnie. To wyklucza współpracę.

eprasa.pl efcf109b2d

Minimum oczekiwanym przez wyborców jest wspólna lista do Senatu. Czy PiS chce takiego porozumienia?

Oczywiście tak. Liczymy też na patronat pana prezydenta Karola Nawrockiego. On jest liderem zaufania wśród polityków i trzeba zauważyć jego pozycję wśród wyborców. W odróżnieniu od rządu, który większość ocenia negatywnie. Postawa pana prezydenta byłaby bardzo pomocna i wierzę, że skuteczna. Najważniejsze są jednak wybory do Sejmu. Jesteśmy otwarci na współpracę z bardzo szerokim spektrum ugrupowań prawicowych i wielokrotnie mówił o tym pan prezes Jarosław Kaczyński. Rozpoczęliśmy już rozmowy m.in. z Bezpartyjnymi Samorządowcami w sprawie paktu senackiego.

Wielu obserwatorów sceny politycznej, a także politycy Prawa i Sprawiedliwości mówią, że potrzebna jest wewnętrzna refleksja dotycząca działań waszego rządu.

Jestem głęboko przekonany, że ocena naszych rządów jest pozytywna. Tak uważają też nasi wyborcy, z którymi rozmawiamy w czasie naszych podróży po Polsce. Zawsze można zrobić coś lepiej, ale gdybyśmy teraz zaczęli wewnętrzne rozliczenia i wyliczanie, kto jaki błąd popełnił, to w tym otoczeniu medialnym dalibyśmy paliwo obecnej fatalnej postkomunistycznej władzy Donalda Tuska. Oni od razy krzyczeliby: „o, proszę, sami się krytykują!".

Trwają prace nad nowym programem. Czy mógłby pan powiedzieć o kilku nowych, ważnych pomysłach?

Kandydat Prawa i Sprawiedliwości na urząd prezesa Rady Ministrów, pan prof. Przemysław Czarnek, w czerwcu na konwencji w Kaliszu przybliżył 3 punkty programowe spośród 21, które będzie dalej sukcesywnie przedstawiał. Po pierwsze, wyjście z ETS, co obniży koszty energii elektrycznej dla przemysłu i odbiorców indywidualnych. Po drugie, odejście od podatku PIT i składek emerytalnych i rentowych od wynagrodzeń za pracę emerytów do kwoty 2,5 tys. zł netto. Po trzecie, podniesienie progu podatkowego ze 120 do 180 tys. rocznie (360 tys. przy wspólnym rozliczaniu się małżonków). Program będzie bardzo atrakcyjny. Również obecny rozwój gospodarczy zawdzięczamy naszym rządom. Potrafiliśmy naprawić finanse publiczne, obniżać podatki i tworzyć impulsy rozwojowe.

Rząd Donalda Tuska hamuje rozpędzone inwestycje. CPK jest tego spektakularnym przykładem.

CPK to nie tylko lotnisko, lecz także cały system transportowy przystosowany do XXI w. Podobnie jest w gospodarce morskiej i w wielu innych działach. Podam przykład z przemysłu zbrojeniowego. W 2014 r. Huta Stalowa Wola miała przychód na poziomie 120 mln zł, a w 2023 r. to były 2,6 mld. W naszych czasach zawarliśmy też największy kontrakt eksportowy: sprzedaliśmy Ukrainie armatohaubice Krab za 3 mld zł. Wcześniej zostały wypróbowane w walce na froncie i doskonale się sprawdziły.

A czy są pomysły na zahamowanie katastrofy w służbie zdrowia?

W naszych czasach wydatki budżetu państwa na ochronę zdrowia wzrosły trzykrotnie i dochodziły do 7 proc. To dzięki temu wynagrodzenia lekarzy i personelu medycznego wzrosły do godnego poziomu. Postawiliśmy na dostępność służby zdrowia, uruchomiliśmy 14 nowych wydziałów/kierunków lekarskich. Odpowiedzią rządu Donalda Tuska na to było zamknięcie naborów w dziewięciu nowo otwartych ośrodkach kształcenia lekarzy. W moim podwarszawskim mieście, Legionowie, udało się stworzyć szpital-filię Wojskowego Instytutu Medycznego, która przyjmuje żołnierzy, a także osoby cywilne. Wiele placówek medycyny wojskowej poszerzyło swoją działalność. Jest sprawą fundamentalną, aby rozdzielić pracę lekarzy w sektorze prywatnym i publicznym, bo na tym styku istnieje ogromne pole podatne na patologie.

Afera Szpitala Południowego niczego nie nauczyła obecnie rządzących. Na żądanie premiera Tuska w trzy dni powstał „program" sprowadzający się do prób ograniczania płac lekarzy i wydatków na wynagrodzenia w szpitalach.

Koalicja 13 grudnia po 2,5 roku rządów obudziła się i rzuca kilka haseł jako „program". To jest kpina. Co ciekawe, telewizja wPolsce 24 ujawniła, że zanim obecna minister zdrowia przyszła z samorządu województwa pomorskiego, zmieniono przepisy, aby przed objęciem ministerstwa mogła dostać sutą gratyfikację – 200 tys. zł. Na takim podglebiu wyrastają symboliczne „Dawidki", które zarabiają 1,6 mln, a nie starcza im dnia, by zaliczyć wszystkie miejsca zarobkowania i jeszcze działać politycznie. Nie byłoby to możliwe, gdyby Dawidek nie miał ochrony i wsparcia ze strony protektorów z Koalicji Obywatelskiej. Szpital Południowy, którym zawsze chwalił się Rafał Trzaskowski, okazał się miejscem, w którym kwitła patologia. O skandalicznych sytuacjach w prosektorium było głośno, pacjent zmarł, bo wyszedł do toalety i tam zasłabł, a personel o nim zapomniał. Sygnalista, który interweniował również u Trzaskowskiego, jest represjonowany.

Powinna się tym zająć komisja śledcza?

W jej obecnej formie to nic nie da, bo większość sejmowa powoła na przewodniczącego np. Zembaczyńskiego albo Frysztaka, który będą robili polityczny cyrk i wszystko zablokują. Potrzeba komisji zaufania społecznego, w której zasiedliby nie politycy, lecz lekarze, prawnicy, specjaliści, którzy obiektywnie i merytorycznie wyjaśniliby to, co się działo w Szpitalu Południowym, a także pokazaliby mechanizm tworzenia takich patologii pod rządami koalicji 13 grudnia.

Wskazanie prof. Przemysława Czarnka miało skonsolidować PiS. Czy to się udało?

Tak, prof. Przemysław Czarnek cieszy się zaufaniem wyborców, co widać również na jego spotkaniach. Patrząc na sondaże, zatrzymał tendencję spadkową, jeśli chodzi o poparcie dla Prawa i Sprawiedliwości. Oczywiście jest to nasz wspólny wysiłek. Mamy też sygnały pokazujące wzrost poparcia. Praca przynosi efekty. To dopiero prekampania i nie marnujemy czasu. Będziemy pokazywać alternatywę wobec złych rządów koalicji 13 grudnia, a prof. Przemysław Czarnek jest i będzie twarzą naszych działań.

Z kolei Mateusz Morawiecki powołał swoje stowarzyszenie.

Stowarzyszenia, które prowadzą działalność o charakterze politycznym nie powinny funkcjonować w ramach Prawa

eprasa.pl efcf109b2d



Fot. Andrzej Wiktor

i Sprawiedliwości, stąd decyzja Komitetu Politycznego o ich zakazie. Jeśli chcemy zwyciężyć, musimy być jednością. Stowarzyszenie Mateusza Morawieckiego oraz inne stowarzyszenia, które powstały w ostatnim czasie osłabiały możliwości działania naszej partii, i dawały pretekst rządzącym do odbierania nam finansowania. Liczę na to, że wśród członków stowarzyszenia zwycięży zdrowy rozsądek i lojalność względem Pana Prezesa Jarosława Kaczyńskiego.

Do walki z PiS jest używany aparat państwa, zaczynając od Ministerstwa Finansów, które nie wypłaca należnych dotacji, poprzez prokuraturę, sądy, służby specjalne, aż po zwykłych chuliganów, zakłócających miesięcznice smoleńskie. Czy ci ludzie doczekają się kary?

Prawo musi być egzekwowane wobec tych, którzy dopuszczają się złamania przepisów. W przypadku miesięcznic mamy do czynienia z barbarzyńcami, których rząd koalicji 13 grudnia postawił ponad prawem. Przyjmował ich przecież obecny prokurator generalny, minister sprawiedliwości Waldemar Żurek. Przychodzimy złożyć hołd i pomodlić się za naszych przyjaciół, którzy 10 kwietnia 2010 r. oddali życie za Polskę. A ci bojówkarze odmawiają nam prawa do tego i nie ma żadnej reakcji ze strony tych, którzy mają usta pełne frazesów o demokracji, otwartości, tolerancji oraz prawach człowieka. Gdyby Donald Tusk chciał zakończyć te barbarzyńskie wybryki, powiedziałby, że sobie tego nie życzy i ci ludzie zostaliby całkowicie wyizolowani. Ale on tego nie powiedział i nie powie.

Dlaczego?

Bo układ rządzący opiera się na hejcie i na grupie, nazywanej w mediach społecznościowych „Silni razem". Oni z hejtu uczynili oręż polityczny. Emanacją takich postaw są ludzie, którzy 10. każdego miesiąca przychodzą na Plac Marszałka Piłsudskiego, by nam urągać i wykrzykiwać slogany kłamliwej putinowskiej propagandy. A rządzący to aprobują.

Przez blisko sześć lat był pan ministrem obrony narodowej. Czy kilka miesięcy temu należało przekazywać Ukrainie rakiety Patriot?

Nie należało, rządzący też mieli tego świadomość, bo zrobili to niejawnie. Teraz, aby zamydlić sprawę, a właściwie uciec od odpowiedzialności, pokazali wszystkie donacje na rzecz Ukrainy od 2022 r. Tyle że wtedy była zupełnie inna sytuacja – istniało realne ryzyko ataku Putina również na Polskę, gdy zdobyłby już Ukrainę. Co znamienne, za pociski do systemów Patriot przekazane skrycie Ukrainie, Kijów podziękował Niemcom, a nie Polsce. Było to więc przedsięwzięcie niemieckie i tak jest prezentowane w Niemczech. Najgorsze jest to, że Donald Tusk i Radosław Sikorski w tym samym czasie przestrzegali przed możliwym atakiem Rosji na Polskę. A jednocześnie przekazali pociski do obrony przeciwlotniczej i przeciwrakietowej, które mają nas bronić. To trudno dostępna broń, po którą stoi długa kolejka. W marcu 2018 r. miałem zaszczyt podpisywać umowy na zakup dwóch baterii z pociskami. To było wielkie osiągnięcie naszego rządu, dziś marnotrawione.

Nie możemy się też godzić, gdy do roli patronów ważnej jednostki wojskowej wynosi się ludobójców z UPA. Takie sprawy też mają znaczenie.

Jest pan kojarzony wyłącznie z działalnością polityczną. Co jeszcze lubi Mariusz Błaszczak?

Zawsze pociągała mnie historia, szczególnie czasy Zygmunta III Wazy. To był niezwykle ciekawy i dobry czas w naszej historii. Wtedy zwycięstwo pod Kłuszynem umożliwiło zajęcie Moskwy przez wojska Rzeczypospolitej. Niestety nie wykorzystaliśmy szans, które się wówczas pojawiły. Np. nie należało pozwolić, by dynastia brandenburskich Hohenzollernów mogła objąć władztwo w Prusach Książęcych. No, ale patrzymy na to z perspektywy 500 lat, więc łatwo jest oceniać.

Bardzo lubimy z rodziną jeździć po Polsce i oglądać świadectwa historii. Jestem dumny z tego, że jestem Polakiem, zaszczepiam to dzieciom. Mam poczucie misji, że trzeba walczyć o prawdę historyczną. Kłamstwo nie może zwyciężyć. Bądźmy dumni z osiągnięć naszych przodków i Rzeczypospolitej we wszystkich epokach. Pokazujmy światu, że warto być Polakiem.

eprasa.pl efcf109b2d

Totalne odklejenie

„50 euro brutto to jest kpina. To nie są godne zarobki w Europie w 2026 roku” – napisała lekarka Dorota Szlosowska, podpisująca się na platformie X jako specjalistka chorób płuc. Była to reakcja na zapowiedzianą przez rząd likwidację kominów płacowych w publicznej służbie zdrowia i ograniczenie maksymalnych zarobków lekarzy do 240 zł brutto za godzinę. Według Szlosowskiej w Polsce nie znajdzie się specjalisty z długim, 25-letnim stażem, który zgodziłby się pracować za tak – jej zdaniem – niską stawkę.

Opinia lekarki zbulwersowała większość internautów. Okazało się bowiem, że dla niektórych lekarzy miesięczne wynagrodzenie na poziomie 40 tys. zł jest „niegodne”. W porównaniu z tym słynne zdanie byłej wicepremier Elżbiety Bieńkowskiej, że „tylko frajer może pracować za 6 tysięcy”, które wygłosiła niegdyś w restauracji Sowa i Przyjaciele, wydaje się drobną niezręcznością. „Dawno nie widziałem tak spektakularnego walnięcia łbem w ścianę” – skomentował dosadnie narzekania lekarzy jeden z użytkowników platformy X.

Rzeczywiście, trudno wyobrazić sobie większe odklejenie od rzeczywistości. Żyjemy bowiem w kraju, gdzie blisko 2 mln ludzi żyje w skrajnym ubóstwie, z czego prawie połowa nie kwalifikuje się do wsparcia z powodu nisko zawieszonego progu (w przypadku rodziny wynosi on miesięcznie 823 zł na osobę). Oznacza to, że niejeden lekarz w ciągu jednego dnia zarobi więcej niż oni przez cały miesiąc.

Pazerność medyków budzi szczególną nieufność, zwłaszcza gdy staje się zbyt ostentacyjna. Zderzając się z nią, pacjenci mają prawo mieć wątpliwości co do rzeczywistej motywacji lekarza, bo to od niej może zależeć ich zdrowie, a nawet życie



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Przy czym nikt nie twierdzi, że lekarze powinni głodować, przeciwnie – ich pensje nie mogą być niskie. Warto jednak zejść na ziemię i powstrzymać swój apetyt, zwłaszcza że mówimy o publicznej służbie zdrowia, która jest finansowana ze składek wszystkich, a więc w przeważającej mierze znacznie gorzej opłacanych obywateli.

FIKCJA WIELOKROTNEGO ZATRUDNIENIA

Wynagrodzenia lekarzy stanowią jedną z najbardziej kosztownych pozycji w służbie zdrowia. Trudno jest tutaj o dokładne dane, bo placówki medyczne, z którymi rozlicza się Narodowy Fundusz Zdrowia, mają różne umowy z medykami. Dostępne szacunki Federacji Przedsiębiorców Polskich mówią jednak, że w latach 2018–2024 wydatki na wynagrodzenia pochłaniały 69 proc. wszystkich nakładów na służbę zdrowia.

W publicznej służbie zdrowia część lekarzy pracuje na etatach – wówczas otrzymują oni pensję, której wysokość



eprasa.pl efcf109b2d

jest zagwarantowana ustawowo. Od lipca jest to minimum 12,9 tys. zł brutto dla lekarzy ze specjalizacją i minimum 10,6 tys. zł brutto dla lekarzy bez specjalizacji. W praktyce bywa, że są to wyższe kwoty, bo trzeba jeszcze uwzględnić wynagrodzenia za pełnione dyżury.

Inni lekarze działają w formie jednoosobowej działalności gospodarczej i zawierają kontrakty z placówkami medycznymi, a ich praca jest wyceniana rynkowo. Nietrudno się domyślić, że lekarze kontraktowi zarabiają więcej niż etatowi – niekiedy nawet trzy- lub czterokrotnie. Pracę na kontrakcie wybierają najczęściej lekarze o poszukiwanej specjalizacji, którym łatwiej jest wynegocjować wyższą stawkę.

Usługi medyczne, takie jak wizyty lekarskie, badania, zabiegi, są wyceniane przez resort zdrowia według rekomendacji Agencji Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji (AOTMiT). Na podstawie tych wycen NFZ refunduje koszty poniesione przez placówki medyczne.

Pieniądze jednak ciągle przeciekają. Jednym z głównych problemów jest niedostateczna kontrola wydatków na wynagrodzenia lekarzy. Niektórzy z nich, korzystając z wakatów na rynku, zawierają kontrakty z kilkoma placówkami na raz, co uniemożliwia należyte wywiązywanie się z obowiązków. Zdarza się więc, że jeden lekarz zatrudnia się w kilku miejscach i choć nie da się przebywać jednocześnie w każdym z nich, ze wszystkich tych miejsc pobiera pieniądze. Taka praca to często fikcja. Tracą na tym szpitale, które podpisują takie umowy, oraz pacjenci, którzy muszą dłużej czekać na opiekę.

STUDNIA BEZ DNA

Ostatnio nie ma właściwie dnia bez informacji o kolejnych przypadkach dojenia publicznej kasy w państwowej służbie zdrowia. Okazało się bowiem – co dla wielu Polaków nie było wielkim zaskoczeniem – że gigantyczne zarobki Dawida Kacprzyka z warszawskiego Szpitala Południowego były jedynie wierzchołkiem góry lodowej. Przypomnijmy, że ten zaradny młody lekarz, nie posiadając nawet specjalizacji i pracując w co najmniej czterech różnych placówkach, wyciągnął łącznie w ciągu jednego roku 1,6 mln zł.

Takich jak on było jednak wielu. Oto w Braniewie na Warmii – jak donosi Interia – jeden z chirurgów wykazywał 1 tys. godzin pracy, choć miesiąc liczy tylko 744 godziny. Co ciekawe, ówczesna prezes braniewskiego szpitala podpisywała mu faktury jak leci, nie zastanawiając się nawet nad tym, jak to możliwe, aby jednego dnia chirurg pracował przez 72 godziny. W 2024 r. policzył sobie za to wszystko 1 772 879,50 zł.

„Z dokumentacji wynika, że lekarz przez 24 godziny jeździł w karetce i jednocześnie zabezpieczał oddział chirurgii lub świadczył usługi w ramach nocnej i świątecznej opieki zdrowotnej. Brał pieniądze z dwóch, a nawet trzech źródeł naraz. Fizycznie nie jest możliwe być w trzech miejscach jednocześnie, a pan doktor na tej podstawie wystawiał faktury" – mówiła Interii obecna prezes szpitala.

> W tym sporze – zręcznie zresztą przekierowanym przez Donalda Tuska z patologii w szpitalach na wysokie zarobki personelu – lekarze nie mogą liczyć na powszechne zrozumienie

Inny ujawniony przypadek to Koszalin. Według informacji zebranych przez Sieć Obywatelską Watchdog Polska jeden z lekarzy tamtejszego szpitala wojewódzkiego zarobił w zeszłym roku 2,6 mln zł, co daje miesięcznie ok. 216 tys. zł. W tej samej placówce wynagrodzenia aż 17 lekarzy przekraczały rocznie 1 mln zł. Co ciekawe, przewodniczącym Rady Społecznej koszalińskiego szpitala jest Stanisław Gawłowski, senator i były sekretarz PO, w 2025 r. uznany za winnego m.in. korupcji i nieprawomocnie skazany.

Polsat News informował też o zadłużonym na ponad 91 mln zł Szpitalu Powiatowym w Bartoszycach w województwie warmińsko-mazurskim. Mimo fatalnej sytuacji finansowej wynagrodzenia niektórych pracujących tam lekarzy przekraczały 100 tys. zł miesięcznie.

Jeszcze lepiej (czy raczej gorzej) było w Koninie, gdzie – jak podaje serwis infokonin.com – 72 lekarzy z tamtejszego Wojewódzkiego Szpitala Zespolonego osiągnęło roczne wynagrodzenie brutto od 500 tys. do 1 mln zł. „Dwóch lekarzy przekroczyło próg miliona złotych, a jeden osiągnął dochód przekraczający 2 miliony złotych brutto. Według zestawienia dotyczy to specjalizacji z zakresu kardiologii, natomiast lekarze z wynagrodzeniem przekraczającym milion złotych reprezentują urologię" – czytamy.

Właściwie gdzie nie zerknąć, wszędzie przecieka fortuna z publicznej kasy. „Anestezjolog w Wadowicach zarobił w rok ponad 1,3 mln zł" – alarmuje serwis Wadowice24. „Miesięcznie to ponad 108 tys. zł. Żeby osiągnąć taki wynik, rekordzista musiał spędzić w pracy ponad 5 tys. godzin w roku. To oznacza średnio 431 godzin miesięcznie, czyli ponad 14 godzin na dobę" – dowiadujemy się. Łącznie na wynagrodzenia dla 89 lekarzy zatrudnionych na umowach cywilnoprawnych w Szpitalu im. św. Jana Pawła II w Wadowicach przeznaczono w 2025 r. ponad 43 mln zł. W efekcie 80 proc. budżetu szpitala poszło na pensje dla personelu medycznego. Nic więc dziwnego, że na całą resztę – w tym na pacjentów i utrzymanie szpitala – brakowało środków.

PIENIĄDZE CZY ZDROWIE?

Pazerność jest dość powszechną przywarą. Jednak w przypadku lekarzy budzi ona szczególną nieufność, zwłaszcza gdy staje się ostentacyjna. Zderzając się z nią, pacjenci mają prawo mieć wątpliwości, co do rzeczywistych motywacji i intencji lekarza. Od nich może bowiem zależeć ich zdrowie, a nawet życie.

O tym, że nie są to czcze obawy, świadczy wpis reumatologa Bartosza Fiałka na platformie X. „Przy przyjmowaniu trzech pacjentów na godzinę w placówce za 240 zł/h, wychodzi 80 zł/pacjent, gdzie w prywacie zarabia się ok. 200–300 zł/pacjent, a w kraju za

Fot. Andrzej Stwarczyński

eprasa.pl efcf109b2d

Odrą 100 euro/pacjent" – pisze Fiałek. „Przy takiej propozycji to chirurg zoperuje jeden pęcherzyk w ciągu dnia pracy, a nie cztery – po co więcej? Większe ryzyko, większa odpowiedzialność, więcej pracy, a wynagrodzenie takie samo" – konkluduje.

„Bartek – jakby Ci to delikatnie napisać – no nie pomagasz" – odpowiedział Fiałkowi rzecznik prasowy Naczelnej Izby Lekarskiej Jakub Kosikowski. Rzeczywiście, wiele osób odebrało ten wpis jako kolejny przejaw arogancji środowiska medycznego. Z przytoczonych słów wynika bowiem wprost, że jedyną istotną motywacją dla lekarza są pieniądze. I jeśli dostanie ich mniej, to po prostu zrezygnuje z leczenia swoich pacjentów.

Oczywiście nie dotyczy to wszystkich lekarzy, jednak ten bardzo szczery wpis odzwierciedla rozumowanie pewnej – choć nie wiemy, jak dużej – grupy. To ludzie, którzy przyszli do zawodu nie dla przysięgi Hipokratesa i pomagania innym w potrzebie, ale przede wszystkim po to, żeby zarobić duże pieniądze. Niektórzy z nich byli tacy od samego początku, innych zepsuło środowisko, do którego trafili.

Nie jest żadną tajemnicą, że spora część młodych ludzi studiujących medycynę nie podjęła tej nauki z pasji. Wystarczy z nimi porozmawiać. Są tacy, którzy kontynuują tradycje rodzinne – mama lub tata, którzy są lekarzami, popchnęli dziecko do zawodu, aby mogło przejąć ich praktykę. Może być też tak, że rodzice, dzięki znajomościom w środowisku, ułatwią potem dziecku start. Inni studenci – bez koligacji rodzinnych – chcą awansować, zarówno społecznie, jak i finansowo. Również w tym przypadku często stoi za tym rodzina, która dzięki synowi lub córce w białym kitlu chce mieć łatwiejszy dostęp do opieki medycznej. No i oczywiście dostatnie życie. Każdy przecież widzi, ile lekarze biorą za wizytę. Nic więc dziwnego, że właśnie kasa staje się ważnym – o ile nie najważniejszym – czynnikiem wyboru tego zawodu.

Umiejętności takich lekarzy są później bardzo różne. Nie ma to jednak aż tak dużego znaczenia, skoro w całej Polsce brakuje kadry medycznej, a pacjentów ciągle przybywa.

STAWKA FRYZJERA

Według danych rządowych, pochodzących prawdopodobnie z szacunków AOTMiT, ponad połowa lekarzy zatrudnionych na etatach w publicznej służbie zdrowia zarabia w przedziale 15–30 tys. zł brutto miesięcznie. W tym samym przedziale mieści się ok. 60 proc. zatrudnionych na kontraktach. Pozostali otrzymują wyższe pensje, przy czym wśród tych, którzy dostają powyżej 100 tys. zł brutto, przeważają kontraktowcy. Mają oni stanowić 1,2 proc. ogółu lekarzy (w przypadku etatowców zarabiający powyżej 100 tys. to 0,2 proc.).

Wyliczenia te są jednak bardzo niedokładne. Przede wszystkim dlatego, że podane umowy ze szpitalami są ujęte osobno. Jeśli więc lekarz pracuje w kilku miejscach, to jego zarobki nie będą się sumować. Oznacza to, że w rzeczywistości lekarzy pracujących za ponad 100 tys. zł miesięcznie jest znacznie więcej, niż wynikałoby z przytoczonych danych.

> Jeżeli porównamy wynagrodzenia lekarzy do średnich zarobków w kraju, to okaże się, że polski lekarz może być większym krezusem niż francuski, duński czy hiszpański

Rząd chce zlikwidować te kominy płacowe, ograniczając stawkę godzinową do wspomnianych 240 zł brutto, a miesięczne zarobki lekarzy – na maksimum dwóch umowach – do 76 tys. zł brutto. W planach jest jeszcze zakaz łączenia pracy w prywatnej i publicznej służbie zdrowia, odchodzenie od kontraktów w państwowym lecznictwie na rzecz umów o pracę oraz monitoring zarobków poprzez numer PESEL.

Te pomysły nie podobają się wielu lekarzom. Chodzi oczywiście o pieniądze. „W Polsce jest może 50 specjalistów kardiologii zabiegowej na moim poziomie" – pisze jeden z nich na platformie X. „Nie będę pracował za stawkę fryzjera" – obrusza się, najwyraźniej orbitując w odległej galaktyce, skoro wydaje się mu, że pensja fryzjerów w Polsce wynosi miesięcznie 50–70 tys. zł.

Niektórzy powołują się na standardy międzynarodowe, twierdząc, iż żaden lekarz w Europie nie pracuje za równowartość 50 euro na godzinę, co proponuje rząd. Różnie z tym bywa, ale rzeczywiście – w Europie Zachodniej stawki są zwykle wyższe. Przy czym należy je porównywać do średnich zarobków w danym kraju i jeśli tak zrobimy, okaże się, że polski lekarz może być większym krezusem na tle innych grup zawodowych niż przykładowo lekarz francuski, duński czy hiszpański (dane OECD za 2025 r.). Masowe wyjazdy lekarzy raczej nam nie grożą.

PODGRZEWANIE NASTROJÓW

W tym sporze – zręcznie zresztą przekierowanym przez Donalda Tuska z patologii w szpitalach na wysokie zarobki personelu – lekarze nie mogą liczyć na powszechne zrozumienie. W przeciwieństwie do większości społeczeństwa ich dochody rosły bardzo szybko, tymczasem jakość służby zdrowia spada. I choć medycy wcale nie ponoszą za to wyłącznej winy (problem jest systemowy), to ludzie łączą ze sobą obie rzeczy, a obecny rząd z czysto politycznych powodów utwierdza ich w tym przekonaniu.

Zdaniem Patryka Słowika z portalu Zero tak naprawdę falę nienawiści do lekarzy potęgują oni sami. Ci, którzy dyżurują ponad dobę na dobę i mówią, że dyżur online w szpitalu to norma, młodzi zarabiający ponad 1 mln zł i nieprzychodzący do pracy, a także ci, którzy piszą, że nie będą pracować za 40 tys. miesięcznie i wyjadą. Wtedy niech pacjenci umierają.

Najgorsze jest jednak to, że takie głosy podważają i tak już słabe zaufanie do publicznej służby zdrowia. Słychać już przecież opinie, że nie ma sensu jej finansować. A może ten szum jest jedynie wstępem do stopniowej likwidacji i prywatyzacji państwowego lecznictwa? Kolejne miesiące pokażą, dokąd tak naprawdę zmierzamy.

eprasa.pl efcf109b2d



Pacjent nie może być własnym koordynatorem systemu. Dziś on lub jego rodzina zbyt często samodzielnie szukają terminów, informacji i łączą kolejne elementy leczenia. Potrzebujemy koordynacji i odpowiedzialności za wskazanie dalszej ścieżki. Trzeba zdjąć z niego ciężar błądzenia po systemie. Pacjent ma się leczyć i zdrowieć

Koniec z wykorzystywaniem niewiedzy pacjentów

Z Bartłomiejem Chmielowcem, Rzecznikiem Praw Pacjenta, rozmawia Dorota Łosiewicz

Co z perspektywy Rzecznika Praw Pacjenta było najgorsze wokół afery w Warszawskim Szpitalu Południowym? Jakie były i będą reakcje RPP na tę sytuację?

Bartłomiej Chmielowiec: Najpoważniejsze pozostawało podejrzenie, że pacjenci mogli być dzieleni na uprzywilejowanych i pozostałych, a znajomości mogły wpływać na kolejność świadczeń. To uderza w fundament ochrony zdrowia: równy dostęp do leczenia i bezpieczeństwo pacjenta. 18 czerwca wszczął z urzędu postępowania dotyczące możliwego naruszenia zbiorowych praw pacjentów. Wyjaśniamy fakty. Jeżeli naruszenia się potwierdzą, podejmiemy przewidziane prawem działania i będziemy oczekiwać zmian naprawczych.

Czy zaproponowane przez ministra zdrowia rozwiązania, czyli ograniczenie pensji lekarzy, e-kolejka i e-rejestracja są działaniami wystarczającymi, by poprawić sytuację?

To pierwszy, bardzo ważny krok. Proponowane działania, w tym uporządkowanie kwestii wynagrodzeń, są krokiem w kierunku odbudowy zaufania społecznego do systemu ochrony zdrowia, likwidacji patologicznych kominów płacowych, lepszego zróżnicowania odpowiedzialności zawodowej, właściwej organizacji pracy, odpowiedniej wyceny świadczeń oraz skutecznej kontroli jakości.

Projekt określany jako lex szarlatan znacząco wzmacnia kompetencje RPP. Co konkretnie zmieni się z punktu widzenia zwykłego pacjenta?

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl efcf109b2d

Najważniejsze, że państwo będzie mogło szybciej zatrzymać praktykę zagrażającą zdrowiu lub życiu. Projekt skróci drogę od sygnału o szkodliwej „terapii" do reakcji RPP. Pozwoli działać także wobec osób i firm, które nie są podmiotami leczniczymi, a oferują „leczenie", oraz wydawać ostrzeżenia publiczne. Dla pacjenta oznacza to większą ochronę, gdy po diagnozie lub w przewlekłej chorobie jest podatny na manipulację. Ma on prawo do rzetelnej informacji, świadczeń zgodnych z wiedzą medyczną i bezpieczeństwem.

Dlaczego dotychczasowe przepisy okazały się niewystarczające wobec praktyk pseudomedycznych?

Obecne przepisy nie zawsze pozwalają reagować dostatecznie szybko i wobec wszystkich modeli działania. Rynek pseudomedyczny przeniósł się do internetu: reklam, webinarów, zamkniętych grup i sprzedaży produktów lub konsultacji pod pozorem leczenia. Problemem nie są dieta, zioła, aktywność czy dobrostan. Zaczyna się on wtedy, gdy ktoś bez dowodów przypisuje metodzie właściwości lecznicze, zniechęca do diagnostyki lub leczenia, podszywa się pod kompetencje medyczne i sprzedaje fałszywą nadzieję. Największe ryzyko powstaje, gdy pacjent opóźnia leczenie albo z niego rezygnuje.

Jak odróżnić legalne działania wspierające dobrostan od praktyk pseudomedycznych?

Granica przebiega tam, gdzie zaczyna się obietnica leczenia lub wyleczenia choroby bez podstaw medycznych. Joga, masaż, kosmetologia, podologia czy zielarstwo nie są problemem, jeśli przedstawia się je jako wsparcie dobrostanu lub właściwego leczenia. Problemem są komunikaty: „to leczy raka", „zastąpi chemioterapię" albo „proszę odstawić leki". Rzecznik oceni, co obiecano, czy osiągano korzyść, do kogo kierowano publiczny przekaz i czy zniechęcał on do właściwego leczenia. Kluczowe będzie rzetelne postępowanie dowodowe, a nie automatyzm.

Nie brakuje zarzutów, że nowe przepisy będą interpretowane jako ograniczanie wolności wyboru pacjenta.

To batalia o wolność wyboru, bo prawdziwa wolność musi bazować na wiedzy. Pacjent ma prawo pytać, szukać informacji, korzystać ze wsparcia oraz zgodzić się na leczenie albo go odmówić po uzyskaniu pełnej informacji. Wolność nie może się jednak opierać na kłamstwie. Gdy pacjent słyszy, że niesprawdzona metoda zastąpi leczenie, jego wybór jest zmanipulowany. Projekt nie jest sporem państwa z pacjentem, lecz z osobami wykorzystującymi chorobę, lęk i bezradność do sprzedaży fałszywej obietnicy.

> Problemem nie są dieta, zioła, aktywność czy dobrostan. Zaczyna się on wtedy, gdy ktoś bez dowodów przypisuje metodzie właściwości lecznicze, zniechęca do diagnostyki lub leczenia, podszywa się pod kompetencje medyczne i sprzedaje fałszywą nadzieję

Czy Rzecznik Praw Pacjenta będzie mógł reagować także wobec influencerów i twórców internetowych promujących niesprawdzone metody leczenia?

Tak, ale nie chodzi o zwykłe treści o stylu życia, diecie czy osobistych doświadczeniach. Reakcji może wymagać sytuacja, gdy twórca publicznie promuje odpłatną metodę jako leczenie choroby, przypisuje jej właściwości lecznicze bez podstaw naukowych albo zniechęca do właściwego leczenia. Czym innym jest powiedzenie: „Ta aktywność pomaga mi w stresie", a czym innym: „Kup mój kurs i wylecz depresję" lub sprzedaż preparatu jako alternatywy dla terapii np. stwardnienia rozsianego. Każdą sprawę trzeba ocenić indywidualnie, uwzględniając treść, zasięg i skutki dla pacjentów.

Czy nie jest tak, że rosnące kolejki i ograniczanie świadczeń wzmacniają rynek pseudomedyczny, bo pacjent szuka pomocy tam, gdzie system publiczny nie odpowiada?

Tak, to realny mechanizm. Pacjent długo czekający na diagnostykę lub leczenie łatwiej trafia na osoby obiecujące natychmiastowy efekt bez kolejek. Dlatego walka z pseudomedycyną musi iść w parze z poprawą dostępności świadczeń. Państwo, ostrzegając przed fałszywymi terapiami, powinno zapewniać dostęp do diagnostyki, leczenia i informacji. Trudności systemu nie usprawiedliwiają jednak oszustwa. Kolejka do lekarza nie daje nikomu prawa do sprzedawania nieprawdy. Rzecznik musi reagować na dezinformację.

Czy można skutecznie walczyć z „szarlatanami", jeśli równolegle pacjent coraz częściej słyszy: „Na NFZ za rok, prywatnie za tydzień"?

Można i trzeba, choć te zjawiska są powiązane. Długi czas oczekiwania osłabia zaufanie do systemu i zwiększa podatność na fałszywe obietnice. Nie usprawiedliwia to pseudoleczenia. Państwo musi ograniczać nieuczciwe praktyki i poprawiać dostęp do świadczeń. Pacjent nie powinien być odsyłany od drzwi do drzwi. Przy odległym terminie powinien wiedzieć, gdzie szukać wcześniejszego świadczenia, jak działa lista oczekujących, kiedy sprawa wymaga trybu pilnego i gdzie zgłosić problem.

Co dziś jest większym zagrożeniem dla praw pacjenta: dezinformacja medyczna czy ograniczanie dostępności świadczeń?

eprasa.pl efcf109b2d

Oczywiście dostęp do świadczeń, ale są to zjawiska, które się wzajemnie wzmacniają. Im trudniejszy dostęp do świadczeń, tym większa podatność pacjentów na fałszywe obietnice. Dlatego walka z pseudomedycyną musi iść w parze z poprawą dostępności świadczeń i lepszą organizacją systemu. Pacjent nie może być odsyłany od drzwi do drzwi. Prawo do ochrony zdrowia oznacza przede wszystkim realną możliwość uzyskania pomocy.

Rzecznik Praw Pacjenta ma stać na straży praw pacjenta, ale czy dziś największym zagrożeniem dla tych praw nie są już pojedyncze błędy medyczne, lecz decyzje organizacyjne i finansowe państwa?

Błędy medyczne nadal są bardzo ważne dla pacjentów i ich rodzin. Coraz częściej jednak źródło naruszeń praw pacjenta stanowią problemy systemowe: brak stabilnego finansowania i taka organizacja ochrony zdrowia, w której pacjent jest odsyłany od drzwi do drzwi. Dlatego patrzę nie tylko na pojedynczy incydent, lecz także na mechanizmy funkcjonowania systemu. Dziś jest dobry moment na reformy. Widzimy duże społeczne oczekiwanie zmian, które uspójnią system i sprawią, że pacjent będzie miał zapewnioną ciągłość i dostępność leczenia.

Czy pacjent ma dziś realne prawo do świadczenia zdrowotnego, jeśli termin jest odległy o wiele miesięcy albo świadczenie znika z lokalnego szpitala?

Prawo do świadczeń medycznych nie oznacza ich natychmiastowej dostępności w każdej placówce. Nie może jednak pozostawać zapisem na papierze. Jeżeli termin grozi pogorszeniem zdrowia albo świadczenie znika z lokalnego szpitala bez realnej alternatywy, mamy problem. Alternatywa musi być dostępna w praktyce: czasowo, komunikacyjnie, medycznie i organizacyjnie. Szczególnie dotyczy to stanów nagłych, dzieci, seniorów, pacjentów onkologicznych i psychiatrycznych oraz osób z niepełnosprawnościami. W ich przypadku odległość, transport i czas mogą decydować o bezpieczeństwie.

Gdzie przebiega granica między racjonalizacją systemu a naruszeniem prawa pacjenta do dostępnej opieki zdrowotnej?

Racjonalizacja systemu jest dopuszczalna, a czasem konieczna. Nie każdy oddział może działać bezpiecznie bez właściwej kadry i zaplecza. Granica zostaje przekroczona, gdy decyzja organizacyjna pozostawia pacjentów bez ścieżki pomocy. Przed zamknięciem lub ograniczeniem oddziału trzeba ustalić, kto przejmie pacjentów, jak zabezpieczony będzie transport, gdzie trafią przypadki pilne i jak poinformuje się mieszkańców. Dobra reorganizacja poprawia bezpieczeństwo. Zła przenosi problem na pacjenta, który nie może płacić zdrowiem za chaos.

Czy państwo nie przerzuca kosztów diagnostyki na obywateli, skoro wielu pacjentów wykonuje badania odpłatnie także w placówkach publicznych?

Prywatne badanie wykonane szybciej lub w celu dodatkowej konsultacji jest decyzją pacjenta. Czym innym jest sytuacja, gdy badanie jest niezbędne w leczeniu finansowanym publicznie, a pacjent słyszy, że musi za nie zapłacić. Pacjent hospitalizowany lub leczony publicznie powinien mieć zapewnioną diagnostykę konieczną do prawidłowego leczenia. Nie można przerzucać na niego jej kosztów. Gdy opłata staje się faktycznym warunkiem dostępu, jest to sygnał alarmowy.

Jak pacjent ma dochodzić swoich praw, gdy słyszy: „Badanie jest medycznie potrzebne, ale nie ma środków”?

Pacjent powinien zapytać, kto podjął decyzję, na jakiej podstawie i jaki jest dalszy plan leczenia. Jeżeli badanie jest medycznie potrzebne, placówka nie może poprzestać na komunikacie: „nie ma środków”, lecz powinna wskazać dalszą ścieżkę. Warto poprosić o zapis w dokumentacji albo pisemne wyjaśnienie. Kluczowy jest mechanizm finansowania ochrony zdrowia, który będzie bezpieczny, stabilny i przewidywalny przede wszystkim dla pacjenta. Dyskusja nad takim rozwiązaniem właśnie się toczy.

Czy likwidacja porodówki lub oddziału całodobowego może być potraktowana jako problem praw pacjenta, a nie wyłącznie decyzja organizacyjna?

Tak, może. Nie każda likwidacja oddziału narusza prawa pacjenta, ale nie jest to wyłącznie decyzja organizacyjna. Przy porodówce, oddziale całodobowym, izbie przyjęć lub świadczeniach ratunkowych trzeba ocenić odległość i czas dojazdu, transport, obciążenie sąsiednich szpitali, ciągłość opieki i sposób poinformowania pacjentów. Decyzja na podstawie danych i zapewniająca realną alternatywę może służyć racjonalizacji. Jeżeli tworzy lukę w dostępie lub ryzyko dla kobiet rodzących, dzieci, osób starszych czy pacjentów w stanach nagłych, staje się sprawą praw pacjenta.

Jak pan ocenia argument, że „obok jest inny szpital”, skoro dla wielu mieszkańców mniejszych miejscowości oznacza to dodatkowe kilkadziesiąt kilometrów?

Samo stwierdzenie, że „obok jest inny szpital”, nie wystarcza. Trzeba uwzględnić czas dojazdu, transport i sytuację pacjenta: osoby starszej, kobiety w ciąży, dziecka, osoby z niepełnosprawnością czy pacjenta w stanie nagłym. Kilkadziesiąt kilometrów może oznaczać koszt, zależność od rodziny lub opóźnienie pomocy. Dostępność to nie tylko odległość, lecz także czas, transport, organizacja, informacja i bezpieczeństwo. Szpital dostępny jedynie teoretycznie nie jest pełną odpowiedzią systemu.

Gdyby miał pan wskazać jedną zmianę systemową, która najbardziej poprawiłaby sytuację pacjentów w Polsce, co by to było?

Najważniejsza byłaby zmiana logiki: pacjent nie może być własnym koordynatorem systemu. Dziś on lub jego rodzina zbyt często samodzielnie szukają terminów, informacji i łączą kolejne elementy leczenia. Potrzebujemy koordynacji i odpowiedzialności za wskazanie dalszej ścieżki. Trzeba zdjąć z niego ciężar błądzenia po systemie. Pacjent ma się leczyć i zdrowieć.

eprasa.pl efcf109b2d



Precz z Sikorskim

Radosław Sikorski powinien nie raz, a dziesięć razy zostać zmuszony do zniknięcia z życia publicznego. Opozycja nie powinna mu dać ani dnia spokoju, bezustannie obnażając jego intelektualną nędzę, arogancję, narcyzm i „dokonania”



DARIUSZ MATUSZAK

Opozycja jest całkowicie bezradna wobec najgorszego ministra w rządzie Donalda Tuska. Nie ma pomysłu, jak sprawić, by Sikorski zniknął z życia publicznego i przestał szkodzić Polsce. Nie ma woli, kompetencji, konsekwencji. Łapie tego najgorszego po 1989 r. szefa MSZ za słówka, trochę pokrzyczy, ponapina się i pozwala mu działać dalej. Uważam, że to najgorszy minister spraw zagranicznych, bo miarą jest nie tylko liczba publicznych kompromitacji, lecz też skala szkód, które wyrządza Polsce.

Opozycja ma najwyraźniej kompleks wobec pozera, narcyza i bufona. Wydaje się, jakby ten nibyangielski sznyt, niewątpliwe kontakty w świecie, pewna siebie, wystudiowana, pyszna poza i gładkie bon moty odbierały śmiałość i ochotę do działania. A przecież on nie zna nawet języków obcych poza angielskim. Przynajmniej nie ma żadnych dowodów na to, że po 34 latach w polityce, w tym 13 latach w dyplomacji, jakiegoś się nauczył. Opozycja boi się jego popularności – Sikorski stale znajduje się wśród polityków obdarzanych zaufaniem. Mimo że jego własna partia uznała, iż mniej nadaje się na prezydenta niż Bronisław Komorowski, Małgorzata Kidawa-Błońska czy Rafał Trzaskowski, pozostaje dość poważnym pretendentem. To w części zasługa opozycji, która zdaje się wierzyć w jego tandetny konserwatyzm i obawia się jego nimbu światowości, zamiast obnażyć go i pokazać, jakim jest – często wulgarnym, skoncentrowanym na własnej karierze prymitywnym człeczyną.

Jeśli ktoś nie wierzy, niech odsłucha nagrania z knajpy U Sowy, na których opowiada, co należało zrobić z urzędniczką z NIK, nazywając ją „ku...wą”, posłucha jego rozważań o stewardessach, odtworzy wyzwiska, którymi publicznie obrzuca przeciwników politycznych. Jego chamstwo, nawet publiczne, jak odzywki wobec kobiet, mogą iść na jego prywatny rachunek. Niestety jest również rachunek Polski, związany z jego działalnością jako polityka i dyplomaty.

WYPISANY Z POLSKOŚCI

Ten człowiek całkowicie wypisał się z polskiej wspólnoty. On nie działa na rzecz naszego państwa i narodu. W przy-

Fot. Liudmyla Skwarczyńska

eprasa.pl efcf109b2d

padku Sikorskiego nie można nawet mówić o jakichś emocjach związanych z Polską, o wrażliwości na naszą historię, tożsamość, ból po utracie najbliższych. Polskość to co najwyżej sztafaż do odgrywania pana na Chobielinie. Dowody na to dał choćby w czasie ostatniego kryzysu w relacjach z Ukrainą. Polski minister stanął po stronie Kijowa i Zełenskiego. Kiedy Polacy czczą pamięć pomordowanych na Wołyniu, odwołują się do wspomnień swych bliskich – świadków zbrodni, Sikorski z obrzydliwym samozadowoleniem dowcipkuje, że skoro Mongołowie stawiają pomniki Czyngis-chanowi, to Ukraińcy mogą je wznosić na cześć ludobójców.

On wypisał się też ze spraw człowieczych. My chcemy przywrócić pamięć, wydobyć z bezimiennych dołów historie, imiona i nazwiska, jak każdy lud świata zapewnić przodkom godny pochówek i miejsce spoczynku, ale Sikorski ma na to wywalone: wy, Polaczki, módlcie się na grobach, opłakujcie zabitych i wypalenie polskości na ziemiach, które należały do nas przez 600 lat, a ja, polski minister, będę sobie stroił żarciki i opowiadał, że Castro jest ceniony w RPA, więc na Ukrainie można wychwalać tych, którzy wymordowali wam najbliższych.

Sprawy państwa polskiego także dla niego nie istnieją, o czym ostatnio przypomniał prezydencki minister Marcin Przydacz, który stwierdził, że w wielu krajach Sikorski uważany jest za kłamcę i oszusta. „Są istotne państwa na mapie Europy, które już wysyłają do MSZ informacje: »przestańcie nas oszukiwać«. Jest kilka państw europejskich, które dokładnie tak przekazały ministrowi Radosławowi Sikorskiemu: »Okłamał nas pan, mówił pan, że przyśle ambasadora, okazuje się, że nie potrafi pan przysłać ambasadora. [...] Proszę nas przestać oszukiwać i traktować poważnie«" – mówił Przydacz w rozmowie z RMF FM

Być może Sikorski opowiada, że wszystko już załatwione, uzgodnione, a tu mijają miesiące i okazuje się, że jest bezradny i niewiarygodny. I że taka jest Polska dyplomacja. W czwartym roku wojny, w szczycie kryzysu w relacjach z Ukrainą, szef MSZ publicznie rozlewa upławy myślowe Giertycha o tym, iż polski rząd chciał wspólnie z ruskim reżimem dokonać rozbioru Ukrainy. „Tyle razy pisałem o tym, że PiS w 2022 r. chciał współpracować z Putinem w rozbiorze Ukrainy, ale nastroje Polaków na to nie pozwoliły" – szkalował Giertych na platformie X.

Ta nikczemna supozycja pojawia u Sikorskiego po raz trzeci. Wcześniej, w styczniu 2023 r., sam w rozmowie z Radiem ZET sugerował, że polski rząd zastanawiał się, czy wspólnie z Rosją nie dokonać rozbioru Ukrainy. W 2014 r. w wywiadzie dla niemieckiego Politico mówił, że Putin proponował to Tuskowi. A więc zbrojna napaść z Rosją na Ukrainę. Ciekawe, czy Tusk i Sikorski powiedzieli o tym wtedy Ukraińcom, czy dowiedzieli się oni tego z wywiadu polskiego ministra dla niemieckiego medium.

Oto jak według Sikorskiego zareagowała Polska w pierwszych dniach wojny: ukraińskie miasta są bombardowane, miliony ludzi uciekają w stronę polskiej granicy, Ruscy dopuszczają się pierwszych zbrodni, a polski rząd dyskutuje, czy nie dokonać rozbioru. W Warszawie, w Alejach Ujazdowskich, miałaby trwać jakaś narada, czy nie rzucić polskich brygad na Lwów, nie posłać samolotów na jakieś miasta. Czy otoczyć wojsko ukraińskie, wziąć do niewoli i trzymać w obozach jenieckich, internować albo otworzyć do niego ogień.

Jakże nikczemnym człowiekiem trzeba być, by sugerować, że własne państwo, własna ojczyzna mogłaby się tak zachować. Wbić Ukrainie nóż w plecy, jak Sowieci Polsce w 1939 r. Teraz Sikorski powtórzył za Giertychem, że wyłoniony w demokratycznych wyborach rząd był gotów napaść na walczącą o przeżycie Ukrainę i tylko „nastroje Polaków" – jak rozumiemy, tych gatunkowo lepszych, europejskich, którzy nie głosowali na PiS – na to nie pozwoliły.

ARCHITEKT RESETU

Czy to szkodzi, czy pomaga relacjom polsko-ukraińskim? Czy Zełenski i polityczne elity Ukrainy wierzą, czy nie wierzą Sikorskiemu i czy to wpływa, czy nie na ich stosunek do Polski? A jak państwo sądzą: czy Ukraińcy pamiętają Sikorskiemu to, że w czasie rewolucji na Majdanie, gdy wraz z ministrami Niemiec Steinmeierem i Francji Fabiusem mediował w sprawie porozumienia między opozycją a prezydentem Ukrainy Janukowyczem i groził opozycji? „Jeśli nie podpiszecie tego [porozumienia – przyp. red.], to będzie stan wojenny, wejdzie armia. Wszyscy będziecie martwi" – nagranie z tym słowami Sikorskiego obiegło cały świat. Opozycja podpisała porozumienie, ale zostało ono odrzucone przez zgromadzone na Majdanie tłumy. Jak państwo myślicie: czy Ukraińcy pamiętają to, że polski minister groźbą zmuszał do podpisania upokarzającego układu z kimś, kto był przez nich uznawany za namiestnika Moskwy?

Tej Moskwy, z którą po śmierci prezydenta Lecha Kaczyńskiego i inwazji na Gruzję układał reset. To oczywiście żaden oryginalny pomysł polskiej polityki – wszystko wyglądało na realizację projektu niemieckiego. Pisaliśmy już o tym. Do prowadzenia interesów z Kremlem Niemcy potrzebowały wizerunku Rosji niewinnej, demokratycznej, może trochę szalonej, ale jednak cywilizowanej, więc zadanie upiększania jej wizerunku dostał pierwszy rząd Tuska. Sikorski był jednym z kierowników projektu. Skoro nawet rusofobiczni Polacy utrzymują ciepłe relacje z Rosją, to znaczy, że podziela ona „zachodnie wartości" i można budować jedną Europę od Władywostoku po Lizbonę.

Sikorski twierdził nawet, że Rosja mogłaby zostać członkiem NATO. Równolegle w poddańczym przemówieniu w Berlinie w obecności ministra spraw zagranicznych Westerwellego wzywał Niemcy, by objęły przywództwo w Europie. „Co jako polski minister spraw zagranicznych uważam za największe zagrożenia dla bezpieczeństwa i pomyślności Polski? To nie terroryzm, nie talibowie, nie niemieckie czołgi, nawet nie rosyjskie rakiety. Największym zagrożeniem dla bezpieczeństwa i pomyślności Polski byłby rozpad strefy euro. Zapewne jestem pierwszym w historii ministrem spraw zagranicznych Polski, który to powie: mniej zaczynam się obawiać niemieckiej potęgi niż niemieckiej bezczynności. Niemcy stały się niezbędnym narodem Europy. Nie możecie sobie pozwolić na porażkę

eprasa.pl efcf109b2d

przywództwa. Nie możecie dominować, ale macie przewodzić reformom". Sikorski zrzekł się suwerennej polskiej polityki zagranicznej i oddał ją Niemcom. Sławimy teraz niemieckie przywództwo w Europie, zwłaszcza zaproszenie milionów nielegalnych imigrantów, a i ruskie rakiety nikomu nie straszne.

Podsumujmy: Rosja w NATO, Niemcy przewodzą, a w środku Polska – oto wielka wizja polskiego ministra spraw zagranicznych.

Ich zwieńczeniem miały być praktyczne rozwiązania, jak uczestnictwo Polski w budowie Nord Stream 2. Żona Sikorskiego Anne Applebaum lansowała nawet obłąkańczą teorię, iż lepiej, by ruski gaz płynął do Europy tym gazociągiem niż przez Ukrainę, bo wtedy Kijów nie będzie dostawał za to pieniędzy i korupcja będzie się mniej pleniła. Wtedy Sikorski popierał pomysły Jana Kulczyka, by kupować gaz bezpośrednio z Rosji albo przez Niemcy, a jego zapasy dla Polski trzymać w magazynach – kawernach na Ukrainie. Kulczyk miał realizować ten projekt z Niemcami za ich pieniądze. Jaki piękny, taki analityczny i geostrategiczny umysł ma ten Sikorski

Wtedy też udało mu się skłócić nas z Litwą. W 2006 r. 53 proc. Litwinów uważało Polskę za przyjazny kraj. W 2014 r., po siedmiu latach Sikorskiego w MSZ, już tylko 12 proc. Według Litwinów to on swym porównywaniem władz Litwy do białoruskiego reżimu, „polityką kija" – jak nazywano aroganckie jego poczynania – zapracował na ten wynik. Premier Algirdas Butkevičius twierdził wręcz, że łamie on etykę dyplomatyczną. Ale jakaś równowaga musi być, więc Łukaszence było z Sikorskim dobrze, pomógł mu bowiem dopaść białoruskich działaczy opozycji, w tym Alesia Bialackiego, późniejszego noblistę, którego dokumenty finansowe kazał czy pozwolił wydać mińskiemu reżimowi. Ponadto nie zrobił nic, by uwolnić z więzienia Andrzeja Poczobuta. A w czasie międzynarodowej wymiany z Rosją agentów i więźniów pozwolił za darmo oddać ruskiego szpiega Rubcowa. To zalicza się jednak do osiągnięć jego obecnego urzędowania, podobnie jak publiczne podziękowanie Amerykanom za wysadzenie w powietrze tej rury Nord Stream 2, którą chciał kłaść z Ruskimi i Niemcami.

UPIORNA PARA

Kiedy PO utraciła władzę, Sikorski szwendał się po świecie jako ekspert od tego i owego, ale w 2019 r. poszedł w europosły do Brukseli i tam się najął na posługi arabskim szejkom. Od Zjednoczonych Emiratów Arabskich miał dostać ok. 500 tys. euro, a razem z żołdem z innych źródeł – nawet 840 tys. euro. Wedle organizacji Transparency International EU oznaczało to, że nikt w europarlamencie nie zarobił tyle, ile Sikorski za swą służbę. Oczywiście nie wliczamy tych eurokratów, którzy – jak wiceszefowa Parlamentu Europejskiego Kaja Kallas – są podejrzewani o branie w łapę od Arabów. Śledztwo w tej sprawie pełznie pod dywanem już trzeci rok.

> Ten człowiek całkowicie wypisał się z polskiej wspólnoty. On nie działa na rzecz naszego państwa i narodu. W przypadku Sikorskiego nie można nawet mówić o jakichś emocjach związanych z Polską

W wolnych chwilach Sikorski zajmował się obrażaniem Trumpa – byłego, a także przyszłego prezydenta Ameryki – i niszczeniem relacji Polski z największym mocarstwem świata. Jakże był z siebie zadowolony, gdy publicznie opowiadał, że Trump jako sąsiad Janukowycza będzie zasiadał w domu pod Moskwą na złotym sedesie. Nazywał go „pier...ym debilem", niby sprytnie zastrzegając, że cytuje byłego sekretarza stanu Tillersona, „kandydatem Kremla", „człowiekiem Putina", „burakiem", „protofaszystą". Teraz „debil" (tak nazwała Trumpa w swojej książce również żona Sikorskiego) zamiast na złotym kiblu pod Moskwą zasiada w Białym Domu i trzęsie światem. Pogratulować Sikorskiemu zdolności analitycznych i przenikliwości. Dzisiaj już mu trochę nie wypada wyzywać prezydenta Ameryki, ale od czego ma żonę – ta porównuje Trumpa do Hitlera, Stalina etc. i kontynuuje tradycje dyplomatyczne małżeństwa Sikorskich.

Tymczasem gdyby nie Ameryka oraz wyjątkowe relacje prezydentów Nawrockiego i Trumpa, po blisko trzech latach rządów KO i przyczłapów Polska na arenie międzynarodowej byłaby nigdzie. Może w wagonie trzeciej klasy, a może w komórce pod schodami jakiegoś pałacu, w którym spotykają się władcy Europy. Sikorski zdołał nas skłócić nawet z Indiami – pouczając je na temat Kaszmiru, i z Watykanem – pisząc do papieża Leona XIV, by uciszył swych „poddanych", czyli polskich biskupów Wiesława Meringa i Antoniego Długosza, bo nie podobały mu się ich kazania.

Skala szkód, które Sikorski wyrządza Polsce, nie ma precedensu po 1989 r. On powinien zostać zmuszony do zniknięcia z życia publicznego. To nie jest jakaś tam Hennig-Kloska czy Kierwiński, po których stosunkowo łatwo da się posprzątać. Opozycja nie powinna dać Sikorskiemu ani dnia spokoju, ani chwili wytchnienia, bezustannie obnażając jego intelektualną nędzę, arogancję, narcyzm i szkodliwe działania. W polityce zagranicznej Sikorskiego stałe są dwie rzeczy – żenujące komentarze, odzywki na poziomie zużytego internetowego trolla oraz konsekwentne obrażanie i odsuwanie nas od jedynego partnera, który może zapewnić nam bezpieczeństwo. Dokładnie w lipcu 2014 r. Jarosław Kaczyński mówił w Sejmie, że Sikorski zwalcza fundamentalny dla naszego bezpieczeństwa sojusz z Ameryką. „A komu zależy, żeby Stany Zjednoczone wyprzeć z Europy i doprowadzić, żeby Europa i Polska była bezbronna?" – pytał wówczas. Minęło 12 lat, Sikorski dalej robi swoje, a opozycja mu na to pozwala.

eprasa.pl efcf109b2d



Gorzkie żniwa

Tak tragicznie w polskim rolnictwie nie było od dekad. Opłacalność produkcji drastycznie spada, gospodarstwa masowo bankrutują, a rząd Donalda Tuska w koalicji z PSL nie robi nic, by ratować bezpieczeństwo żywnościowe kraju. Skutki tej bezczynności odczujemy wszyscy

MARZENA NYKIEL

„To jest katastrofa polskiej wsi!" – alarmuje Łukasz Komorowski z rolniczej Solidarności. Przymrozki, susza, afrykańskie upały i nagłe ulewne deszcze spowodowały ogromne straty, z którymi rolnicy muszą borykać się sami. Jeśli dodać do tego rosnące ceny paliw, energii i nawozów, łatwo wyliczyć, że koszty produkcji rosną. Niestety dzieje się to w całkowitym oderwaniu od cen skupu. Te są tak niskie, że produkcja staje się nieopłacalna. Dodatkowo rynek jest zalany tanimi i niepełnowartościowymi towarami z zagranicy, które skutecznie wypierają polską żywność.

LUDOWCY PORZUCILI WIEŚ

Rolnicy są zrozpaczeni. Hodowcy, producenci mleka i sadownicy przybyli w ubiegłym tygodniu do Warszawy na spontaniczny protest, by przedstawić swoje problemy ministrowi rolnictwa. Bezskutecznie. Stefan Krajewski z PSL na chwilę wyszedł do rolników, po czym ich zignorował i uciekł. Pozostały jedynie kolejne mrzonki o dopłatach z UE i nowych środkach na nawozy, które w żaden realny sposób nie przełożą się na wzmocnienie siły rolnictwa i uzdrowienie tej chorej sytuacji.

„Ministerstwo rolnictwa tak naprawdę nie pracuje na rzecz polskich rolników. Robi sobie z nas żarty, idąc w kierunku Mercosuru i Ukrainy" – mówi Tomasz Obszański, przewodniczący NSZZ Rolników Indywidualnych „Solidarność". Trudno nie przyznać mu racji. Rząd nie podjął żadnej skutecznej interwencji w sprawie umowy UE z krajami Mercosur, zawartej przez Ursulę von der Leyen. Biernie przyjął też rozstrzygnięcia dotyczące wydłużenia okresu otwarcia unijnego rynku na produkty z Ukrainy. Tym samym polscy rolnicy znaleźli się w potrzasku. Kolejne wielkie protesty, które miały miejsce w Warszawie, na przejściach granicznych, w Brukseli i Strasburgu nie przyniosły żadnych efektów.

TOKSYCZNY IMPORT POD PARASOLEM UE

Do Europy wjeżdża towar, który trudno nazwać żywnością. W Ameryce Południowej i na Ukrainie stosuje się zakazane w Polsce pestycydy, hormony wzrostu i antybiotyki, a mechanizmy kontroli w zasadzie nie funkcjonują. Właśnie w taki sposób do Unii trafiła wołowina skażona estradiolem czy

Fot. Shutterstock

eprasa.pl efcf109b2d

salmonellą. Polski rolnik musi przestrzegać szczegółowych restrykcji narzuconych przez wiele instytucji. Jak więc ma zachować konkurencyjność? Zwłaszcza że przeciwności, z którymi musi się mierzyć, jest więcej.

Oszukiwani są także konsumenci. Supermarkety i duże sieci handlowe importują żywność z Europy, nie oznaczając krajów ich pochodzenia. Towary są przepakowywane i sprzedawane jako polskie. Na problem zwracają uwagę sadownicy, których plony zostały zniszczone przez późne przymrozki i wczesne susze. „Truskawka przyjeżdżała z innych krajów, była przesypywana i udawała polski towar. Klient nie ma możliwości rozpoznania tego. Ten sam problem mamy teraz z czereśniami. W marketach jest głównie czereśnia turecka lub serbska" – mówi Dominik Zawadzki, sadownik, przewodniczący struktur powiatowych NSZZ Rolników Indywidualnych „Solidarność".

DUŃSKIE ŚWINIE INCOGNITO

Problem nie dotyczy tylko importu owoców. Dominik Zawadzki podaje jaskrawy przykład z rynku mięsnego: „Dzisiaj, kupując pewne wędliny, kupujemy tak naprawdę duński produkt. Zakład jest polski, ale wykupiony przez rolników duńskich". Nie jest to odosobniony przypadek jednego producenta. Do ubojni trafia 40 proc. duńskich warchlaków, a pogłowie świń w Polsce systematycznie spada. Od początku roku zniknęło już 400 stad trzody chlewnej. Utrzymuje się jedynie duża hodowla, tzw. tucz nakładczy, w ramach którego rolnik nie jest właścicielem zwierząt, a jedynie nisko opłacanym pracownikiem koncernu, często zagranicznego. Małe, rodzinne chlewnie po prostu znikają z mapy Polski.

NAJWIĘKSZY KRYZYS OD CZASÓW TRANSFORMACJI

Aleksandra Bilewicz z Instytutu Rozwoju Wsi i Rolnictwa PAN ujawnia, jak sytuacja przedstawia się w bieżących badaniach. Mówi wprost: „To największy kryzys od czasu transformacji". „Naukowcy ze Szkoły Głównej Handlowej mierzą koniunkturę w rolnictwie na próbie 2,4 tys. gospodarstw – wskaźnik jest na najniższym poziomie od 30 lat. Nastroje są takie jak w latach 90., kiedy Lepper organizował marsze gwiaździste na Warszawę. Z innego badania – kondycji finansowej polskich rolników – wynika, że co trzeci ma problem z płynnością finansową. Od 2010 do 2020 r., czyli między dwoma spisami rolnymi, ubyło 13 proc. gospodarstw" – podkreśla Bilewicz w rozmowie z Zero.pl.

Diagnozę tę potwierdza Adrian Wawrzyniak, rzecznik Solidarności Rolników Indywidualnych: „Dzisiaj polskie gospodarstwa rodzinne są zagrożone falą bankructw, a przyczyna tego leży w braku działań ze strony resortu rolnictwa, braku działań ze strony ministra Stefana Krajewskiego. Niestety te krytyczne sytuacje ekonomiczne, które były w 2025 r., teraz, w 2026 r. – mówimy o kryzysie związanym z wysokimi cenami nawozów oraz paliw – nie zostały pokryte w żaden sposób poprzez wsparcie państwa. Ten rząd [...] zapomniał o rolnikach, rolnicy zostali pozostawieni sami sobie, żadne wsparcie nie zostało ukierunkowane do gospodarstw rodzinnych. Stąd tak naprawdę cała szala goryczy się przelała i nasze kroki jako związku zawodowego idą właśnie w kierunku dymisji pana ministra Stefana Krajewskiego". Rzecznik dodaje również, że oficjalny wniosek o dymisję ministra Krajewskiego został już złożony bezpośrednio w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów.

MATEMATYKA BANKRUCTWA

Plony zbóż spadły w tym sezonie nawet o jedną trzecią, a w przypadku rzepaku – aż o połowę. Jednocześnie drastycznie spada cena w skupach. Największe spadki dotyczą owsa, które kosztuje o prawie 24 proc. mniej niż przed rokiem. Za tonę jęczmienia płaci się obecnie jedynie ok. 560 zł. Biorąc pod uwagę wyjątkowo słabe plony, które lokalnie spadły nawet do 3 t z hektara, uprawa staje się wręcz nieopłacalna.

Bloger prowadzący popularny kanał „Ziarno sukcesu" obliczył, że w wyprodukowanie hektara pszenicy rolnik musi zainwestować minimum 4,5 tys. zł. Co istotne, wyliczenie to uwzględniało jedynie absolutnie podstawowe koszty: środki ochrony roślin, paliwo, nawozy oraz serwis maszyn do momentu zbioru plonu. Nie uwzględniono natomiast kosztów dodatkowych, takich jak choćby dzierżawa ziemi. Przy niesprzyjających warunkach pogodowych lub klęskach żywiołowych rolnik nie ma szans zebrać zakładanych 4–5 t zboża, co oznacza dużą stratę finansową.

W najtrudniejszej sytuacji są jednak hodowcy zwierząt, których praca jest fizycznie najcięższa i najbardziej wymagająca. Nie mają wolnych weekendów ani wakacji. Codzienny obrządek i całodobowe czuwanie nad zwierzętami to ich stały obowiązek. Od wielu miesięcy alarmują, że ceny skupu utrzymują się drastycznie poniżej kosztów produkcji. „Trzoda chlewna osiąga ceny, które dla wielu gospodarstw są po prostu nie do zaakceptowania. W skupach pojawiają się oferty nawet po 3,50 zł za kg" – mówi Adrian Wawrzyniak.

EKONOMICZNY WYZYSK W LICZBACH

Z oficjalnych danych Głównego Urzędu Statystycznego wynika, że w maju 2026 r. ceny skupu podstawowych produktów rolnych były średnio o 16,2 proc. niższe niż rok wcześniej. Średnia cena skupu żywca wieprzowego oscyluje wokół 5,45 zł, co oznacza spadek aż o 23,5 proc. w ujęciu rocznym. Jednocześnie polski rynek jest zalewany tanią wieprzowiną z Europy Zachodniej, co dodatkowo dobija rodzimą produkcję. Z podobnymi trudnościami zmagają się także hodowcy bydła i drobiu, producenci mleka, zbóż, warzyw oraz sadownicy. Przy stale rosnących kosztach energii, nawozów, paliwa, pasz i pracy nie sposób mówić o jakiejkolwiek rentowności.

Kilka przykładów: ceny w skupie wiśni są niższe niż przed rokiem, a za kilogram przeznaczony do mrożenia skup przetwórczy płaci 4,5–5 zł. Za kilogram żywca wołowego w skupie płaci się średnio 14 zł, czyli o prawie 7 proc. mniej niż rok temu, a za kilogram żywca drobiowego – 5,83 zł, czyli mniej o 9,3 proc. Spadły też ceny mleka – średnia cena skupu za litr wynosi 1,80 zł, co stanowi jeden z najniższych poziomów ostatnich lat.

Wystarczy porównać te kwoty do cen żywności na półkach sklepowych, by uświadomić sobie grozę i skalę tego

eprasa.pl efcf109b2d

wyzysku. Rolnik dostaje najczęściej ok. jednej dziesiątej ceny detalicznej. Z danych Wielkopolskiej Izby Rolniczej wynika, że z każdej złotówki wydanej przez konsumenta na żywność, polski rolnik otrzymuje średnio zaledwie 12 gr. Reszta marży trafia do pośredników: przetwórców, firm transportowych oraz wielkich sieci handlowych.

NIEMIECKI KARTOFEL WYPIERA POLSKIEGO ZIEMNIAKA

Dochodzi tutaj do sytuacji kuriozalnych. Weźmy przykład ziemniaka, który jest w Polsce uprawiany z powodzeniem w ponad 100 wybornych odmianach i którym moglibyśmy wykarmić Europę. Ziemniaki skupowane od polskich rolników po skandalicznej cenie nawet 20 gr za kilogram w supermarketach kosztują nawet ponad 2 zł. W kwietniu br. resort rolnictwa podał oficjalnie, że mamy nadpodaż ziemniaków – krajowa produkcja wynosi ok. 7 mln t, podczas gdy krajowe zużycie nie przekracza 5,5 mln t. Tymczasem okazuje się, że tony tych bulw sprowadzamy z zagranicy. Aż 60 proc. importowanych ziemniaków przyjeżdża do nas z Niemiec. Po co nam niemieckie kartofle, skoro nie jesteśmy w stanie zagospodarować własnych plonów? Jaka w tym logika? Chyba tylko jedna – plan zniszczenia polskiego rolnictwa. Te przykłady można przecież mnożyć w nieskończoność.

Wszystko to wygląda na przebiegły plan stopniowego likwidowania polskiej wsi. Ten szkodliwy proces trwa od lat, a za rządów Donalda Tuska wyraźnie przyspieszył. Nierówność traktowania widać jaskrawo już na poziomie płatności bezpośrednich. Niemiecki rolnik może liczyć na wyższe dopłaty niż polski, a przy tym cieszy się pełną ochroną swojego państwa i płaci znacznie niższe składki. Tymczasem PSL pozostaje całkowicie głuche na wołanie o pomoc.

KONIECZNA NATYCHMIASTOWA REAKCJA

Polskiej wsi są potrzebne natychmiastowe działania osłonowe i konkretne środki finansowe. Gdy po napaści Rosji na Ukrainę Polskę dotknął nagły kryzys zbożowy, rząd Prawa i Sprawiedliwości skierował do rolników aż 15 mld zł bezpośredniego wsparcia. Dziś rolnicy nie mogą liczyć nawet na merytoryczne spotkanie z ministrem. Domagają się rozwiązań systemowych, z jakich od lat korzystają producenci w Niemczech, Francji, Holandii czy Danii. Na razie po stronie rządowej nie widać żadnych konstruktywnych działań. Przeciwnie, polskie rolnictwo jest poddane silnej, niszczącej presji w absolutnie każdym wymiarze. Wygląda to tak, jakby celowo próbowano doprowadzić gospodarstwa do bankructwa i rezygnacji.

Jednocześnie coraz częściej widać nowe sposoby na omijanie prawa przez zagranicznych inwestorów, którzy usilnie próbują przejąć potencjał rolny w Polsce. A przecież – jak przezornie zwracał uwagę Prymas Tysiąclecia, kard. Stefan Wyszyński: „Siła Polski opiera się na rolnictwie, dlatego ziemia ojczysta powinna być należycie doceniona i obsłużona".

Wszystko to wygląda na przebiegły plan stopniowego likwidowania polskiej wsi. Ten szkodliwy proces trwa od lat, a za rządów Donalda Tuska wyraźnie przyspieszył

POWRÓT DO SPÓŁDZIELCZOŚCI

Istnieją procesy dziejowe i gospodarcze, które są nieodwracalne. Dramatyczną i niepowetowaną stratą byłaby całkowita zapaść rolnictwa, które stanowi polską rację stanu i jest kluczowym gwarantem bezpieczeństwa żywnościowego kraju. Obecna sytuacja wymaga natychmiastowego, odważnego i długofalowego planu ratunkowego. Co jednak zrobić, gdy obecny rząd działa na szkodę rolników i na przekór ich żywotnym interesom? Konieczne jest głębokie zrozumienie powagi sytuacji i szerokie, obywatelskie zjednoczenie.

Od kondycji rolnictwa zależy przecież nie tylko jakość naszego zdrowia i codziennego życia, lecz także suwerenność i samowystarczalność, będące filarami bezpieczeństwa indywidualnego, społecznego i państwowego. Na szczęście jako konsumenci stajemy się w tym obszarze coraz bardziej świadomi. W obliczu zalewu skażonych towarów niesprawdzonego pochodzenia musimy na nowo postawić na bezkompromisową jakość lokalnej żywności, wspierać małe gospodarstwa rodzinne i kupować bezpośrednio od krajowych producentów. Może warto posłuchać niezależnych dietetyków i przejść na naturalne odżywianie sezonowe? Zacznijmy budować alternatywne sieci dystrybucji, które na szczęście już powoli i oddolnie zaczynają powstawać.

W czasach kryzysów zawsze doskonale sprawdzała się spółdzielczość, dlatego najwyższa pora przywrócić i unowocześnić ten model w nowych odmianach i na większą skalę. Trzeba raz na zawsze odrzucić podsycaną od lat medialną narrację deprecjonującą rolników jako grupę rzekomo roszczeniową i nieprzydatną. Właśnie w taki sposób sztucznie kreuje się podziały społeczne pod późniejszy, cichy rozbiór strategicznych sektorów państwa. Pierwsze efekty tego procesu już niestety widzimy, a dalszych nietrudno się domyślić.

O kluczowym znaczeniu bezpieczeństwa żywnościowego wiedziano już w starożytności. Sun Tzu w legendarnym dziele „Sztuka wojny" pisał, że bezpieczeństwo żywnościowe to nie tylko kwestia przetrwania armii podczas wojny, lecz przede wszystkim nienaruszalna podstawa stabilności państwa w czasie pokoju. Tylko dobrze zorganizowane zaplecze aprowizacyjne pozwala państwu adekwatnie reagować na kryzysy, eliminuje wewnętrzny chaos i zapewnia ład w działaniach logistycznych. Chiński mistrz strategii ostrzegał również, by pod żadnym pozorem nie uzależniać się od długich, kosztownych i niestabilnych szlaków zaopatrzenia. Jak to możliwe, że obecny rząd, ślepo wykonując instrukcje z Brukseli i Berlina, z premedytacją łamie każdą z tych fundamentalnych przestróg?

eprasa.pl efcf109b2d

Konfederacja się rozpycha



MACIEJ WALASZCZYK

Konfederacja rozpycha się w tłoku politycznej konkurencji. To mocno pchnie w plecy PiS, to nerwowo walczy z Konfederacją Brauna. Ale ma też problem swojej trzeciej drogi. Mocno zwalcza rząd Tuska, postawiła również na radykalny kurs wobec Ukrainy i stare pomysły w sprawie rynku ubezpieczeń medycznych

Jeśli nie wydarzy się nic nadzwyczajnego, a więc przedterminowe wybory, to za rok będziemy już w ogniu ostrej kampanii parlamentarnej. Już teraz – mimo wakacji – odbywają się spotkania z wyborcami, trwa nieustanna debata o wszystkim, co interesuje ludzi. W taki tryb weszła także Konfederacja. Ugrupowanie znów rozpycha się między Prawem i Sprawiedliwością a Konfederacją Korony Polskiej, sprawdza, gdzie kończą się jej możliwości. Raczej tam, gdzie ujawniają się słabości i zaniedbania PiS.

Niektórzy wyborcy już zapomnieli, jak „antysystemowy" Sławomir Mentzen po morderczych przepytywankach, którym poddał Karola Nawrockiego, odnalazł się na piwie z Radosławem Sikorskim i Rafałem Trzaskowskim, ujawniając raczej swą rolę przypisaną mu przez obecną władzę. Ale ta się zużywa. W KO uderza skandal w Warszawskim Szpitalu Południowym, ujawniając kiepską sytuację w służbie zdrowia i ogólnie słabe rządy.

Sondaże znów dają Konfederacji między 15 proc. a nawet 18 proc. Łącznie elektorat prawicy dominuje, a obie konfederacje mogą liczyć łącznie na takie poparcie, jakim cieszy się słabnące PiS. Ale w polityce matematyczne kalkulacje się nie sprawdzają.

PRZEDWYBORCZY SZPAGAT

Konfederacja od dawna zapewnia, że utrzymuje otwarty kanał do rozmów koalicyjnych zarówno z PiS, jak i z KO, a przedmiotem negocjacji ma być jej program. Ułatwienia dla przedsiębiorców czy dyskusja o likwidacji zbędnych szczebli samorządu. „Wpychają nas w ramiona PiS, ale my sami się tam nie wybieramy" – mówią politycy tej formacji, zastrzegając, iż żadna z partii, które wchodziły w układy z PiS, już nie istnieje. „Nie chcemy skończyć jak Porozumienie czy LPR. Możemy być tylko równorzędnym partnerem" – podkreślają.

Jednak szeregowi działacze dawno poczuli zapach władzy i od dłuższego czasu szykują się do zajęcia gabinetów rządowych. Biorące miejsca na listach są już podzielone. Partia podtrzymuje jednak postawę zasadniczą, zapowiadając – jak ostatnio Witold Tumanowicz – że na stanowiska będzie wprowadzać tylko osoby mające przygotowanie merytoryczne, a „nie polityków i ich kolesi", by odpolitycznić spółki Skarbu Państwa. W obecnej chwili hasło odpolitycznienia spółek i funkcji publicznych kojarzy się z zarządami i radami nadzorczymi szpitali. Jest nośne społecznie, a temat – bardzo gorący.

NOWA NADZIEJA KONTRATAKUJE

Nowa Nadzieja rzeczywiście została wzięta w karby przez prezesa Mentzena. Powołano dokładnie 41 okręgów, które obsadził swoimi zaufanymi ludźmi. Ujawnił się też konflikt z europosłanką Ewą Zajączkowską-Hernik, która najpierw opuściła NN i frakcję w PE, a kilka tygodni temu powołała stowarzyszenie Ruch Biało-Czerwoni. Czy będzie chciała stworzyć trzeci podmiot w Konfederacji i wejść do rady liderów? – To pytanie bardziej do Ewy, by odpowiedziała, jakie ma zamiary – ucina Bartosz Bocheńczak, były szef ubiegłorocznej kampanii Mentzena, jego zaufany, pełniący też funkcję partyjnego sekretarza, zastrzegając od razu, że Konfederacja składa się wyłącznie z dwóch podmiotów. – Na razie nie widzę w niej miejsca dla tego trzeciego – dodaje.

Jednak rozwód z Braunem okazał się kosztownym błędem Mentzena. Sama Zajączkowska-Hernik, znana głównie z głośnych wystąpień w Brukseli, nie chce mówić na ten temat, ale jej ambicje są przecież czytelne. Dlatego ekspresowo usunięto z partii działaczy, którzy przystąpili do jej stowarzyszenia. Odpowiadał za to właśnie obecny kandydat na prezydenta Krakowa. – Taka jest moja rola. Skoro jestem pełnomocnikiem ds. struktur i sekretarzem, ktoś musi to wykonać od strony formalnej. Oni mieli świadomość, że łamią statut – wyjaśnia Bocheńczak.

PRZEPYCHANKA NA PRAWICY

Konfederacja chce być widziana jako radykalna opozycja wobec rządu Tuska, ale głównie atakuje PiS. Bo już Konfederacji Brauna nie jest w stanie przelicytować w radykalnych inicjatywach i hasłach. Polem sporu jest całościowa krytyka polityki wobec walczącej w wojnie Ukrainy, sprowadzająca się do ataku na cały establishment. Stało się to tym łatwiejsze, że kreowany przez analityków i dyplomatów obraz przyjaznego Polsce sąsiada okazał się fałszywy. Z roku na rok rażący okazuje się też brak szacunku ekipy prezydenta Zełenskiego do Polaków bestialsko pomordowanych na Wołyniu, który tylko pogłębił kryzys, ostro rezonując dziś w świadomości Polaków.

eprasa.pl efcf109b2d

W tym roku Konfederacja jak nigdy wcześniej celebrowała rocznicę Krwawej Niedzieli, a podczas debaty w PE europosłanka Zajączkowska-Hernik podarła kartkę w barwach banderowskej flagi, za co została wpisana na tzw. listę Myrotworec, wrogów Ukrainy. Tę samą, na której ukraińskie służby umieściły też szefa prezydenckiej Kancelarii Zbigniewa Boguckiego. Zaostrzając retorykę, Konfederacja sprzeciwia się też ewentualnemu wejściu Ukrainy do UE.

Przedmiotem radykalnej krytyki stało się również wsparcie wojskowe dla Kijowa. „Gdyby nie presja opinii publicznej, rząd nadal ukrywałby przed Polakami fakt przekazania Ukrainie pocisków PAC-3 MSE" – zaatakował w imieniu PiS Przemysław Czarnek, zarzucając gabinetowi Donalda Tuska bezmyślność i ukrywanie swych działań przed opinią publiczną. „Krytykujecie Tuska za to samo, co robił wcześniej Morawiecki" – odparł natychmiast Sławomir Mentzen, wyciągając kolejno nie tylko kwestie bezwarunkowej pomocy wojskowej, lecz także sprawę niechęci środowisk PiS wobec budowy pomnika rzezi wołyńskiej.

Narracja radykalnie antyukraińska i kwestionująca właściwie cały polski wysiłek na polu wspierania Ukrainy w konfrontacji z Rosją doprowadziła do tego, że Mentzen musiał się tłumaczyć z własnego poparcia dla wysyłania do Kijowa polskiej broni i amunicji z jesieni 2022 r. Wtedy nie tylko wspierał działania rządu PiS, lecz także próbował je nawet przelicytowywać, domagając się ich zwiększania. Dziś tłumaczy się brakiem poufnych informacji o skali pomocy, faktycznie dostosowując taktykę wykorzystywania spraw dotyczących obronności państwa do sondaży wyborczych.

Takie wtopy Mentzena ujawniają się częściej, bo konsekwentnie popierał legalną imigrację zarobkową, a więc import taniej siły roboczej. Dziś jest przeciw i przyznaje, że się mylił, bo nie rozumiał skali zagrożenia.

Konfederacja prowadzi więc polityczną wojnę z PiS na wszystkich polach, na których można odebrać rozczarowanego wyborcę bezpośredniemu rywalowi. Stawką jest oczywiście przyszłoroczny wynik wyborczy i siła ewentualnej pozycji negocjacyjnej. Nie jest to łatwe, ale gdy nieoczekiwanie część europosłów PiS razem z KO i Lewicą poparło dyrektywę Chat Control, umożliwiającą automatyczne skanowanie wiadomości na komunikatorach, Mentzen dał ognia: „PiS z KO zgodnie popierają masową inwigilację komunikacji w internecie. Gdyby nie oni, udałoby się tę dyrektywę odrzucić!". PiS broni się, że poprawiano jedynie narzędzia, które są już wykorzystywane do wychwytywania dziecięcej pornografii. Co więcej, Patryk Jaki tłumaczył, że w głosowaniach w PE przeszła poprawka zgłoszona przez ECR zakazująca skanowania komunikatorów, takich jak WhatsApp czy Signal. Konfederacja atakuje jednak PiS, a sytuacja stała się niezręczna, bo sam Bartłomiej Sienkiewicz wylewnie dziękował za poparcie projektu m.in. europosłom Maciejowi Wąsikowi i Mariuszowi Kamińskiemu. Jak mają to rozumieć wyborcy? Dla wielu z nich politycy PiS wspierają mechanizmy inwigilacji ręka w rękę z europejską oligarchią.

> Konfederacja chce być widziana jako zdecydowana opozycja wobec rządu Tuska, ale głównie atakuje PiS. Bo już Konfederacji Brauna nie jest w stanie przelicytować w radykalnych inicjatywach i hasłach. Gra więc na antyukraińskich nastrojach, atakując cały establishment

Jednocześnie strategię Mentzena celnie obnażył Przemysław Czarnek. Zaatakował rząd Tuska, mówiąc, że na poziomie powiatowym po cichu dąży do likwidacji publicznej służby zdrowia i jej prywatyzacji. Zapytał, co na to Konfederacja. Ma tylko stare pomysły z prywatyzacją „usług medycznych" i zmiany obowiązującego dziś systemu „dziurawego wiadra" NFZ. Chodzi o powrót do konkurencyjnych funduszy ubezpieczeń zdrowotnych, a więc wprowadzonego już kiedyś przez AWS systemu regionalnych kas chorych.

KRAKOWSKI POLIGON

Przedterminowe wybory w Krakowie odbędą się być może na przełomie października i listopada, ale kampania już trwa. W imieniu Konfederacji intensywnie prowadzi ją właśnie Bartosz Bocheńczak. Kraków w pewnych granicach odwzorowuje podziały polityczne w kraju, dobry wynik przyniesie prestiż, kiepski odsłoni słabości, choć dawną stolicę trudno uznać za Polskę w pigułce.

– Tu sympatyków KO jest dziś już mniej, bo poprzedni prezydent tak bardzo zepsuł obraz partii, że jej zwolennicy są dziś częściej bardziej skorzy do zmiany swoich decyzji – analizuje kandydat Konfederacji. Nie potrafi jednak ocenić, czy jest w stanie przyciągnąć wyborców PiS. – To grupa raczej zdyscyplinowanego elektoratu, choć wyglądają też na mocno skonsternowanych partyjnymi podziałami – dodaje.



Fot. Andrzej Wiktor

Jak ocalić 6 miliardów?

Polska przegrała w sądzie i ma zapłacić firmie Pfizer 6 mld zł za 64 mln szczepionek, których nie odebrała, gdy nagle skończyła się pandemia



MACIEJ PAWLICKI



Uporządkujmy informacje. Ponieważ materia jest w znacznej mierze utajniona, wręcz apeluję do urzędników, by sprostowali ewentualne nieścisłości, cytując dokumenty. Fakty są takie: w 2020 r. polski rząd wyraził zgodę, by Komisja Europejska zawarła w jego imieniu umowę na zakup szczepionek na COVID-19. Wobec tego, że produkcja szczepionek trwa 10–15 lat, a teraz miała trwać 9 miesięcy, zgodził się, by odpowiedzialność za skuteczność i bezpieczeństwo preparatów została „podzielona". W praktyce oznacza to, że producenci są z niej zwolnieni, przeszła ona na kupujących. Bez tego koncerny nie chciały dostarczać szczepionek, które – w narracji WHO oraz jej pudeł rezonansowych – były niezbędne, by ratować ludzkość.

Negocjacje zakupu 4,6 mld szczepionek za 71 mld euro prowadziła szefowa Komisji Europejskiej, Niemka Ursula von der Leyen, osobiście i samotnie, m.in. za pomocą SMS wymienianych z szefem firmy Pfizer Albertem Bourlą, sefardyjskim Żydem z Grecji, weterynarzem. Treść tych negocjacji nie jest znana. Gdy der Leyen wezwano do jej ujawnienia, stwierdziła, że SMS zaginęły. Nie została za to ani aresztowana, ani osądzona, ani zdymisjonowana. Grupa europosłów oraz unijna rzecznik praw obywatelskich, Irlandka Emily O'Reilly oraz Sąd Unii Europejskiej próbowali zmusić der Leyen i operatora telefonii komórkowej do ujawnienia SMS. Bezskutecznie.

OFIARA THEATRUM

Polski minister zdrowia powołał zespół do oceny potrzeby zakupu szczepionek. 30 marca 2021 r. zespół rekomendował zakup 70 mln dawek. Rząd zakontraktował 109 mln dawek. Poziom – słowo z weterynarii – „wyszczepienia" wyniósł w Polsce 55–60 proc., znacznie mniej niż przeciętna unijna. Na trzecią dawkę było już tylko 20 proc. chętnych, na kolejne – po kilka procent. Zużyto zatem ok. 50 mln dawek (wedle innych źródeł – 58 mln). W kolejnych miesiącach rząd kupił kolejne 92 mln dawek, razem – 201 mln za 13,9 mld zł.

12 kwietnia 2022 r. minister zdrowia zawiadomił firmę Pfizer i Komisję Europejską, że z powodu wojny na Ukrainie na mocy klauzuli o sile wyższej Polska wycofuje się z umowy. Z zakupionych 201 mln dawek wykorzystano 50–58 mln, na więcej nie było chętnych. 27 mln podarowano innym krajom, 31 mln utylizowano, 64 mln nie odebrano od Pfizera. 58+27+31+64 = 180. Brakuje więc 21 mln, rzecznik MZ zapewne wyjaśni, gdzie są.

Treść umowy zawartej przez UE z firmą Pfizer jest przed nami, płatnikami, utajniona. Po sądowych wyrokach Komisja Europejska udostępniła fragmenty umów w tzw. pokojach do czytania, część tekstu była jednak zaczerniona pod pretekstem tajemnicy handlowej. Dziś ocenzurowane fragmenty umów można znaleźć na stronie UE.

Rozumiem jednak, że polski rząd umowę zna i wie, iż zawiera ona klauzulę o sile wyższej. Zapytałem Ministerstwo Zdrowia oraz Prokuratorię Generalną, prowadzącą w imieniu Skarbu Państwa proces z Pfizerem, jak dokładnie brzmi owa klauzula o sile wyższej i czy była dowodem w procesie. Nie otrzymałem odpowiedzi.

Klauzula o sile wyższej pozwala na zerwanie umowy, gdy jej wypełnienie staje się niemożliwe z powodu zdarzeń, na które strony nie mają wpływu. To klęski

Fot. Shutterstock

eprasa.pl efcf109b2d

żywiołowe, wojny, rozruchy społeczne. Belgijski sąd nie uznał, że wojna w sąsiednim kraju i fala uchodźców są dostatecznymi powodami do rozwiązania umowy. Dlaczego? Może wyszedł z logicznego skądinąd założenia, że skoro podczas szalejącej w Polsce pandemii nagle pojawiło się kilka milionów niezaszczepionych przybyszów bez maseczek, bez dystansu i bez lockdownu, to nasz kraj nie miał powodu rezygnować ze szczepionek, a wręcz przeciwnie, powinien był użyć ich natychmiast do ratowania życia uchodźców? I może zamówić więcej?

Czy nie jest więc tak, że Polska staje się tu ofiarą pandemicznego *theatrum*, jakie urządzono na świecie, w Europie i u nas także? Przecież chwilę wcześniej eksperci rady medycznej przy premierze (dr Horban, dr Grzesiowski, dr Sutkowski i inni) z grozą wołali o nadchodzącym tsunami, armagedonie i trupach ścielących się na ulicach, których nie będziemy nadążali sprzątać. I nagle pandemia zniknęła. Jakby jej nigdy nie było. Powstały memy o Putinie jako genialnym lekarzu, który w jeden dzień zakończył straszną pandemię i już nazajutrz napływające miliony uchodźców nie stanowiły żadnego zagrożenia epidemiologicznego. Może belgijski sąd nadal wierzy dr. Horbanowi, że potrzebowaliśmy tych 64 mln szczepionek, by ratować się przed tsunami?

PFIZERGATE

Polska będzie apelować od wyroku, ale jeśli tymi samymi argumentami, to pewnie przegramy. Proponuję zmianę strategii: przeprowadzenie dowodu, że Pfizer nie dostarczył tego, do czego zobowiązał się w umowie. Gdy mec. Arkadiusz Tetela zapytał Ministerstwo Zdrowia, czy podczas procesu strona polska podniosła zarzut wad produktu, czyli nienależytego wykonania umowy, dowiedział się, że „przedmiotowe informacje nie stanowią informacji publicznej i nie podlegają udostępnieniu".

Tymczasem przeprowadzenie dowodu, czym naprawdę są zakupione za 14 mld zł preparaty, może być zwycięskie. W tej chwili istnieje co najmniej 4551 recenzowanych naukowych publikacji wskazujących, że szczepienie przeciw COVID-19 nie jest ani skuteczne, ani bezpieczne.

Proponuję zmuszenie sądu do ściśle naukowej debaty dowodowej o skuteczności i bezpieczeństwie preparatów mRNA firmy BionTech-Pfizer, za które Polska zapłaciła już 8 mld zł i miałaby zapłacić kolejne 6 mld zł. Niech Pfizer, który przez prokuratorów USA był nazywany „notorycznym oszustem" i regularnie płaci miliardy odszkodowań za oszustwa wobec pacjentów, stanie do otwartego procesu. Na ekspertów powołani zostaną naukowcy i lekarze, ale wyłącznie tacy, którzy nie pobierają od Pfizera (ani innych producentów szczepionek) wynagrodzenia. W którym pacjenci będą świadczyć, jak zdewastowane zostało ich zdrowie w wyniku przyjęcia szczepionki.

> Polska powinna nie tylko bronić się przed zapłatą nienależnych 6 mld zł, lecz także wystąpić o odzyskanie zapłaconych 8 mld zł oraz o odszkodowanie (częściowo do Komisji Europejskiej) dla wszystkich, którzy utracili zdrowie w wyniku przyjęcia szczepionki Pfizera, a także dla rodzin tych, którzy stracili życie

Kilka przykładów, które przytoczył dr Piotr Witczak podczas posiedzenia komisji sejmowej – zespół naukowców z Alessandrii we Włoszech pisał na łamach periodyku naukowego „Microorganisms": „Osoby zaszczepione dwiema dawkami straciły 37 proc. długości życia w porównaniu do populacji nieszczepionej", zespół naukowców z Holandii, który analizował nadmiarowe zgony w 47 krajach w latach 2020–2022, pisał na łamach „British Medical Journal": „W roku 2021 w okresie intensywnych szczepień gwałtownie wzrosła liczba zgonów nadmiarowych". „Journal of Social and Economic Research", podsumowanie analizy skuteczności szczepień na próbie 150 krajów: „Pojawiło się odkrycie sprzeczne z intuicją – dodatnia korelacja liczby osób w pełni zaszczepionych z liczbą zgonów na COVID-19". Innymi słowy – im więcej zaszczepionych, tym więcej umiera.

ODWAGI!

Takich cytatów można przytaczać setki. Dr Witczak powiedział: „Istnieje przytłaczająca liczba badań naukowych, które pokazują, w jaki sposób te szczepionki uszkadzają nasze organizmy, do jakich prowadzą powikłań, w tym zgonów". Tysiące badań dowiodły naukowo, że szczepienia przeciw COVID-19 kilkakrotnie zwiększają ryzyko udaru niedokrwiennego, krwotoku mózgowego, żylnej choroby zakrzepowo-zatorowej, ostrego zespołu wieńcowego, zapalenia mięśnia sercowego, zapalenia osierdzia, wielu skutków neurologicznych. Wmawiana nam mantra, że szczepionka jest „bezpieczna i skuteczna", okazała się naukowo błędna (za North Group oraz Polskim Stowarzyszeniem Niezależnych Lekarzy i Naukowców).

Odwagi! Polska powinna nie tylko bronić się przed zapłatą nienależnych 6 mld zł, lecz także wystąpić o odzyskanie zapłaconych 8 mld zł oraz o odszkodowanie (częściowo do Komisji Europejskiej) dla wszystkich, którzy utracili zdrowie w wyniku przyjęcia szczepionki Pfizera, a także dla rodzin tych, którzy stracili życie.

Powołamy na światków dziesiątki, setki wybitnych naukowców z całego świata, którzy przedstawią wyniki swych badań. Proces obrony 6 mld zł polskiego podatnika powinien stać się procesem obrony polskiego pacjenta i obywatela przed oszustwem i terrorem. Powinien stać się wielkim wydarzeniem w centrum światowej debaty o publicznym zdrowiu, bezpieczeństwie i wielkim kłamstwie. By na podobną operację kłamstwa i terroru nie pozwolić nigdy więcej.

eprasa.pl efcf109b2d

Wojny Izraela, wnioski dla Polski

Jest pan autorem – wraz z dr. hab. Łukaszem Nadolskim i dr. kpt. Michałem Przybylakiem – raportu na temat wojen prowadzonych obecnie przez Izrael. Jak to się stało, że pan i dr Łukasz Nadolski trafiliście na staże naukowe w Izraelu, podczas których mogliście rozmawiać z wieloma ważnymi oficerami izraelskiej armii (IDF) i naukowcami?

Łukasz Przybyło: To efekt wielu wcześniejszych wyjazdów, jeszcze z lat 2016–2019, gdy jeździliśmy tam z większą grupą naukowców, by napisać książkę o wojnie Jom Kipur 1973 r. (pierwszy tom tej pracy ukaże się w tym roku). Poznaliśmy kilkudziesięciu generałów i admirałów. Dzięki temu nie mieliśmy teraz problemu ze znalezieniem rozmówców. Na część z nich musiałem uzyskać zgodę IDF, ale dotyczyła ona tylko aktywnych żołnierzy, inni, np. profesorowie lub rezerwiści, w ogóle nie byli poddawani obostrzeniom w zakresie spotkań z nami. Dodam, że część była bardzo krytyczna wobec otaczającej ich rzeczywistości. Najważniejsze dla mnie rozmowy przeprowadziliśmy w college'u sił zbrojnych oraz w Dado Center, czyli think tanku Sztabu Generalnego IDF.

Czy miał pan swobodę rozmów i obserwacji? Wiadomo, że każde wojsko chroni tajemnice i pokazuje tylko to, co chce.

Była pełna swoboda rozmów. Jedyne zastrzeżenie dotyczyło kilku rozmówców, których nie mogłem nagrywać. Innych nie mogę cytować. Wiadomo, że praca naukowca polega na konfrontowaniu i krytyce źródeł. A tych jest w tym temacie bardzo dużo, także ze strony arabskiej, mieliśmy więc możliwość weryfikowania wszystkiego.

Bezpieczeństwo Polski wymaga panowania lotnictwa polskiego i NATO w powietrzu, powszechnej gotowości obywateli RP do obrony własnego państwa oraz odporności społeczeństwa przed dezinformacją. To podstawowe wnioski dla Polski płynące z toczonych obecnie wojen – mówi tygodnikowi „Sieci" ***dr Łukasz Przybyło*** z Akademii Sztuki Wojennej, współautor raportu „Demontaż pierścienia ognia", poświęconego działaniom wojennym Izraela, w rozmowie z Piotrem Gursztynem. Raport został przekazany dowódcom Wojska Polskiego oraz do MON i BBN



Opinia publiczna jest skoncentrowana na aspekcie humanitarnym obecnego konfliktu. W jej oczach Izrael stał się państwem skrajnie agresywnym, wręcz okrutnym. Pod względem wizerunkowym to dla niego katastrofa. Czy wasi rozmówcy mają tego świadomość?

Oczywiście. To część szerokiego tematu, który w naszym raporcie nazywamy delegitymizacją Izraela. To działo się od zawsze, ale po 7 października 2023 r. osiągnęło szczególnie wysokie natężenie. Rozmawiałem o tym z profesorem, który wykłada na Uniwersytecie w Tel Awiwie. To naukowiec światowej klasy. Zapytałem go, czy zaskoczył go obecny poziom nienawiści do Izraela. Odpowiedział, że tak. Powiedziałem: „Ale tutaj wszyscy mówią, że ich nie zaskoczyły te gwałtowne ataki na Izrael". On na to: „Nie wierz w to. To racjonalizacja po fakcie, bo wszyscy jesteśmy tym zszokowani". Dodał jeszcze: „Można krytykować Izrael, a nawet trzeba. Jesteśmy państwem jak każde inne. Ale szokuje nas to, że publicznie objawia się chęć, aby zniszczyć nasze państwo i nas wymordować".

Wasz raport ma tytuł „Demontaż pierścienia ognia". To nawiązanie do izraelskiego poczucia zagrożenia. Ale dzisiaj z perspektywy Zachodu strach Izraela wydaje się przesadny, bo widzimy przecież silne i bogate państwo.

To państwo nowoczesne, rozwinięte, pełne start-upów itp. Ale bardzo małe w porównaniu do otaczającego go arabskiego morza, zwłaszcza pod względem demograficznym. Z izraelskiej perspektywy wystarczy jedna przegrana wojna, aby przestali istnieć. Uważają, że wtedy powtórzy się Holokaust. A po tym, co wydarzyło się 7 października 2023 r., widać, że to naprawdę jest możliwe. Z tego

Fot. Archiwum prywatne



Fot. Jose HERNANDEZ Camera 51/Shutterstock.com

wynika ich syndrom oblężonej twierdzy. Mają slogan „ein breira", czyli „nie mamy wyjścia", którego używają czasem zbyt łatwo, gdy usprawiedliwiają brutalne działania. Ale rzeczywiście żyją we wrogim środowisku.

Zaczęliśmy nasz raport od tego, że Izrael żyje w paradygmacie wojny, a my żyjemy w paradygmacie pokoju.

Czyli syty nie zrozumie głodnego?

Tak. Żyjemy w świecie, w którym chcemy być dobrzy, by nikt nikogo nie atakował, abyśmy żyli w pokoju, bez agresji. Dalej oczekujemy, że świat będzie taki, jaki był przez 30 lat po zakończeniu zimnej wojny. Ale świat po raz kolejny w historii wkracza w erę konwulsji. Wojen, rewolucji, nawet ludobójstw.

Jest jednak pytanie, czy wkraczając do Gazy, Izrael nie mógł walczyć w sposób bardziej humanitarny.

Wydaje się, że walczył w jak największym stopniu w taki sposób, w jaki mógł. Wyobraźmy sobie, że ktoś niespodziewanie dokonuje podobnego ataku w Warszawie i morduje kilka tysięcy jej mieszkańców. Jaka by była reakcja polskiego społeczeństwa?

Mało znanym faktem jest to, że każda izraelska brygada, dywizja, korpus mają prawników, którzy sprawdzają, czy są przestrzegane zasady prawa wojennego. Trzeba przy tym pamiętać, że obowiązujące prawo konfliktów zbrojnych jest bardzo okrutne, ponieważ zostało stworzone na przełomie XIX i XX w. przez mocarstwa kolonialne, które spisały zbiór zasad mających uniemożliwić barbarzyńskie mordowanie się nawzajem, tylko że wtedy zupełnie inaczej podchodzono do przemocy wojennej. Warto dodać, że jest to prawo, które się interpretuje, tzn. dla każdej armii istnieje zasada proporcjonalności – np. czy zagrożenie wynikające z działań żołnierzy przeciwnika broniących się w bloku mieszkalnym uprawnia mnie do zrzucenia na ten dom bomby, a skoro wiem, że mogą tam być cywile, czy może to spowodować inną reakcję? Hamas celowo prowadził swoje działania tak, by propagandowo delegitymizować Izrael, mieszając infrastrukturę wojskową z cywilną. Jednocześnie przeprowadzono wiele akcji, za które trzeba krytykować Izraelczyków. Ta sprawa nie była jednak sednem naszych rozważań w raporcie i powinna zostać rozwiązana przez powołane do tego instytucje i sądy – krajowe albo międzynarodowe.

Kluczowy moment to 7 października 2023 r. Z jednej strony zaskoczenie Izraela, chaos na wysokich szczeblach władzy i dowodzenia. Z drugiej – natychmiastowa i świetnie działająca samoorganizacja społeczeństwa, zwłaszcza żołnierzy rezerwy.

To społeczeństwo, które żyje w stanie permanentnej wojny, u nich *de facto* nie ma pokoju. Jeśli chodzi o zaskoczenie, było tu kilka czynników, m.in. niedocenianie przeciwnika, zbyt mocna wiara w zabezpieczenia i rozpoznanie techniczne, mała liczba żołnierzy na granicy, brak informatorów w Gazie i inne.

IDF od dłuższego czasu przechodziły poważne przekształcenia w kierunku armii high-tech, czyli rozwój sensorów, lotnictwa, broni precyzyjnych, rozpoznania z kosmosu, użycia dronów. Ale drugą nogą, na której stoi Izrael, jest

eprasa.pl efcf109b2d

armia z poboru, bazująca na rezerwach, w której całe społeczeństwo jest splecione różnego rodzaju zależnościami czy znajomościami wyniesionymi z wojska. Przed 7 października komponent rezerwowy IDF wynosił 450 tys. żołnierzy. To tak jakby u nas rezerwy liczyły 1,8 mln żołnierzy, w pełni gotowych do natychmiastowej mobilizacji. Przed 2023 r. ta część rezerwowa padła do pewnego stopnia ofiarą budowy armii high-tech, która pożerała ogromne środki finansowe. To powodowało, że rezerwiści odbywali mniej ćwiczeń, ich sprzęt był niższej jakości, zapasy amunicji pozostawały niewystarczające.

Świadomość zagrożenia zewnętrznego spowodowała jednak, że zaskoczone społeczeństwo izraelskie przeprowadziło błyskawiczną samomobilizację wspartą sprawnym systemem wojskowym. Najlepszym przykładem była sytuacja na północy, gdzie obawiano się ataku Hezbollahu, organizacji wielokrotnie silniejszej niż Hamas. Do południa 7 października na granicę wyszły wszystkie regularne jednostki IDF i rezerwowa brygada artylerii, do godz. 18.00 – kolejne trzy brygady złożone z rezerwistów, a do północy – kolejne cztery takie brygady. W tej sytuacji przywódca Hezbollahu stwierdził, że jest już za późno na atak. Takie tempo mobilizacji jest całkowicie nieosiągalne dla innych krajów świata zachodniego.

Jednak wojna z Hamasem była znacznie trudniejsza niż z silniejszym Hezbollahem.

Hamas walczył w Gazie, mocno spojony z tkanką miejską i społecznością cywilną. Istniało tam 500 km podziemnych korytarzy, umocnienia, improwizowane ładunki wybuchowe. Bojownicy nie byli umundurowani. Każda zrzucona bomba mogła spaść na cywili, chociaż Izraelczycy podejmowali liczne działania, aby zminimalizować straty wśród ludności cywilnej. Spójrzmy na trzykrotnie zdobywany szpital Shifa, gdzie wzięto do niewoli kilkuset bojowników Hamasu. Okazało się, że pod nim było kilka pięter tuneli, magazyny broni, stanowiska dowodzenia i inne. Ale dzisiaj obraz ma siłę bomby i każde świadectwo dotyczące zabitych cywili prowadzi do delegitymizowania działań Izraela.

Na północy natomiast, na terenie mało zurbanizowanym, w starciu z Hezbollahem rozwój IDF w kierunku armii high-tech spowodował, że Izrael był doskonale przygotowany do walki. Obecność sensorów, systemów bezzałogowych, artylerii – wszystko to sprawiło, że Hezbollah poniósł gigantyczną porażkę. Jeśli chodzi o zabitych, stosunek strat był taki, że na jednego poległego żołnierza IDF ginęło 80 do 100 bojowników Hezbollahu.

> Z izraelskiej perspektywy wystarczy jedna przegrana wojna, aby przestali istnieć. Uważają, że wtedy powtórzy się Holokaust. A po tym, co wydarzyło się 7 października 2023 r., widać, że naprawdę jest to możliwe. Z tego wynika ich syndrom oblężonej twierdzy. Mają slogan „ein breira", czyli „nie mamy wyjścia", którego używają czasem zbyt łatwo, gdy usprawiedliwiają brutalne działania. Ale rzeczywiście żyją we wrogim środowisku

Izrael walczy też z Iranem.

Iran postawił na rozwój systemów bezzałogowych i rakiet balistycznych. To ogromne zagrożenie dla Izraela. Popatrzmy na pas nadmorski od Hajfy, poprzez Tel Awiw aż po Aszkelon. Mieszka tam 80 proc. ludności Izraela i wytwarzane jest w zasadzie całe PKB. Uderzenie nawet jedną bombą atomową oznacza koniec tego państwa. Stąd gotowość Izraela do tego, by pójść na wojnę z Iranem. Bo to kraj, który ma realne możliwości, aby zniszczyć państwo żydowskie.

Rozwój armii izraelskiej to również odpowiedź na program rakietowy Iranu. Izrael utrzymuje jedne z najsilniejszych sił powietrznych na świecie, być może nawet trzecie po USA i Chinach, a być może są to drugie siły powietrzne na świecie – ponad 600 statków powietrznych.

Izrael rozwija również zdolności obronne. I to jest nauka dla nas, że można zbudować system obrony przeciwlotniczej państwa bazujący na własnych systemach. Izraelczycy mają systemy kilku zasięgów: Arrow 3, Arrow 2, David Sling, czyli Proca Dawida i Żelazna Kopuła, które są w stanie w dużej mierze obronić państwo przed spadającymi z nieba rakietami. Jednocześnie działa system ochrony i ostrzegania ludności, który powoduje, że straty są minimalizowane w niesamowitym stopniu. To kilkudziesięciu zabitych i jest to wielki sukces Izraela w porównaniu do liczby ok. 1,5 tys. wystrzelonych rakiet balistycznych. Ten system był budowany od 2006 r., czyli przez 20 lat. Państwo inwestowało w ochronę swoich obywateli.

Mam pytanie o współpracę Izraela z USA. Według powszechnego obrazu ogon macha psem, czyli mały Izrael manipuluje wielką Ameryką. Tymczasem piszecie w raporcie, że Izraelczycy są niezadowoleni z tej współpracy. Czują się niemal, jakby byli wasalem Ameryki.

To bardzo skomplikowany obraz, w takich sprawach nie ma czerni ani bieli. Tu dominują odcienie szarości i taki charakter mają stosunki Izraela ze Stanami Zjednoczonymi. Z jednej strony Izrael jest dla Ameryki ważnym państwem, sojusznikiem, mimo że nie istnieje żaden formalny traktat między USA a Izraelem. Z drugiej strony ten światowy hegemon potrafi narzucić swoją wolę Izraelczykom. Oni chcieliby mieć większą swobodę działania, a często jest to niemożliwe właśnie ze względu na postawę Stanów Zjednoczonych.

Warto jednak zauważyć, że w wojnach 2025 i 2026 r. Amerykanie po raz pierwszy w historii czynnie działali z Izrael-

21/0626/F

eprasa.pl efcf109b2d

czykami. Wcześniej Izrael nie działał wspólnie z USA na polu militarnym. To jest właściwie przewrót kopernikański, a jednocześnie znak, że Izrael dysponuje siłą nie do pogardzenia dla Stanów Zjednoczonych. Nowoczesne lotnictwo wsparte najnowszymi technologiami sprawiło, że Amerykanie uznają, iż warto mieć takiego sojusznika wojskowego.

Rozumiem sugestię. Opłaca się być atrakcyjnym dla Amerykanów.

Jest takie *dictum* Clausewitza, które nie straciło na aktualności, że najlepiej być silnym. Wtedy wiele problemów samo ulega rozwiązaniu. Nie wszystko natomiast da się rozwiązać siłą militarną. Ona działa na poziomie taktycznym, operacyjnym. Na poziomie strategicznym wojny wygrywa się dzięki polityce.

Wracając do tematu amerykańskiego – Stany mają dużo różnych korzyści z tego niepisanego sojuszu, choćby rozwój technologii. Izraelczycy rozwinęli Żelazną Kopułę w sześć lat. To termin nieosiągalny dla nowoczesnych społeczeństw demokratycznych, związanych prawem zamówień publicznych czy innymi demokratycznymi procedurami zakupów wojskowych. Dzięki temu Amerykanie mają gotowy system. Właśnie teraz powstaje olbrzymia fabryka w East Camden w stanie Arkansas, gdzie wyprodukują swoją wersję Żelaznej Kopuły, czyli podobny system pomnożony 100 razy. Prawdą jest, że wcześniej Amerykanie sfinansowali część rozwoju tego systemu w Izraelu, ale dzięki temu sami teraz z tego korzystają.

Doszliśmy do wniosków dla Polski. Wskazujecie wiele punktów, ale zacząłbym od zagrożenia wojną kognitywną. Nie używacie tego określenia, lecz łączy się to z opisanym przez was zagadnieniem delegitymizacji Izraela. Jak może to nas dotyczyć?

Wielokrotnie zauważaliśmy zmiany wektorów różnego rodzaju organizacji zajmujących się oddziaływaniem informacyjnym na społeczeństwa Zachodu. Wiele tych organizacji jest wspieranych w sposób niejawny. Nie wiadomo, skąd – czy ze Wschodu, czy bardziej z Dalekiego Wschodu. Pamiętamy, jak w czasach zimnej wojny działał w Niemczech ruch antyatomowy przeciw dyslokacji amerykańskich rakiet średniego zasięgu, wspierany przez Sowietów. Dzisiaj też mamy różne ruchy pacyfistyczne oraz inne, lewicowe czy prawicowe, kwestionujące działania własnych państw. Są bardzo aktywne m.in. na uniwersytetach. Widzieliśmy przecież, jak profile antyszczepionkowe w mediach społecznościowych stały się nagle antyukraińskie. Jeżeli nasze państwo chce zbudować odporność na działania informacyjne przeciwnika, musi korzystać z tych doświadczeń. A widzimy, że te wektory mogą się zmieniać dosłownie z dnia na dzień. Musimy być przygotowani na to, że różnego rodzaju organizacje rozsiane po świecie w sytuacji zwiększonego napięcia w stosunkach między Polską a innymi krajami, np. Federacją Rosyjską, nagle rozpoczną kampanię antypolską.

REKLAMA

niedziela.pl

katolicki portal,

który niesie INFORMACJĘ I FORMACJĘ

■ ZAWSZE BIEŻĄCE WIADOMOŚCI Z ŻYCIA KOŚCIOŁA, POLSKI I ŚWIATA,
■ MULTIMEDIA ■ KULTURA I PODRÓŻE

www.niedziela.pl

Zeskanuj i sprawdź!

eprasa.pl efcf109b2d



Podnoszony przez was postulat przygotowania społeczeństwa i całego państwa na takie sytuacje brzmi bardzo ogólnie.

Dlatego zwracamy uwagę na przykład samomobilizacji Izraelczyków. To najlepiej pokazuje, jak poważnie traktują oni swój obywatelski obowiązek obrony ojczyzny. Chociaż oczywiście u nich również toczą się bardzo ostre dyskusje na temat powszechnej służby wojskowej. Trwa tam debata o służbie wojskowej haredim, czyli Żydów ultraortodoksyjnych, którzy są z niej zwolnieni, a pobierają z budżetu państwa olbrzymie dotacje socjalne. W izraelskim społeczeństwie spór toczy się właśnie o to, kto ma bronić kraju. To dotyczy także nas. Obrona państwa jest obowiązkiem zapisanym w konstytucji, jednak w wyniku różnego rodzaju procesów cywilizacyjnych ta świadomość uległa zatarciu. No bo płacę podatki, niech więc wojsko mnie obroni. Tymczasem cały naród musi bronić swojego państwa. Naszą poważną słabością jest brak zrozumienia tego, czym są obowiązki obywatelskie i dlaczego warto bronić własnego państwa.

Obrona państwa jest obowiązkiem zapisanym w konstytucji. Jednak w wyniku różnego rodzaju procesów cywilizacyjnych ta świadomość uległa zatarciu. No bo płacę podatki, niech więc wojsko mnie obroni. Tymczasem cały naród musi bronić swojego państwa. Dlatego zwracamy uwagę na przykład samomobilizacji Izraelczyków

Formułujecie też wiele wniosków dla Polski dotyczących spraw organizacyjnych i technicznych. Co w szczególnie rekomendujecie naszym decydentom?

Warto zacząć od analizowania tego, co się dzieje we współczesnych „laboratoriach wojennych". Szczególnie istotna jest wojna tocząca się za naszą wschodnią granicą oraz konflikty na Bliskim Wschodzie. Na to akurat nie trzeba wydawać wielkich środków finansowych. Oczywiście zdając sobie sprawę, że Federacja Rosyjska nie jest tym samym, co Hezbollah, a Polska to nie Ukraina.

Następnym etapem powinno być testowanie zaobserwowanych rozwiązań i wdrażanie odpowiednio „przetrawionych" doświadczeń płynących z dzisiejszych wojen. Jedna kwestia narzuca się w sposób bezwzględny – to sprawa panowania w powietrzu jako warunku kluczowego, aby nie powtórzyć tej rzezi, jaką jest wojna na Ukrainie.

Ale z tego, co zaobserwowaliście, wynika, że to człowiek musi być w powietrzu, a nie tylko drony.

Na razie drony nie są w stanie zastąpić nowoczesnego lotnictwa, w którym piloci są ważnym elementem systemu. Być może nastąpi to w przyszłości. Ten moment jeszcze nie nadszedł. Drony są bardzo istotnym elementem dzisiejszych sił zbrojnych i powinny być rozwijane w równowadze z tym, co już mamy – z czołgami, artylerią, lotnictwem. To, że coś działa lub nie działa na Ukrainie, wynika ze specyfiki tamtego teatru działań wojennych. Dlatego studia nad wojną ukraińską powinny mieć charakter multidyscyplinarny.

Uczestniczyłem ostatnio w dwóch seminariach, na których byli przedstawiciele Ukrainy. Wiadomo, że wszystko, co tam się dzieje, wynika z tego, że walczące strony nie mają innych możliwości działania. Przede wszystkim ani Rosja, ani Ukraina nie były w stanie osiągnąć panowania w powietrzu – stąd tak szerokie zastosowanie dronów. Z ich perspektywy to dzisiaj najważniejsza rzecz. Ale siły zbrojne innych państw patrzą na to inaczej i wyciągają całkowicie różne wnioski. Dobrze by było, abyśmy również mieli bardziej zniuansowane spojrzenie na współczesne laboratoria wojenne.

Fot. Ran Zisovitch/Shutterstock.com

eprasa.pl efcf109b2d

Manifest „nowego Gorbaczowa”

Czy oferta złożona Zachodowi przez Andrieja Mielniczenkę, nazywanego przez dziennikarzy „The Economist” „nowym Gorbaczowem”, jest jednym z elementów gry rozpoczętej przez Kreml, by zakończyć wojnę porozumieniem? Co proponuje oligarcha i jaką wizję przyszłej Rosji kreśli?



MAREK BUDZISZ

Andriej Mielniczenko – człowiek, który zmieni Rosję. Tak brytyjski „The Economist”, tygodnik kontrolowany przez rodziny Agnellich i Rotschildów, zapowiadał na okładce długi wywiad i esej napisany przez największego rosyjskiego przedsiębiorcę, właściciela m.in. EuroChemu, globalnego potentata nawozowego.

Lubiący przesadę europejscy dziennikarze określali nawet Mielniczenkę mianem „nowego Gorbaczowa”, nie przejmując się zbytnio tym, że w przeciwieństwie do ojca pieriestrojki ich nowy bohater nie sprawuje władzy. Nie zmienia to jednak faktu, że Mielniczenko to ciekawa postać, a sformułowane przezeń przesłanie dla Zachodu warto poddać analizie.

ZŁE SCENARIUSZE

Ten pozostający do tej pory w cieniu rosyjski oligarcha, który wrócił do Rosji w 2023 r., odpowiadając na wezwanie Putina, twierdzi, że każdy z czterech możliwych scenariuszy rozwoju wydarzeń w związku z wojną jest niekorzystny dla Zachodu i dlatego, upraszczając, musi on dać Rosji perspektywę zakończenia konfliktu na jej warunkach. Jeśli Moskwa przegra, może pogrążyć się w chaosie. Rozpad tak wielkiego państwa, na dodatek dysponującego ogromnym arsenałem broni nuklearnej, jest opcją – jak uważa Mielniczenko – skrajnie niebezpieczną dla całego świata. Wojna domowa będzie eskalować, rozleje się na cały region, a perspektywa zdobycia broni jądrowej przez radykałów czy separatystów może skłonić do działania wielkie mocarstwa i doprowadzić w konsekwencji do globalnego starcia.

Równie niekorzystny dla Zachodu jest scenariusz przekształcenia Rosji

Fot. Thomas Hartwell/AP Photo/East News

eprasa.pl efcf109b2d

w chińskiego junior partnera, co zdaniem dziennikarzy „The Wall Street Journal" powoli się dzieje. Jeśli Rosja, uwikłana w niekończącą się i wyczerpującą jej zasoby wojnę, stanie się zapleczem surowcowym Chin, to Pekin w automatyczny sposób stanie się globalnym hegemonem, pewnym siebie, asertywnym i wykorzystującym własną przewagę. Konsekwencje tej zmiany w pierwszym rzędzie odczują państwa europejskie. Jeśli taki scenariusz się urzeczywistni, Rosja straci, ale również Zachód – w opinii rosyjskiego oligarchy – może tylko przegrać.

Niewiele lepszą opcją jest kolejny wariant polegający na przekształceniu się Rosji w państwo-twierdzę, które na wzór Korei Północnej – choć na znacznie większą skalę – po przegranej wojnie zamknie się w sobie i przez kolejne dziesięciolecia będzie dążyć do osłabienia Zachodu, walcząc z nim na każdym z możliwych frontów.

Wreszcie potencjalnie najlepszy z perspektywy rywali Rosji scenariusz polegający na pogodzeniu się Moskwy z tym, że wojny na Ukrainie nie da się wygrać, też nie jest optymalny z punktu widzenia Zachodu, bo Rosjanie przez lata będą dążyć do rewanżu i nie będzie żadnej stabilizacji. W nieodległej przyszłości Rosja może się stać wielką Republiką Weimarską, państwem niepogodzonym z własną klęską i dążącym do zmiany sytuacji.

Zdaniem Mielniczenki dotychczasowa polityka Zachodu oznacza jego strategiczną przegraną, nawet jeśli Rosja zostanie pokonana. Co zatem należy zrobić?

JEDYNE ROZWIĄZANIE

Oligarcha nie pisze tego otwarcie, ale przekaz jest czytelny – pozwolić Rosji wygrać, co oczywiście nie oznacza podporządkowania sobie Ukrainy przez Kreml. To jest już niemożliwe, ale zakończenie wojny na rosyjskich warunkach pozwoli na zapoczątkowanie procesów zmian wewnętrznych w Federacji. Jakie to warunki? Mielniczenko pisze wprost – „uznanie terytoriów, do których Rosja obecnie rości sobie prawa na mocy swojej konstytucji, ochrona prawna ludności rosyjskojęzycznej oraz formalne zobowiązanie się Ukrainy do neutralności". W podobnym duchu wypowiadał się w ostatnich miesiącach Jurij Uszakow, doradca Putina ds. polityki zagranicznej, co wskazuje na to, że wystąpienie rosyjskiego oligarchy jest jednym z elementów gry rozpoczętej przez Kreml, aby zakończyć wojnę porozumieniem, które Rosjanie uznają za zwycięstwo. Ale Mielniczenko idzie dalej i na użytek zachodnioeuropejskiej opinii publicznej – choć chyba przede wszystkim kręgów biznesowych – kreśli wizję zmian wewnętrznych w Rosji.

> Zachód musi dać Rosji perspektywę zakończenia konfliktu ukraińskiego na jej warunkach. Jeśli Moskwa przegra, to może pogrążyć się w chaosie. Rozpad tak wielkiego państwa, na dodatek dysponującego ogromnym arsenałem broni nuklearnej, jest opcją skrajnie niebezpieczną dla całego świata – straszy rosyjski oligarcha

Raczej należałoby mówić o ewolucji, bo przemiany będą powolne, ale – choćby ze względów generacyjnych – nieuchronne. Jego argumentacja jest przy tym przewrotna, co sprawia, że dla wielu na Zachodzie może być przekonująca. Jak zauważył: „Ci, którzy zbudowali nową Rosję – przedsiębiorcy, naukowcy, artyści, sportowcy, profesjonaliści, którzy tworzyli jej gospodarkę, jej znaczenie, jej reputację na świecie – w dużej mierze postrzegali siebie jako internacjonaliści". To dlatego w poprzedniej epoce, która już się skończyła, rosyjscy oligarchowie żyli na Zachodzie, ale zarabiali u siebie, w Rosji.

Najlepszym przykładem jest sam Mielniczenko, kontrolujący produkcję nawozów, kopalnie i elektrownie, który, pozostając w cieniu, mieszkał na Zachodzie lub żeglował po oceanach świata swoim ultranowoczesnym jachtem wartym setki milionów dolarów. Jego żona, serbska modelka, nawet nie ma rosyjskiego obywatelstwa i nigdy nie była w ojczyźnie męża, co notabene umożliwiło mu uniknięcie sankcji i sekwestracji aktywów, bo przed powrotem do Moskwy Mielniczenko przepisał na nią cały majątek. Ten model funkcjonowania jest już niemożliwy, przede wszystkim dlatego – jak uważa oligarcha – że nie ma już globalnego rynku, a firmy, aby funkcjonować, muszą być chronione przez swoje państwa. To zaś będzie oznaczało – co zresztą ma już miejsce – masowy powrót rosyjskich przedsiębiorców do ojczyzny, a w dłuższej perspektywie rozpoczęcie powolnego procesu zmian. Przede wszystkim dlatego, że ci zamożni i znający realia świata ludzie będą tego chcieli, bo w nowej epoce Rosja będzie im potrzebna znacznie bardziej niż w przeszłości. Wojna, wzmacniając pozycję siłowików, utrudnia im to, a nawet uniemożliwia. „Duże rosyjskie firmy – twierdzi Melniczenko – które inwestują w suwerenną Rosję, z czasem staną się jej integralną częścią. To samo dotyczy innych ważnych instytucji. W rezultacie sama Rosja stanie się inna".

Oferta rosyjskiego oligarchy dla Zachodu jest czytelna – albo będziecie sąsiadować z wrogą, być może zdestabilizowaną Rosją, albo zaakceptujecie, że będzie to państwo rządzące się swoimi zasadami i budujące własną wersję suwerenności. W takim scenariuszu energia Rosjan zostanie skierowana „do wewnątrz", co do pewnego stopnia przypomina postawę Stołypina, który po przegranej wojnie z Japonią postanowił zreformować coraz bardziej anachroniczne imperium.

W takim wariancie państwa europejskie i Ameryka miałyby w Rosji trudnego, ale obliczalnego partnera, z którym można będzie współpracować na gruncie

eprasa.pl efcf109b2d

polityki transakcyjnej. To kusząca wizja dla zachodniego biznesu oraz państw europejskich, borykających się z rachitycznym wzrostem i nadal energetycznie w sporym stopniu uzależnionych od Rosji. Mimo oficjalnej retoryki i zapowiedzianego zerwania współpracy w pierwszym półroczu importerzy z Unii Europejskiej zakupili najwięcej rosyjskiego gazu skroplonego od wybuchu wojny.

NIEBEZPIECZNY ROSYJSKI KRYZYS

Alternatywą jest kontynuowanie wojny i pogłębienie obecnych trendów. W wyniku ukraińskich ataków na rafinerie produkcja paliw w Rosji spadła o 20–40 proc. W 76 z 89 regionów wprowadzono rozmaite formy racjonowania benzyny i oleju napędowego, ludzie stoją w kolejkach po kilkanaście godzin i zaczynają im puszczać nerwy. W Czelabińsku kierowca, który chciał zatankować poza kolejnością, postrzelił mężczyznę, bo ten zwrócił mu uwagę. Obecnie dziennikarze porównują kryzys paliwowy w Rosji do sytuacji z lat 90., kiedy w tym bogatym w węglowodory kraju zabrakło paliwa, a sam Putin określa tamtą epokę jako „straszne, głodne, chłodne i beznadziejne czasy".

Ekonomiczne konsekwencje tego, co się dzieje na wojnie dla rosyjskiej gospodarki, są trudne do przewidzenia, tym bardziej że Ukraińcy nie powiedzieli jeszcze ostatniego słowa. W drugiej dekadzie lipca ukraińskie systemy bezzałogowe zaatakowały 116 rosyjskich statków handlowych na Morzu Azowskim i Czarnym. Thomas Alexa, starszy analityk w agencji bezpieczeństwa morskiego Ambrey, powiedział w wywiadzie dla „Financial Times", że obecnie jest to największa wojna morska od czasów starcia Iraku z Iranem w latach 80., kiedy obydwa kraje starały się zatopić tankowce płynące do ich portów.

Taktyka ukraińska jest inna. Ukraińcy nie starają się zniszczyć niewielkich tankowców i masowców pływających po Morzu Azowskim, ale uszkadzają ich stery lub urządzenia do rozładunku płynnych substancji. W efekcie unieruchomione statki trzeba odholować do portów, które, „przepełnione", tracą możliwość normalnego funkcjonowania. W rezultacie Rosjanie zostali zmuszeni do zamknięcia dla żeglugi kanału Don–Morze Azowskie i transportu przez Przesmyk Kerczeński, co w praktyce uniemożliwia eksport rosyjskiego zboża. Działalność portów Azow i Tamań, które według Nikołaja Liczewa, partnera zarządzającego AgroTrend, odpowiadają za 15 proc. eksportu zboża i 17–21 proc. eksportu olejów roślinnych, została sparaliżowana. Rząd zapowiedział przekierowanie transportów na inne trasy, ale restrukturyzacja eksportu „w locie", w szczycie sezonu, w obliczu późnych zbiorów i kryzysu paliwowego, jest „prawie niemożliwa" – uważa Liczew. Łącznie przez niewielkie porty zlokalizowane nad Morzem Azowskim przechodzi jedna czwarta rosyjskiego eksportu masowych artykułów rolnych, co dodatkowo komplikuje sytuację przed właśnie rozpoczynającymi się żniwami. Rosyjscy latyfundyści już alarmują, że ze względu na braki paliwa mogą nie być w stanie przystąpić do żniw w terminie, a opóźnienia oznaczają straty, na dodatek zaburzenia eksportu utrudniają im opróżnienie magazynów, które trzeba będzie zapełnić nowymi zbiorami. Niedobory i szybko rosnące ceny paliwa (w „Nowej Gazecie Europa" Anatolij, farmer gospodarujący na 1 tys. ha, powiedział, że od lutego w lokalnych sieciach dystrybucyjnych olej napędowy podrożał o 135 proc.) dopełniają obrazu sytuacji. Trudniej będzie zebrać plony, trudniej sprzedać, a żywność z pewnością podrożeje.

Skokowy wzrost cen paliwa przyspieszy inflację, co z kolei negatywnie wpłynie zarówno na realne dochody Rosjan, jak i tempo wzrostu gospodarczego. Już obecnie rosyjska gospodarka rozwija się wyłącznie dzięki aktywności sektora zbrojeniowego, bo cywilny przeżywa trudne chwile. Z badania nastrojów wśród przedsiębiorców, regularnie przeprowadzanego przez rosyjski bank centralny, wynika, że są one dzisiaj na poziomie porównywalnym do kwietnia 2022 r., kiedy już było wiadomo, że krótka operacja specjalna staje się długą wojną. Ponad 12 tys. rosyjskich przedsiębiorców biorących udział w badaniu spodziewa się wzrostu cen, spadku PKB i pogorszenia sytuacji.

Oficjalne dane Ministerstwa Rozwoju Gospodarczego świadczą o stagnacji. W ciągu pięciu pierwszych miesięcy roku rosyjska gospodarka urosła jedynie 0,2 proc., a produkcja przemysłowa, której kołem zamachowym jest sektor zbrojeniowy, zwiększyła się raptem o 0,4 proc. Po czterech latach wojny – jak tłumaczą eksperci niemieckiego Kiel Institute, jednego z wiodących think tanków analizujących globalne trendy ekonomiczne – gospodarka Rosji znalazła się w sytuacji, którą dobrze opisuje lakoniczny tytuł opracowania – „Koniec". Deficyt budżetowy w ciągu ostatnich sześciu miesięcy wyniósł 5,7 bln rubli, ale ich zdaniem głównym problemem jest nie tyle niedobór pieniędzy, ile brak zasobów, a oznaki „wyczerpania strukturalnego" stają się coraz bardziej widoczne. Autorzy raportu zauważają, że brakuje siły roboczej, technologii i mocy produkcyjnych, a nowe zastrzyki budżetowe coraz częściej przekładają się na inflację, nie zaś na wzrost produkcji. Innymi słowy, nawet jeśli Putin podejmie decyzję o sprzedaży rosyjskich zasobów złota, które nadal wynoszą niemal 2 tys. t, to i tak zdobyte w ten sposób pieniądze niczego nie zmienią. Sytuacja gospodarcza będzie się pogarszać, a Rosja, która już straciła cztery lata, będzie coraz silniej odstawać od globalnych rywali.

POKÓJ ALBO KATASTROFA

Komunikat, który pod adresem Zachodu – głównie państw europejskich – sformułował Mielniczenko, jest banalnie prosty. Rosja nie wygra wojny z Europą, ale jej kontynuowanie przybliża cały kontynent do scenariuszy skrajnych, których realizacja będzie oznaczała, że przegrają wszyscy, choć w różnym stopniu. Alternatywą jest zakończenie wojny, „uspokojenie" Ukrainy i powrót do współpracy ekonomicznej, głównie surowcowej. Sielanki nie będzie, ale to i tak lepsza perspektywa niż marnotrawienie zasobów i bezsilne obserwowanie, jak inni – Chiny, Azja i USA – rosną i zwiększają swoje możliwości.

Czy stolice państw europejskich przyjmą ofertę, okaże się niedługo. Jednak to, że część mediów na Zachodzie określa Mielniczenkę mianem „nowego Gorbaczowa", powinno niepokoić polityków państw naszego regionu – zwłaszcza w Kijowie.

eprasa.pl efcf109b2d



Pierwsza córa Francji

W maju przyszłego roku Marine Le Pen może zdobyć Pałac Elizejski. Tak przynajmniej wynika z sondaży. Liczy się również to, że jej konkurencja jest coraz bardziej skłócona



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

W filmie fabularnym „Prezydenci" Anne Fontaine z 2021 r. Nicolas Sarkozy i François Hollande, dwaj byli przywódcy Francji o diametralnie odmiennych poglądach, postanawiają połączyć siły, aby zapobiec wejściu Marine Le Pen do Pałacu Elizejskiego. Takie polityczne tandemy są oczywiście czymś nad wyraz egzotycznym w V Republice. Od chwili wprowadzenia w 1962 r. powszechnych, bezpośrednich wyborów głowy państwa bazowały one na logice samotnego ucieleśnienia. Wyścig prezydencki to przede wszystkim spotkanie mężczyzny – lub kobiety – z narodem francuskim.

W tym instytucjonalnym dramacie jest niewiele miejsca dla drugiej postaci. Marine Le Pen przełamała właśnie ten schemat, ogłaszając, że będzie prowadziła kampanię wspólnie z przewodniczącym swojej partii – Zjednoczenia Narodowego (RN) – Jordanem Bardellą. „Ona – jak pisze dziennik „Le Figaro" – wnosi doświadczenie, on świeże spojrzenie". Ona obsługuje tradycyjny elektorat RN, on trafia do części liberalnej prawicy i młodszych wyborców. Razem nakreślają przyszły skład rządzącej ekipy – z nim w roli premiera.

KAMPANIA POD NADZOREM ELEKTRONICZNYM?

Początkowo ten tandem wynikał z konieczności. Bardella miał startować w wyborach prezydenckich, gdyby sąd apelacyjny orzekł wobec Le Pen zakaz pełnienia funkcji publicznych. Liderka RN była oskarżona o przywódczą rolę w tworzeniu systemu fikcyjnego zatrudniania w Parlamencie Europejskim asystentów, którzy w rzeczywistości pracowali na rzecz jej partii. Bynajmniej nie w Brukseli.

Wyrok pierwszej instancji uniemożliwiłby jej start, ale sąd apelacyjny go złagodził. Ostateczny wymiar kary zakłada m.in. zakaz pełnienia funkcji publicznych przez 45 miesięcy, z czego 30 w zawieszeniu, a ponieważ od pierwszego orzeczenia upłynęło już zasądzone 15 miesięcy bezwzględnego zakazu, Le Pen może kandydować. Pozostaje wyrok trzech lat więzienia, w tym dwóch w zawieszeniu. Pozostały rok kary miałaby odbyć pod nadzorem elektronicznym, a to jest trudne do pogodzenia z wymogami kampanii wyborczej. Ponadto jeszcze w lutym sama mówiła w wywiadzie dla BFMTV, że „z bransoletką kampanii prowadzić się nie da". Lecz znalazła sposób także na to: postępowanie kasacyjne, które zawiesza wyrok przynajmniej na rok. Liczy, że to ostatnie orzeczenie zapadnie na tyle krótko przed pierwszą turą wyborów w kwietniu przyszłego roku, że władze nie odważą się nałożyć elektronicznej obrączki faworytce wyścigu. W razie wygranej będzie ją chronił immunitet.

MARINE WYGRYWA Z KAŻDYM

Jest to strategia ryzykowna, ale jak wynika z sondaży, może się okazać skuteczna. W badaniach opinii publicznej Bardella miał dotychczas niewielką przewagę nad Le Pen, po ogłoszeniu wyroku ta różnica została zniwelowana.

Fot. Alfonso Iriarte Muñoz-Seca

eprasa.pl efcf109b2d

Decyzja sądu kończy ponadto okres niepewności w partii, kto będzie ją reprezentował w wyborach prezydenckich oraz pozwala polityk – którą Brigitte Bardot nazwała w 2014 r. „nową Joanną d'Arc XXI w." i „pierwszą córą Francji" – w pełni rozpocząć kampanię wyborczą. Jak wynika z sondażu Instytutu Elabe dla BFMTV i „La Tribune", liderka RN może liczyć w pierwszej turze na 33–35 proc. głosów. Z badania wynika ponadto, że zwycięży także w drugiej turze, bez względu na to, kto będzie jej rywalem – czy lider Niepokornej Francji (LFI) Jean-Luc Mélenchon (67,5 do 32,5 proc.), czy kandydat centrystycznej partii Horizons i mer Hawru Édouard Philippe (52 do 48 proc.). Z Gabrielem Attalem, sekretarzem generalnym prezydenckiej partii Renesans, który stylizuje się na następcę Emmanuela Macrona, zwyciężyłaby 55 do 45 proc.

Według innego sondażu, Ifop-Fiducial dla „Le Figaro" i LCI, Le Pen może liczyć nawet na 36-proc. poparcie w pierwszej turze i także prawdopodobnie wygra drugą turę, niezależnie od przeciwnika. W starciu z Philippe'em, swoim najsilniejszym konkurentem, zdobyłaby 54 proc. głosów, a w sondażu Toluna Harris Interactive – kolejnym, który wskazuje na jej zwycięstwo – 51 proc. głosów. Co więcej, według sondażu Odoxa-Backbone dla „Le Figaro", większość (51 proc.) Francuzów popiera kandydaturę Marine Le Pen w wyborach prezydenckich. Jednocześnie zaledwie 25 proc. uważa, że wyrok skazujący, który usłyszała, jest atutem w drodze do Pałacu Elizejskiego. 37 proc. twierdzi, że stanowi on przeszkodę, a kolejne 37 proc., że nie jest ani jednym, ani drugim.

ZEMSTA NA PRZEŚLADOWCACH

Jeśli chodzi o popularność, to Bardella wciąż przewyższa swoją patronkę – 46 proc. ankietowanych widzi w nim prezydenta, a 44 proc. stawia na Le Pen. Ta różnica jest jeszcze większa wśród zwolenników RN: 74 proc. ma bardzo przychylną opinię o Bardelli w porównaniu z 61 proc. dla Le Pen. Za Bardellą przemawia młodość i świeżość – ma zaledwie 30 lat, a Le Pen już trzykrotnie startowała na prezydenta, za każdym razem ponosząc porażkę. Tyle że dla niej prezydentura to coś więcej niż władza – to odwet za lata, jak twierdzi, prześladowań, najpierw jako córki „diabła" Jean'a-Marie Le Pena, a następnie jako jego następczyni, określanej mianem „skrajnej prawicy", zagrażającej Francji.

W każdej z trzech kampanii prezydenckich Marine ostatecznie uzyskiwała słabszy wynik, niż dawały jej średnio sondaże, bo na ostatniej prostej zawsze następowała mobilizacja przeciw niej. Tym razem chce ostatecznie przełamać ten „front republikański" (wraz z medialną machiną propagandową). Dla niej wyrok sądowy w sprawie afery asystentów to próba uniemożliwienia jej udziału w życiu politycznym, ostatnie narzędzie liberalnych elit.

Wygrana w wyborach byłaby zwieńczeniem jej długiej kariery politycznej oraz wyboistej ścieżki, którą przeszła jej partia od dosłownie zerowej liczby posłów do największej siły w Zgromadzeniu Narodowym. W 1974 r. Jean-Marie uzyskał 1 proc. poparcia w wyborach prezydenckich, Marine w 2022 r. – aż 41,5 proc. Paradoksalnie być może dlatego 67 proc. wyborców Zjednoczenia Narodowego uważa, że postąpiła słusznie, kandydując, nawet jeśli Bardella wydaje im się atrakcyjniejszy, a on sam zaczął się już przyzwyczajać do roli, o czym świadczy jego niedawna wizyta w Polsce i związek z księżniczką Marią Karoliną Burbon-Sycylijską. Pytanie, kto będzie jej rywalem w drugiej turze.

PODZIAŁY I POWROTY

A to nie jest jasne. Wiadomo, że Jean-Luc Mélenchon wystartuje i może liczyć na 16 proc. poparcia w pierwszej turze, co daje mu duże szanse na wejście do drugiej. Zresztą on jako jedyny z kandydatów na pewno nie zejdzie poniżej 15 proc. Reszta lewicy jest mocno podzielona i nie wiadomo, czy się zjednoczy i wystawi jednego wspólnego kandydata. Poza tym musiałby on być wyrazisty i charyzmatyczny, a takiego nie widać na horyzoncie. Jesienią socjaliści urządzą prawybory. Zgłosiło się już wielu chętnych, w tym Ségolène Royal, która w 2007 r. już raz startowała w wyborach na prezydenta i przegrała. François Hollande, była socjalistyczna głowa państwa, także sprawia wrażenie jakby chciał startować, ale nie w prawyborach, ponieważ – jak pisze „Le Figaro" – „jest przeciwny mechanizmom, które sprowadzają debatę polityczną do drobnych sprzeczek w aparacie partyjnym". Hollande stawia na poparcie społeczne, a sondaż Ifop Fudicial dla „Paris Match" daje mu 49 proc. poparcia wśród Francuzów i 60 proc. wśród zwolenników lewicy. Tę samą tendencję zaobserwował Instytut Elabe w niedawnym badaniu przeprowadzonym dla dziennika „Les Échos". Socjalista okazał się faworytem wyborców lewicowych (46 proc.), wyprzedzając swojego głównego rywala w rodzinie socjaldemokratów, Raphaëla Glucksmanna (42 proc.), a także François Ruffina, lidera ruchu Nuit debout (Nocne Czuwanie) oraz Fabiena Roussela, kandydata Partii Komunistycznej (obaj otrzymali 41 proc.), którzy tracą poparcie.

W sumie peleton podczas tej kampanii liczy ponad 30 kandydatów, bo centroprawica jest równie podzielona jak centrolewica. Jej kandydat Bruno Retailleau dołuje zresztą w sondażach (8–10 proc. poparcia), więc partia zastanawia się nad wycofaniem go z wyścigu. Z kolei w obozie liberalnym – sierotach po Macronie – wciąż trwa zaciekła rywalizacja dwóch byłych premierów: Édouarda Philippe'a i Gabriela Attala. Jeśli w nadchodzących miesiącach nie uda się jej rozwiązać, żaden z nich może nie wejść do drugiej tury wyborów. To gra na korzyść Marine Le Pen. Tym razem może nie znaleźć się nikt, kto byłby w stanie powstrzymać ją przed przejęciem władzy, bo alternatywą może być Jean-Luc Mélenchcon, polityk o wiele groźniejszy, który otwarcie mówi o „wywróceniu " systemu politycznego.

PRZYGOTOWANIA NA SZOK

Odchodzący Macron zdaje się już przygotowywać na taką ewentualność. W każdym razie ostatnie francusko-niemieckie konsultacje rządowe w Brühl niedaleko Kolonii mogły przywodzić na myśl – według portalu „Politico" – „zabezpieczenie obustronnych relacji przed szokiem Le Pen". Było to zresztą ostatnie posiedzenie dwustronnego gabinetu przed wyborami prezydenckimi nad Sekwaną. „I kanclerz Niemiec Friedrich Merz, i Macron obawiają się, że wejście Le Pen do Pałacu Elizejskiego sparaliżuje francusko-niemiecki tandem, który do tej pory w znacznym stopniu kształtował politykę UE" – czytamy. Relacje na niższym szczeblu mają więc zostać wzmocnione – na wypadek, gdyby te na poziomie politycznym miały ulec gwałtownemu ochłodzeniu.

eprasa.pl efcf109b2d

Technologia nie może się rozwijać kosztem godności człowieka

Przesłanie papieża Leona XIV jest proste, ale wymagające: trzeba wrócić do relacji osobowych. Być blisko drugiego człowieka, rozmawiać, budować wspólnotę, przyjmować trud spotkania. Sztuczna inteligencja może być narzędziem, ale nie może stać się substytutem człowieka



Z dr Klaudią Rosińską, medioznawcą, specjalistką ds. dezinformacji i cyberbezpieczeństwa, wykładowcą na Akademii Kultury Społecznej i Medialnej w Toruniu, rozmawia Goran Andrijanić

Jednym z najczęstszych komentarzy na temat encykliki papieża Leona XIV „Magnifica humanitas" było to, że Kościół po dłuższym czasie znów podejmuje inicjatywę intelektualną i zabiera głos w ważnej sprawie. Czy zgadza się pani z taką oceną?

Klaudia Rosińska: Tak. W ostatnich latach Kościół często przyjmował postawę defensywną: tłumaczył, czym nie jest, zamiast pokazywać, czym jest i jak rozumie człowieka. „Magnifica humanitas" sprawia inne wrażenie. To dokument, który nie tylko komentuje rzeczywistość, lecz także próbuje ją nazwać i uporządkować.

Warto pamiętać, że encyklika ukazuje się 135 lat po „Rerum novarum" Leona XIII, uznawanej za początek nowoczesnej katolickiej nauki społecznej. Tamten dokument formułował fundamenty myślenia Kościoła o pracy, edukacji, prawach człowieka i sprawiedliwości społecznej. To był manifest przeciwko ówczesnym szkodliwym ideologiom, jak socjalizm w wydaniu marksistowskim i nieograniczony kapitalizm. Wiele rzeczy, które dziś wydają się oczywiste – jak ochrona kobiet czy sprzeciw wobec pracy dzieci – wtedy wymagało odważnego głosu, który Kościół wówczas zabrał. „Magnifica humanitas" ma podobną ambicję wobec naszej epoki: mówi, że technologia, zwłaszcza sztuczna inteligencja, nie może rozwijać się kosztem godności człowieka i wskazuje, jakie obszary wymagają przemyślenia na nowo.

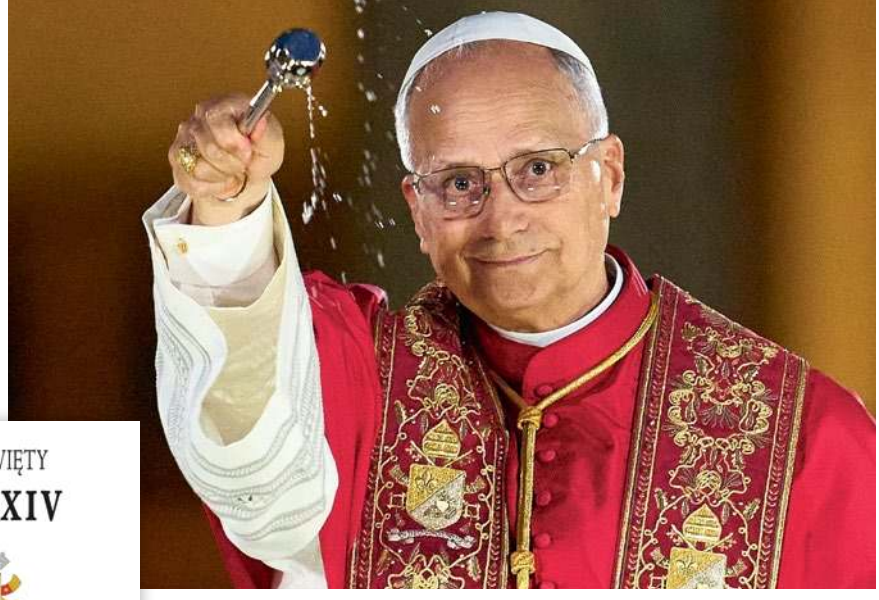
Papież przypomina, że Kościół nie jest instytucją wrogą rozumowi ani postępowi. Przeciwnie: korzysta z dorobku ludzkiej myśli, zarazem chce bronić człowieka przed tym, co go redukuje, uprzedmiotawia i dehumanizuje. W tym sensie encyklika rzeczywiście przywraca Kościołowi inicjatywę intelektualną, zorientowaną m.in. na sprawiedliwość czy dobro wspólne.

W encyklice papież podkreśla, że sztuczna inteligencja zagraża ludzkiej cywilizacji na kilka sposobów. Podstawowym, z którego wywodzą się pozostałe, jest stare prometejskie dążenie do zbawienia człowieka bez Boga. Czy to dążenie nie stanowiło zawsze problemu w kontekście użytkowania i rozwoju technologii?

Stanowiło, ale dziś przybiera szczególnie wyraźną postać. Papież wskazuje na transhumanizm i posthumanizm, czyli nurty ideologiczne, które wychodzą z założenia, że człowiek jest projektem niedokończonym, a technologia ma go zasadniczo poprawić albo wręcz przekroczyć. Z perspektywy chrześcijańskiej to bardzo niebezpieczne.

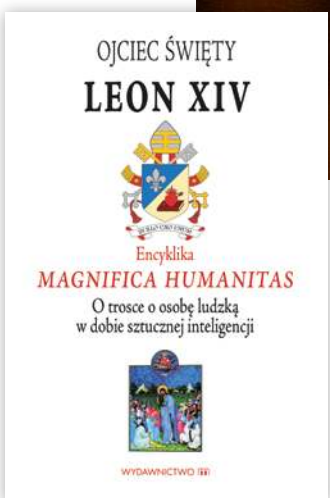
Fot. Archiwum prywatne

eprasa.pl efcf109b2d



Dlaczego?

Dlatego że człowiek ma słabości, ograniczenia i grzech, ale nie jest błędem do naprawienia. Został stworzony na obraz i podobieństwo Boga, ma więc niezbywalną godność i tak powinien być traktowany. Dlatego technologia nie może być projektowana po to, by fundamentalnie przekształcić człowieka. Może pomagać, ułatwiać pracę, wspierać rozwój, ale nie może zastępować człowieka ani traktować go jak zbioru danych, bo to degraduje integralność i godność osoby ludzkiej.



Papież pokazuje to za pomocą dwóch obrazów: wieży Babel i odbudowy Jerozolimy za czasów Nehemiasza. Babel symbolizuje próbę osiągnięcia wielkości bez uznania własnej natury i skończoności. Ludzie chcą być jak Bóg, ale nie potrafią unieść własnej ambicji. Nie potrafią współpracować, rywalizują ze sobą i każdy chce osiągnąć własne cele. W konsekwencji budowla upada, ale od tego momentu ci ludzie pozostają skonfliktowani. Czyli to doświadczenie fundamentalnie zniszczyło jedność i tamtą wspólnotę ludzką.

Zupełnie inaczej wygląda drugi przywołany obraz. Nehemiasz przybywa do Jerozolimy po jej zburzeniu i widzi ruinę. Przytłacza go to i nie wie, co ma robić, modli się więc do Boga z bezsilności. Po pewnym czasie dociera do niego, że nie jest sam. Zwołuje więc ludzi i uświadamia im, że tylko razem będą w stanie odbudować miasto. Każdy człowiek jest do tego potrzebny i tylko razem uda się osiągnąć cel. Myślę, że ten obraz może być szczególnie bliski Warszawiakom, którzy pamiętają odbudowę tego miasta.

Te dwa obrazy pokazują, czym może się stać AI. Dziś wiele algorytmów nie uwzględnia moralności ani podmiotowości człowieka. Użytkownik jest traktowany jak zasób danych, które można przetwarzać, przewidywać, monetyzować i wykorzystywać do zwiększenia konsumpcji. To logika Babel. Bo technologia nie służy integralnemu rozwojowi człowieka, lecz jest wykorzystywana do tego, by człowiekiem zarządzać.

Ale jeśli chcemy zmienić tę technologię tak, aby każdy człowiek był w niej podmiotem, by miał prawo do swoich danych, by miał prawo do transparentnych decyzji, by wszystkie etapy projektowania tej technologii i jej wdrażania były obliczone na godność człowieka, to nie musimy jej odrzucać. W takiej technologii moglibyśmy wspólnie budować coś dobrego dla wszystkich, ale trzeba zdawać sobie sprawę, że jeszcze jej nie ma. Musimy ją wywalczyć poprzez zmiany w prawie, regulacje i – co ważne – świadome korzystanie z tych produktów, które szanują wartość człowieka.

Jednym z nowych elementów, które ta encyklika – jak mi się wydaje – wprowadza do praktyki Kościoła, jest pewna nieufność wobec tego, co nazywamy „globalnymi elitami". Wśród ludu Bożego od dawna istnieje pewne przekonanie, że naszym światem rządzą ludzie, którzy niekoniecznie mają na sercu nasze dobro. Niestety w samych instytucjach Kościoła mało się o tym mówiło. Czy możemy uznać, że Leon XIV podejmuje tę kwestię otwarcie w swojej encyklice?

Mówi o tym bardzo wyraźnie, choć językiem instytucjonalnym. Jednym z ważniejszych elementów encykliki jest wskazanie, że część realnej władzy została odebrana państwom narodowym i przekazana korporacjom technologicznym. To nie jest publicystyka spiskowa, lecz problem opisywany także w literaturze naukowej. Shoshana Zuboff pisała o kapitalizmie nadzoru: systemie, w którym wielkie firmy gromadzą dane o ludzkich zachowaniach, a następnie wykorzystują je do przewidywania i modyfikowania decyzji społecznych.

W praktyce oznacza to, że big techy mogą wpływać na debatę publiczną, wybory polityczne, konsumpcję, hierarchię tematów, a nawet sposób, w jaki postrzegamy samych siebie. Nie możemy ich wybrać ani odwołać, a jednak ich produkty kształtują nasze decyzje. To władza niedemokratyczna i nietransparentna, co gorsza wielu ludzi nawet nie dostrzega tego wpływu i zniewolenia, łudząc się, że mają do czynienia z wolnością.

W dyskursie eksperckim pojawia się pojęcie cyfrowego niewolnictwa. Chodzi o sytuację, w której technologia jest tak głęboko włączona w życie społeczne, że człowiek staje się od niej zależny i nie może z niej zrezygnować. Platformy społecznościowe projektowano tak, by zarządzać naszą uwagą i poczuciem satysfakcji. Jesteśmy zatem zależni na wielu poziomach od czegoś, co nam szkodzi, bo nie uwzględnia naszej podmiotowości jako ludzi, tylko postrzega nas jako zbiór użytkowników, których uwagą i potrzebami trzeba zarządzać algorytmicznie. Nie chodzi tylko o to, czy wyświetli się nam taki czy inny film, lecz o możliwość profilowania człowieka: jego zdrowia, poglądów, lęków, pragnień i słabości. Mając taką wiedzę, można wpływać na to, co człowiek uzna za ważne i jakie decyzje podejmie. Papież nazywa ten problem po imieniu: technologia, która nie uznaje godności osoby, staje się narzędziem panowania.

Fot. Oscar Gonzalez Fuentes/Shutterstock.com, materiały prasowe

eprasa.pl efcf109b2d

Przeczytałem gdzieś ciekawe porównanie: czym były paliwa kopalne w XIX-wiecznej rewolucji przemysłowej, tym dziś jest informacja w rewolucji cyfrowej. Gromadzenie i przechowywanie informacji napędza tę rewolucję. Czy zdajemy sobie sprawę z wagi tego procesu?

Niestety wciąż zbyt słabo. Traktujemy produkty technologiczne jak narzędzia pracy, komunikacji albo rozrywki. Widzimy szybkość, wygodę, efektowność. Rzadziej pytamy o cenę. A ta jest wysoka: prywatność, zdolność samodzielnego wyboru, koncentracja, czasem również umiejętność głębszego myślenia. Lubimy mówić, że to postęp, ale nie każdy ruch do przodu jest rozwojem człowieka. Dlatego mówię o przyśpieszeniu, a nie postępie. Jeżeli korzystamy z darmowej platformy społecznościowej albo aplikacji AI, nie płacimy pieniędzmi, lecz danymi. Nasze zachowania, teksty, obrazy, preferencje i reakcje służą do udoskonalania produktów, za które później często musimy płacić. To mechanizm głęboko niesprawiedliwy: człowiek dostarcza surowiec, traci kontrolę nad jego użyciem, a następnie staje się klientem systemu, który sam pomagał zbudować.

W encyklice papież podnosi ten temat i wskazuje, że dane dotyczące człowieka nie są zwykłym paliwem. Pozostają związane z jego godnością, prywatnością i wolnością. Dlatego powinniśmy mieć realne prawo do zarządzania nimi, a także do ich usunięcia. Dzisiaj tego prawa nie mamy lub jest to kontrola iluzoryczna. W ogóle nie możemy decydować o tym, co się będzie działo z tymi danymi i jest to postepowanie antyludzkie. Albo człowiek będzie mógł rządzić technologią, albo to ona zawładnie człowiekiem. Nie ma drogi pośredniej.

Czy ludzie są gotowi odpowiedzieć na wezwanie do odejścia od rzeczywistości wirtualnej? „The New York Times" opublikował kiedyś artykuł o kobiecie zakochanej w kochanku – sztucznej inteligencji o imieniu Leo. Miała prawdziwego męża, ale wolała Leo. Małżonek się tym nie przejmuje, bo też spędza mnóstwo czasu w internecie. Czy żyjemy w takim stanie kultury, że ludzie wolą kłamstwo, które im odpowiada, od prawdy, która niesie ze sobą problemy?

To dotyka czegoś bardzo głębokiego w naszej naturze. Już Joseph Weizenbaum, twórca chatbota ELIZA, zauważył w latach 60. ub.w., że ludzie mają skłonność do personifikowania maszyn. Jeśli program odpowiada uprzejmie, uznajemy go za uprzejmy. Jeśli symuluje troskę, zaczynamy widzieć w nim troskę. To bardzo ludzkie, ale w kontakcie z AI obraca się przeciwko nam, bo przypisujemy cechy osoby czemuś, co nie myśli, nie czuje i nie ponosi odpowiedzialności.

Dzisiejsze chatboty są projektowane tak, by utrzymywać rozmowę jak najdłużej. Często schlebiają, potwierdzają nasze intuicje, unikają konfliktu. Oferują komfort, którego relacja z drugim człowiekiem nigdy nie daje w sposób trwały. Żywy człowiek potrzebuje czasu, by nas zrozumieć. Ma własne granice, słabości, odmienne zdanie. Chatbot może bardzo szybko rozpoznawać wzorce naszych reakcji i odpowiadać w sposób pozornie idealnie dopasowany. Ale za tym nie stoją doświadczenie, miłość ani odpowiedzialność, tylko statystyczna symulacja – na tyle skuteczna, że człowiek zaczyna nadawać jej ludzkie cechy i uczucia.

> Jednym z ważniejszych elementów encykliki jest wskazanie, że część realnej władzy została odebrana państwom narodowym i przekazana korporacjom technologicznym. To nie jest publicystyka spiskowa

To jest groźne dla relacji międzyludzkich, bo integralny rozwój człowieka dokonuje się w spotkaniu z drugą osobą. Poznając innego człowieka, lepiej poznajemy samych siebie. Ktoś nas czasem zirytuje i dzięki temu odkrywamy, że jakaś nasza granica została przekroczona. Ktoś inny nas zasmuci, przypominając nam o naszych potrzebach albo pragnieniach. Jeszcze inna osoba obudzi w nas ambicję, skłoni do zmiany dawnych przekonań albo zmusi do rezygnacji z własnej wygody. Bardzo często dowiadujemy się czegoś prawdziwego o sobie dopiero wtedy, gdy relacja z drugim człowiekiem przestaje być łatwa i komfortowa. Wtedy się rozwijamy – jako osoby i jako wspólnota.

Takie relacje wymagają jednak cierpliwości, przebaczenia, pracy nad sobą i zgody na odmienność drugiego człowieka. Jeśli technologia oferuje nam wygodną imitację osoby, może zatrzymać nas w stanie pozornego samozadowolenia. Wtedy drugi człowiek – ze swoją odmiennością, wymaganiami i słabością – zaczyna się wydawać przeszkodą. To jest głęboko destrukcyjny mechanizm.

Dlatego odpowiedź papieża jest prosta, ale wymagająca: trzeba wrócić do relacji osobowych. Być blisko drugiego człowieka, rozmawiać, budować wspólnotę, przyjmować trud spotkania. AI może być narzędziem, ale nie może stać się substytutem człowieka.

Pyta pan, czy jesteśmy jeszcze w stanie zmierzyć się z tym i przyjąć odpowiedzialność za sposób, w jaki funkcjonujemy wobec nowych technologii generatywnych. Chcę wierzyć, że tak. To jedno z najważniejszych duchowych, społecznych i cywilizacyjnych wyzwań naszych czasów. Nie wystarczy jednak indywidualna ostrożność ani apel o rozsądek. Potrzebujemy przebudzenia społecznego: edukacji, regulacji, świadomego korzystania z technologii i odbudowy realnych więzi międzyludzkich.

Dlatego dziś tak ważne są działania na wielu poziomach: zwiększanie świadomości społecznej, tworzenie wspólnot, które pomagają ludziom wracać do relacji osobowych, opracowanie projektów regulacji zmuszających korporacje do zmian strukturalnych, a także podejmowanie przez systemy edukacji decyzji ograniczających zbyt wczesny kontakt dzieci z technologią, by chronić ich zdolności poznawcze, koncentrację i rozwój emocjonalny.

eprasa.pl efcf109b2d



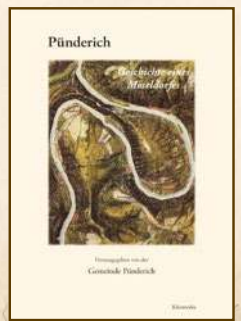
Kronika zmian klimatycznych

Żar leje się z nieba. Spacer z psem czy wyprawa na zakupy mogą się okazać niebezpieczne. Ale są też poważniejsze dylematy. Czy odwołać wizytę u lekarza? Raczej nie, bo następny termin dopiero za pół roku. Może czeka nas afrykańskie lato? A jak bywało z pogodą dawniej? Zajrzyjmy do starej kroniki



GRZEGORZ GÓRNY

Pünderich to miejscowość położona w Nadrenii, w dolinie Renu i Mozeli, pomiędzy Koblencją a Trewirem. Słynie ona głównie z upraw winorośli i produkcji wina. Na sławę powinna zasługiwać jednak z jeszcze jednego powodu. Od czasów wczesnego średniowiecza jest tam prowadzona kronika, która stanowi cenne źródło do rekonstrukcji stanów pogodowych sprzed epoki nowoczesnych pomiarów meteorologicznych. To lektura niezwykle pouczająca w kontekście dzisiejszych dyskusji na temat zmian klimatycznych. Oto krótki wybór zapisków z owej kroniki:



„763 – Sroga zima. Wszystkie rzeki i jeziora zamarzły. Przez wiele tygodni lodowate śnieżyce paraliżowały życie w przyrodzie, co doprowadziło do wybuchu wielkiego głodu.

878 – Księgosusz [wysoce zaraźliwa choroba wirusowa bydła – przyp. red.] i wysoka śmiertelność wśród ludzi.

911, 912, 917, 926 – Węgrzy zalewają kraj.

956 – Rok zarazy.

1038 – Wielki niedobór owoców w całych Niemczech.

1077 – Szczególnie surowa, długa zima – prawie wszystkie rzeki w Europie są zamarznięte.

1120 – W czerwcu gwałtowne burze z okropnymi gradami w Kraju Mozeli.

1152 – Wielka powódź.

1174 – Szczególnie surowa zima.

1177 – Kolejna surowa zima.

1182 – Bardzo łagodna zima.

1186/87 – Bardzo łagodna zima, w styczniu drzewa kwitną. W lutym gruszki osiągnęły już rozmiar orzecha.

1191–1196 – Długie okresy deszczu w sezonie letnim. Zbiory uległy zniszczeniu.

1196 – Tysiące pełnych rozpaczy ludzi przemierzało kraj w poszukiwaniu żywności.

Fot. Materiały prasowe, Shutterstock

1234 – Wielka zima stulecia. Z powodu silnego i uporczywego zimna zginęły wszystkie winorośle i liczne drzewa, a w wielu miejscach ludzie zamarzli na śmierć w swoich łóżkach. Wino zamarzło w najlepszych piwnicach, młyny stały się bezużyteczne, zapanował wielki głód.

1241 – U nas w Nadrenii drzewa kwitły w marcu, winogrona w kwietniu, a w maju dojrzałe były wiśnie. Latem susza.

1289 – Niezwykle łagodna zima. W Alzacji drzewa kwitną w Boże Narodzenie.

1301 – Bardzo łagodna zima.

1304 – Pierwsze dojrzałe winogrona były już 1 lipca. Nikt nigdy nie pamiętał tak wczesnych zbiorów.

1315 – Rok bez lata. Zboże nie wydało plonu, a siano zgniło na łąkach. Winne grona opadły z krzewów. Rozpoczęła się wielka klęska głodu, która osiągnęła szczyt w 1316 r. Był to rok straszliwego niedostatku – wielu ludzi umarło z głodu.

1323 – Wyjątkowo ostra zima, w rzekach pojawił się lód denny!

1338 – Ludzie zostali skonfrontowani z plagą, biblijną plagą: szarańcza nadciągnęła nad Europę. Przyszła ze wschodu z Bawarii, Szwabii w kierunku obszaru Renu i pochłonęła żarłocznie część zbiorów.

1345–1347 – Najzimniejsze lata tego tysiąclecia. Winorośl zakwitła dopiero na początku sierpnia, a miejscami nawet we wrześniu.

1346 – Do Europy przychodzi dżuma. W ciągu 3 lat rozprzestrzenia się od Sycylii po Islandię.

1387 – W rejonie Jeziora Bodeńskiego drzewa są w pełnym rozkwicie w okolicach Świąt Bożego Narodzenia.

1391 – Bardzo gorące i suche lato. Gdzieniegdzie wyschły studnie i potoki, przez co młyny wodne przestały pracować. Wytworzono najsłodsze wino od niepamiętnych czasów.

1395 – Niszczycielskie trzęsienie ziemi w naszym regionie. Skały popękały, a źródła wyschły.

1405 – Sroga mroźna zima. Lód płynie rzekami od 20 listopada do 5 lutego.

1416 – Na początku grudnia drzewa kwitły, a pola i ogrody były pełne kwiatów.

1420 – Drzewa owocowe przyniosły owoce dwa razy, ziarno dojrzewało na polach na początku kwietnia. Bardzo wczesne zbiory. Już w lutym było ciepło i sucho.

1423 – Bardzo surowa zima, w rzekach znów pojawił się lód denny.

1445 – Potężna powódź. W miejscowości Alf wśród mułu i rumowiska odsłonięto trzy zęby mamuta.

1446 – **10 kwietnia** nagły atak zimna z ostrym wiatrem północnym zniszczył winorośl w całej Europie Środkowej.

1497 – W styczniu zakwitły wiśnie.

1513/14 – Wyjątkowo sroga zima. Już na początku października spadł śnieg i nastały mrozy, które utrzymywały się przez cztery miesiące. W wielu regionach zamarznięte cieki wodne unieruchomiły młyny. Zboże trzeba było z wielkim trudem tłuc ręcznie w stępach i gotować, aby uchronić ludność przed śmiercią głodową.

1517/18 – Ostra zima z długimi mrozami, ludzi dotknął głód.

1534 – Niezwykle wysoka powódź [wyższa o 20 cm niż w 1993 r. – przyp. red.].

1539 – Wielka susza i upał, zbiorniki wodne i studnie wyschły. Rok zarazy!

1575 – Ekstremalna powódź [wyższa o 20 cm niż w 1993 r. – przyp. red.].

1597 – Pierwsze przypadki dżumy w Pünderich.

1599/1600 – Niezwykle mroźna zima. W ciągu zaledwie trzech dni wszystkie rzeki zamarzły tak głęboko, że można było po nich jeździć wozami. Jeszcze w maju ziemia była zmarznięta do tego stopnia, że nie mogły rosnąć ani trawa, ani zboże. Wychudzone bydło trzeba było wybijać, ponieważ zabrakło paszy. Wiele zwierząt dosłownie padło z głodu. Nawet najmocniejsze wina przechowywane w piwnicach zamarzły, a rozszerzający się lód rozsadził butelki!

1635 – Rok ciężkiej zarazy.

1643 – Niespotykane opady, które doprowadziły do ogromnej powodzi. Ciężka krótka zima z dużą ilością śniegu i silnym zimnem.

1646 – Bardzo gorące lato, więc prawie wszystko się wypaliło.

1651 – Niszczycielska powódź.

1662 – Wielki głód.

1665 – Widoczna kometa nad naszym krajem.

1666 – Dżuma (Wielka Zaraza) szalała po raz piąty w ciągu ostatnich dziewięciu dziesięcioleci [epidemia określona później mianem czarnej śmierci pochłonęła ok. 25 mln istnień ludzkich w Europie, czyli niemal jedną trzecią ówczesnej populacji – przyp. red.].

1680 – **25 grudnia** nad Trewirem zaobserwowano kometę.

1681 – **7 lutego** poważne trzęsienie ziemi w Krainie Mozeli.

1692 – **18 grudnia** wielkie trzęsienie ziemi wstrząsnęło domami i umysłami. Dwa dni później wielkie powodzie.

1701 – **2 lutego** wielka straszna burza w Dolinie Mozeli.

1704 – Sroga zima. Mozela zamarzła tak mocno, że po jej lodzie mogły przejeżdżać załadowane wozy.

Fot. Shutterstock

1709 – Zbiory winogron i owoców zostały zniszczone przez silne mrozy. Nastała wyjątkowo sroga zima. Mozela zamarzała trzykrotnie, a w marcu 1710 r. – po raz czwarty! Nawet najstarsi mieszkańcy nie pamiętali tak przenikliwego mrozu. Kury zamarzały w swoich gniazdach, ptaki skostniałe spadały z drzew, a niektórzy ludzie zamarzli we własnych łóżkach.

1718, 1719, 1724 – Najgorętsze i najsuchsze lata ostatnich kilku stuleci.

1733 – Rok ospy.

1740 – Niszczycielska powódź, połączona z ulewą i wielkimi burzami. Mozela na trzy tygodnie rozlała się jak morze.

1755 – Silne trzęsienie ziemi odczuwalne od Trewiru do Koblencji spowodowało poważne szkody mienia.

1756 – Trzęsienie ziemi w Krainie Mozeli.

1783 – Znowu silne trzęsienie ziemi w naszej okolicy, szkody materialne.

1784 – Największa powódź na Mozeli w ludzkiej pamięci.

1786 – Trzęsienie ziemi w Krainie Mozeli.

1804 – Ostra zima, Mozela zamarznięta.

1812 – Surowa zima, pochód Napoleona na Rosję zatrzymany przez lód i śnieg.

1815 – Bardzo łagodna zima.

1816 – Rok bez lata.

1817 – Straszny głód w całych Niemczech i Europie.

1822 – Bardzo łagodna wiosna. W styczniu Reiler już skosił trawę, a w lutym zakwitły drzewa owocowe. Bardzo wczesne zbiory.

1829 – Po bardzo mokrym lecie zbiory winogron zaczęły się dopiero 13 listopada i zakończyły się 19 listopada. W tamtych dniach mróz był tak silny, że winogrona były zmrożone i musiały być rozmrożone ciepłą wodą, by można je było wycisnąć.

1830 – Bardzo surowa zima, nawet Jezioro Bodeńskie jest całkowicie zamarznięte i można przejść z jednego brzegu na drugi.

1845 – Ostra zima, w czerwcu kra nadal unosi się na Mozeli.

1886 – 1 stycznia podczas wielkiego pożaru spłonęło siedem domów. Po raz pierwszy w Pünderich pojawiła się choroba winorośli – peronospora.

1892/93 – Spływ kry na Mozeli utrudniał żeglugę holowniczą.

1921 – Wyjątkowo suchy rok. Niski stan wody odsłonił skałę wystającą z dna Mozeli.

1925/26 – W sylwestra ekstremalna powódź spowodowana topnieniem śniegu w Wogezach.

1929 – Surowa zima, trzy razy lód skuwa Mozelę: w styczniu, lutym i na początku marca.

1936 – Osuwiska w winnicach. Ogromne szkody majątkowe.

1940 – 3–4 lutego na Mozeli ruszyła lodowa kra. Zator lodowy poniżej Pünderich spowodował poważne szkody w dolnej części miejscowości.

1947 – Jedno z najgorętszych i najbardziej suchych lat w XX w. Agrest na krzewach wyglądał, jakby był ugotowany. Na jabłkach i wiśniach pojawiły się oparzenia słoneczne. Zbiory ziemniaków były bardzo skąpe. Łąki wypaliła susza, a w lasach doszło do pożarów.

1953 – Gwałtowna burza z wichurą wyrządziła poważne szkody podczas stawiania namiotu festynowego. Wiele plandek zostało rozdartych. Mistrz rymarski Norbert Lay, pracując na polu namiotowym ze swoją maszyną do szycia, pozszywał je na nowo. Dzięki temu udało się uratować święto wina.

1956 – Ekstremalne powodzie w styczniu.

1959 – Upalne lato spowodowało wyjątkowo niski stan wody w Mozeli. Poziom rzeki obniżył się do zaledwie 0,69 m – tak niskiego stanu nie notowano od bardzo dawna. Przez długi czas ponad powierzchnię wody wystawały tzw. kamienie głodowe na Mozeli. Niepokój budziło również znaczne obniżenie poziomu wód gruntowych.

1963 – Zawieszono kolejowe przewozy towarowe w Dolinie Mozeli. Od 28 stycznia do 3 marca Mozela pozostawała skuta lodem.

1976 – Pod koniec lipca i na początku sierpnia doszło do masowego śnięcia ryb w Mozeli. Przyczyną były wyjątkowe upały oraz gwałtowny niedobór tlenu w wodzie. Na samym tylko obszarze Pünderich straż pożarna i ochotnicy zebrali co najmniej 6,5 t martwych ryb.

1983 – Pierwsza poważna powódź po kanalizacji Mozeli. Mozela zalała na wiosnę dolną część wioski dwa razy w krótkim czasie i spowodowała ogromne szkody w zabudowie.

1992 – 13 kwietnia trzęsienie ziemi wstrząsnęło naszym krajem i Nadrenią.

1993 – Niszczycielska powódź tuż przed Bożym Narodzeniem. Ogromne uszkodzenia budynków. Szczytowy poziom wody 22 grudnia: poziom w Trewirze – 11,28 m.

1995 – Powódź na początku roku, poziom w Trewirze – 10,40 m.

1997 – Na początku stycznia na Mozeli ruszyła kra lodowa. Po raz pierwszy od 34 lat rzeka znów zamarzła.

2002 – W pierwszym kwartale roku Mozela aż sześciokrotnie występowała z brzegów i zalewała dolną część miejscowości.

2003 – Lato stulecia w całej Europie".



Fot. Shutterstock



Jak zdobycie Jerozolimy *przez krzyżowców zmieniło bieg historii*

15 lipca 1099 r. wojska I wyprawy krzyżowej w wyniku długiej kampanii wojennej zdobyły Jerozolimę. Niedługo później powstało Królestwo Jerozolimy, które formalnie istniało prawie 200 lat. Opanowanie miasta było jednym z najważniejszych wydarzeń średniowiecza, a jego historyczne, polityczne i kulturowe skutki są odczuwane do dziś



STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

Historia zdobycia Jerozolimy i dzieje państw krzyżowców do dziś fascynują historyków, pisarzy i twórców filmowych. Jednym z najbardziej znanych dzieł poświęconych temu okresowi jest film „Królestwo niebieskie" z 2005 r. w reżyserii Ridleya Scotta. Choć produkcja nie oddała wiernie wydarzeń z Ziemi Świętej, znacząco przyczyniła się do popularyzacji tematyki wypraw krzyżowych. Rzeczywista historia krucjat okazuje się jednak nie mniej fascynująca niż jej najbardziej znana filmowa interpretacja.

NAPADY NA PIELGRZYMÓW

Arabowie podbili Palestynę już w VII w. Muzułmańscy władcy przez długi czas nie prześladowali miejscowych chrześcijan, a pielgrzymi z Europy mogli swobodnie odwiedzać święte miejsca. Głównym obowiązkiem niemuzułmanów było płacenie dodatkowego podatku, czyli dżizji. Sytuacja zmieniła się w X w., gdy świat islamu uległ podziałowi. Powstały dwa rywalizujące kalifaty: szyicki kalifat Fatymidów i sunnicki kalifat Abbasydów. Palestyna znalazła się na pograniczu ich wpływów, przez co często stawała się areną walk i przechodziła z rąk do rąk.

Fot. The Bridgeman Art Library

eprasa.pl efcf109b2d

Kalif Fatymidów al-Hakim bi-Amr Allah, znany z religijnego radykalizmu, obarczył wyznawców innych religii odpowiedzialnością za kryzys państwa i rozpoczął ich prześladowania. W 1009 r. nakazał zburzenie najważniejszego miejsca kultu chrześcijan w Palestynie – Bazyliki Grobu Świętego.

W XI w. na Bliski Wschód wkroczyli Turcy seldżuccy. Po przyjęciu islamu stworzyli potężne imperium, które jednak szybko rozpadło się na liczne rywalizujące ze sobą sułtanaty i emiraty. Region pogrążył się w chaosie, a obok regularnych armii działały liczne grupy rabusiów, często złożone z byłych żołnierzy pokonanych wojsk. Ziemia Święta stała się niebezpieczna zarówno dla chrześcijan, jak i muzułmanów. Coraz częściej dochodziło do napadów na pielgrzymów. Jednym z najbardziej znanych przypadków był atak na pielgrzymkę bp. Gunthera z Bambergu w 1065 r. Prowadził on ok. 7 tys. pielgrzymów do Jerozolimy, gdy w pobliżu Cezarei grupa została zaatakowana. Część uczestników zginęła, a wielu dostało się do niewoli. Do dziś nie wiadomo, czy napastnikami byli Fatymidzi, Seldżucy, czy zwykła banda rabunkowa.

W 1090 r. cesarz bizantyjski Aleksy I Komnen zwrócił się do papieża Urbana II z prośbą o pomoc wojskową przeciwko Turkom. Liczył na wsparcie zachodnich rycerzy w obronie cesarstwa, nie myślał jednak o organizowaniu wyprawy na Jerozolimę. Ale dla papieża była to okazja do zrealizowania swoich własnych planów. W listopadzie 1095 r. podczas synodu w Clermont Urban II wezwał chrześcijan do zorganizowania wyprawy mającej pomóc Cesarstwu Bizantyjskiemu i wyrwać Ziemię Świętą z rąk muzułmanów. Przypomniał o cierpieniach chrześcijan na Wschodzie, prześladowaniach pielgrzymów oraz obiecał uczestnikom wyprawy odpust zupełny, czyli darowanie kar za grzechy. Dla ówczesnych była to obietnica o ogromnym znaczeniu. Do udziału w wyprawie skłaniały jednak nie tylko motywy religijne. Wielu młodszych synów feudałów, którzy zgodnie z prawem dziedziczenia nie mogli liczyć na rodzinny majątek, widziało w krucjacie szansę na zdobycie ziemi, bogactwa i sławy.

TRUDNE POCZĄTKI

Na apel papieża odpowiedziały dziesiątki tysięcy ludzi: możni, rycerze oraz zwykli mieszkańcy Europy Zachodniej. W kolejnych miesiącach powstało kilka armii, które różnymi trasami – zarówno lądem, jak i morzem – ruszyły w kierunku Konstantynopola. Jedną z najlepiej zorganizowanych dowodził normański książę Boemund z Tarentu, pozbawiony ojcowskiego dziedzictwa przez macochę i przyrodniego brata. Najliczniejsze wojska wystawił hrabia Rajmund IV z Tuluzy, a armię z Lotaryngii poprowadzili bracia Gotfryd z Bouillon i Baldwin z Boulogne. Z kolei rycerstwo z północnej Francji i Normandii stworzyło kilka niezależnych oddziałów dowodzonych przez m.in. Hugona z Vermandois, Roberta II z Normandii, Stefana Henryka z Blois i Roberta Flandryjskiego.

Do wyprawy dołączyły również tysiące chłopów, mieszczan i ubogich rycerzy, którzy wierzyli, że udział w krucjacie odmieni ich życie. Na czele tego słabo uzbrojonego tłumu stanął kaznodzieja Piotr Pustelnik. Według współczesnych historyków „krucjata ludowa" liczyła ok. 30 tys. uczestników. W drodze dopuścili się oni pogromów ludności żydowskiej w miastach nad Renem oraz licznych grabieży. Po przekroczeniu Bosforu wyprawa została rozbita przez Turków seldżuckich w Azji Mniejszej, zanim główne siły krzyżowców zdążyły dotrzeć na miejsce.

DŁUGI MARSZ WOJENNY

W 1097 r. główne armie krzyżowców dotarły do Konstantynopola. Połączone siły liczyły ponad 30 tys. żołnierzy. Cesarz bizantyjski Aleksy I zapewnił im przeprawę przez Bosfor, zaopatrzenie oraz wsparcie wojskowe w zamian za hołd lenny i przysięgę, że wszystkie odzyskane ziemie zostaną zwrócone Cesarstwu.

Pierwszym celem wyprawy była Nicea, stolica Turków seldżuckich w Azji Mniejszej. Po miesiącu oblężenia miasto poddało się Bizantyjczykom, którzy potajemnie wynegocjowali kapitulację z obrońcami. Krzyżowcy, pozbawieni możliwości splądrowania miasta, uznali to za zdradę, co zapoczątkowało narastający konflikt z Bizancjum. Po opuszczeniu Nicei armia ruszyła w głąb Anatolii. W lipcu 1097 r. pod Doryleum została zaatakowana przez wojska sułtana Kilidż Arslana. Początkowo awangarda dowodzona przez Boemunda z Tarentu znalazła się w bardzo trudnym położeniu, jednak przybycie pozostałych sił krzyżowców i uderzenie na Turków z dwóch stron odwróciło losy bitwy. Zwycięstwo otworzyło krzyżowcom drogę do Syrii.

W trakcie marszu część dowódców odłączyła się od głównej armii. Baldwin z Boulogne skierował się do Edessy, gdzie dzięki poparciu miejscowych Ormian objął władzę i utworzył Hrabstwo Edessy, pierwsze państwo krzyżowców na Wschodzie. Pozostali rycerze kontynuowali marsz na południe i jesienią 1097 r. rozpoczęli oblężenie Antiochii. Trwało dziewięć miesięcy i było jednym z najtrudniejszych etapów całej wyprawy. Krzyżowcy zmagali się z głodem, chorobami i dezercjami, a miasto, potężnie ufortyfikowane, długo pozostawało niezdobyte. Idąca na odsiecz miastu armia emira Aleppo dzięki potężnej szarży z pobliskiego wzgórza została jednak rozbita przez Boemunda z Tarentu, który wkrótce został okrzyknięty głównym dowódcą krucjaty. W czerwcu 1098 r. dzięki pomocy ormiańskiego strażnika Firuza krzyżowcom udało się potajemnie przedostać do miasta i przejąć większość Antiochii.

Niedługo później sami zostali oblężeni przez wielką armię dowodzoną przez Kurbugha z Mosulu. Hrabia Stefan Henryk z Blois zdecydował się opuścić krzyżowców i udał się do cesarza Aleksego I, przekonując go, że wyprawa zakończyła się klęską. W rezultacie władca Bizancjum zawrócił swoje wojska, pozbawiając krzyżowców oczekiwanego wsparcia. W krytycznym momencie żołnierz o imieniu Pierre Barthélemy ogłosił, że odkrył świętą relikwię – włócznię Longinusa, która przebiła bok Jezusa. Z odbudowanym morale krzyżowcy zaczęli szykować się do walki. Mimo wyczerpania i trudnej sytuacji zdecydowali się na otwartą bitwę i odnieśli spektakularne zwycięstwo, które uratowało całą wyprawę. Boemund odmówił oddania miasta cesarzowi i ogłosił się księciem Antiochii, tworząc drugie państwo krzyżowców.

eprasa.pl efcf109b2d

Po kilku miesiącach odpoczynku i zdobyciu mniejszych twierdz pozostałe siły, dowodzone głównie przez Rajmunda z Tuluzy i Gotfryda z Bouillon, wznowiły marsz. W czerwcu 1099 r. stanęły pod murami Jerozolimy, rozpoczynając oblężenie, które miało przesądzić o losach I wyprawy krzyżowej.

KRÓLESTWO JEROZOLIMY STAJE SIĘ FAKTEM

Armia krzyżowców dotarła do Świętego Miasta po przebyciu tysięcy kilometrów i niemal trzech latach walk. Ledwie rok wcześniej Jerozolima została odbita z rąk Turków przez Fatymidów. Ci próbowali uniknąć wojny i zaproponowali krzyżowcom pokój, jednak rycerze zażądali wydania miasta, co przekreśliło szanse na porozumienie. Oblężenie okazało się niezwykle trudne.

Krzyżowcy cierpieli z powodu braku żywności, wody i materiałów do budowy machin oblężniczych. Sytuację uratowało przybycie genueńskich żeglarzy, którzy dostarczyli drewno i niezbędne wyposażenie. Dzięki temu zbudowano wieże oblężnicze, tarany oraz drabiny, umożliwiające przeprowadzenie decydującego szturmu. W nocy poprzedzającej atak krzyżowcy przesunęli jedną z wież pod słabiej broniony odcinek murów, zaskakując obrońców i umożliwiając atak z dwóch stron.

Rankiem 15 lipca 1099 r. rozpoczął się ostateczny szturm. Rycerze pod wodzą Gotfryda z Bouillon jako jedni z pierwszych przedostali się na mury, otwierając drogę pozostałym oddziałom. Po sforsowaniu fortyfikacji walki przeniosły się na ulice miasta i trwały jeszcze przez kilka godzin.

Zdobyciu Jerozolimy towarzyszyła masakra mieszkańców. Zginęły tysiące muzułmanów i Żydów, a miasto przez kilka dni było plądrowane przez zwycięzców. Dopiero po trzech dniach krzyżowcy zaczęli debatować, co zrobić z Jerozolimą. Większość przywódców wyprawy opowiadała się za utworzeniem chrześcijańskiego państwa w Ziemi Świętej.

Koronę królewską zaproponowano najpierw Rajmundowi z Tuluzy, jednak odmówił jej przyjęcia. Następnie wybór padł na Gotfryda z Bouillon. On również jej nie przyjął, twierdząc, że nie chce nosić złotej korony w miejscu, gdzie Jezus Chrystus nosił koronę cierniową. Zamiast tego przyjął tytuł Obrońcy Grobu Świętego. Dopiero po śmierci Gotfryda jego brat Baldwin I koronował się na pierwszego władcę Królestwa Jerozolimskiego.

> W listopadzie 1095 r. podczas synodu w Clermont Urban II wezwał chrześcijan do zorganizowania wyprawy mającej wyrwać Ziemię Świętą z rąk muzułmanów. Przypomniał o cierpieniach chrześcijan na Wschodzie, prześladowaniach pielgrzymów oraz obiecał uczestnikom wyprawy odpust zupełny, czyli darowanie kar za grzechy

NIEKOŃCZĄCA SIĘ WOJNA

Nowo powstałe państwo od początku musiało walczyć o przetrwanie. Jeszcze w 1099 r. wezyr Egiptu Al-Afdal Szachinszach zebrał ok. 20 tys. żołnierzy i wyruszył, aby odzyskać Jerozolimę. Mimo przewagi liczebnej jego armia była źle zorganizowana i składała się głównie z najemników. Krzyżowcy wykorzystali to i zaskoczyli przeciwnika pod Aszkelonem, odnosząc zdecydowane zwycięstwo. Bitwa ta umocniła ich panowanie w Palestynie i zapewniła bezpieczeństwo młodemu Królestwu Jerozolimskiemu.

Obok niego istniały już Hrabstwo Edessy i Księstwo Antiochii, a w kolejnych latach powstało również Hrabstwo Trypolisu. Państwa krzyżowców funkcjonowały na wzór zachodnioeuropejskich monarchii feudalnych, jednak ich położenie wymuszało ciągłą gotowość do wojny oraz budowę licznych zamków i twierdz. Ważną rolę w ich obronie odgrywały zakony rycerskie, przede wszystkim templariusze i joannici, łączące życie zakonne ze służbą wojskową.

Państwa krzyżowców przez niemal dwa stulecia pozostawały chrześcijańskimi ośrodkami na Bliskim Wschodzie, utrzymując ożywione kontakty handlowe z Europą i tocząc nieustanne wojny z sąsiednimi państwami muzułmańskimi. Sukces I wyprawy krzyżowej rozpalił w Europie entuzjazm dla kolejnych krucjat, które przez następne dwa stulecia odgrywały istotną rolę w polityce i życiu religijnym średniowiecznej Europy.

ŚWIAT PO KRUCJATACH

Zdobycie Jerozolimy przez krzyżowców drastycznie zmieniło układ sił na Bliskim Wschodzie. Utworzenie państw łacińskich przyczyniło się także do rozwoju handlu między Europą a Wschodem, wymiany kulturowej oraz przepływu wiedzy z zakresu medycyny, matematyki i astronomii. Na znaczeniu zyskały miasta handlowe, przede wszystkim Wenecja, Genua i Piza, które dzięki kontaktom z Lewantem stały się jednymi z najważniejszych ośrodków gospodarczych średniowiecznej Europy.

Krucjaty miały jednak również dalekosiężne negatywne konsekwencje. Zapoczątkowały niemal 200 lat walk między chrześcijaństwem a islamem o kontrolę nad Ziemią Świętą, pogłębiły wzajemną nieufność i przyczyniły się do wzrostu nietolerancji religijnej. Choć od zdobycia Jerozolimy minęło ponad 900 lat, w pamięci wielu narodów Bliskiego Wschodu wydarzenia z 1099 r. do dziś pozostają symbolem przemocy chrześcijan i europejskiego ekspansjonizmu.

eprasa.pl efcf109b2d



W roli przedwojennego gwiazdora Eugeniusza Bodo przypomina go TVP. Jesienią w serialu „Lalka" Tomasza Schuchardta zobaczymy jako Wokulskiego. Za chwilę dla platformy Netflix wcieli się też w ekranowego Bogumiła Niechcica

Bohaterowie odkrywani powoli

Kadr z filmu „Lalka"

Fot. Netflix

eprasa.pl efcf109b2d



JOLANTA GAJDA–ZADWORNA



Kadr z filmu „Bodo”

Czy stał się już specjalistą od kanonicznych ról? I tak, i nie. Z jakiegoś powodu tuż po zagraniu Stanisława Wokulskiego (premiera serialowej „Lalki” we wrześniu), pojawi się w kolejnej głośnej ekranizacji. Tym razem „Nocy i dni”. Będzie się tu wcielał w spolegliwego męża Barbary Niechcic. Pamiętajmy jednak, że obie role powstały tuż po głośnym „Domu dobrym”. W filmie Smarzowskiego Schuchardt na tyle wiarygodnie zagrał domowego agresora, że wylała się na niego fala hejtu. „Bo czy można być aż tak przekonującym, jeśli samemu nie ma się podobnych doświadczeń jak ekranowa postać?” – pytano. Sądząc po dotychczasowej filmografii Tomasza Schuchardta – można.

W DAWNYM STYLU

Równo dekadę temu pokazał, że znakomicie potrafi się odnaleźć w kostiumie sprzed blisko wieku. Po różnorodnych współczesnych rolach, z klasą i charmem wkroczył w świat gwiazd czarno-białego polskiego kina. Serial, w którym zagrał tytułowego „Bodo” (w wersji dojrzałej, bo w młodzieńczej obsadzono Antoniego Królikowskiego), był chwalony za znakomite odtworzenie klimatu międzywojennej Warszawy, świetne kostiumy i scenografię oraz fenomenalną kreację Schuchardta.

Wspomniane walory (choć w mocno uszczuplonej wersji) można odnaleźć w pełnometrażowym filmie „Bodo”, który powstał z materiałów 13-odcinkowego serialu i od jakiegoś czasu jest bezpłatnie udostępniany na TVP VOD.

W produkcji Michała Kwiecińskiego Schuchardt grał nie tylko amanta, lecz także charyzmatycznego artystę kina, teatru i kabaretu, a także człowieka, któremu los zgotował dramatyczny finał życia. I również tę skrajność – a wcześniej cały wachlarz doświadczeń bohatera – potrafił pokazać w sposób poruszający i wiarygodny.

CYLINDER I SPRZECZNOŚCI

Teraz stał się serialowym Stanisławem Wokulskim, mierząc się zarówno z porównaniami z Marcinem Dorocińskim (w czekającym na premierę kinowej adaptacji „Lalki”), Mariuszem Dmochowskim (z filmu Hasa) oraz Jerzym Kamasem (z serialu Bera), jak i oczekiwaniami widzów-czytelników. Każdy z nich ma zapewne swoją wizję bohatera, rozdartego między marzeniami a rzeczywistością. Kogoś, kto chce zdobyć świat, ale przegrywa z własnymi emocjami.

Ponoć Wokulski Schuchardta znajdzie się najbliżej współczesnego odbiorcy. Nie będzie eleganckim bohaterem w cylindrze, ale kimś zmęczonym, samotnym, pełnym sprzeczności. I być może właśnie dlatego bohater „Lalki” tak pasuje do Schuchardta. Aktor chętnie powtarza, że interesują go ludzie z pęknięciami. Nie ci idealni, ale ci prawdziwi.

NADCHODZI BOGUMIŁ

Niemal równolegle z „Lalką” w życiu aktora pojawił się kolejny wielki klasyk – „Noce i dnie”. Jaki będzie jego Bogumił Niechcic (także w porównaniu z kreacją Jerzego Bińczyckiego z filmu Jerzego Antczaka)? Jeśli powieściowym Wokulskim targają ambicje, namiętności i niespełnienie, Bogumił jest symbolem codziennej pracy, odpowiedzialności, cichego poświęcenia. To człowiek opoka, pozornie jednorodnie pozytywny, ale ile emocji w nim drzemie? Jest spora szansa, że Schuchardt pokaże to widzowi. Mówi, że szczególnie interesują go bohaterowie, których „trzeba odkrywać powoli”. Od początku wydawał się szukać takich postaci. I takie aktorskie zadania doprowadziły go do miejsca, w którym teraz się znajduje.

BEZ POWTARZALNOŚCI

W debiutanckim „Chrzcie” (nagroda za główną rolę w Gdyni w 2010 r. wraz z Wojciechem Zielińskim) zagrał zbuntowanego, a zarazem twardego i popękanego wewnętrznie chłopaka. Dwa lata później, w filmie „Jesteś Bogiem”, po zrzuceniu 15 kg, wcielił się w rapera Wojciecha „Fokusa” Alszera. Zyskał popularność i statuetkę w Gdyni w 2012 r. (za drugoplanową rolę męską, *ex aequo* z Dawidem Ogrodnikiem).

Na początku często grał żołnierzy („Chrzest”, „Karbala”, „Miasto 44”, „Misja Afganistan”). Do dziś wciela się w przedstawicieli służb mundurowych („Skazana”, „Hiacynt”, „Krucjata”, „Czarne stokrotki”), ale ma też na koncie rolę tragicznie zakochanego Benka z „Chemii” (2015).

W miarę, jak nabywa zawodowego doświadczenia (oraz przybiera na wadze), gdy ról nie sposób już było „dowyglądać”, wypełniał je całym sobą. Rozszerzał charakterologiczne spektrum swoich bohaterów, m.in. w tragikomedii „Chrzciny”, serialach „Wielka woda”, „Heweliusz” czy „Odwilż”, a także budzącym kontrowersje „Domu dobrym”.

W filmografii Schuchardta trudno doszukać się powtarzalności. Konsekwentnie pojawia się w bardzo różnych projektach. Często wybiera bohaterów, w których jest coś niewygodnego. Jako aktor ma w sobie coś nieczęstego w czasach wszechobecnego celebrytwa – brak potrzeby podobania się. Nie próbuje być bardziej interesujący niż jego bohaterowie. I wciąż potrafi zaskoczyć na ekranie.

Fot. Aleksandra Mecwaldowska/TVP

eprasa.pl efcf109b2d



Maciej ***Walaszczyk***

Eksponaty z muzeum rocka

Witajcie w muzeum rocka, gdzie stary Beatles muzykuje ze swymi dawnymi rywalami Stonesami, a wypełniające go muzyczne eksponaty wyrastają nieodrodnie ze swych bluesowych korzeni, wciąż wysysających z wysychającego rockowego drzewa ostatnie, najbardziej żywotne soki. Zostało ich trzech: Jagger (83 l.), Richards (83 l.) i Wood (79 l.). Bacząc na wiek muzyków, słowa te brzmią dwuznacznie, znów prowokując pytanie: „Czy to już ostatni raz?". Również sam gatunek powiela dawne brzmienia i formy, bo choć w ostatnich 30 latach wielokrotnie próbowano – często z sukcesem – odświeżać rocka, to jednak powolutku schodzi on ze sceny światowej kultury.

Mimo że okładka płyty raczej odstrasza, niż zachęca do sięgnięcia po nią, to od pierwszych dźwięków zespół przypomina o wszystkim, co w rocku dobrego, żywiołowego i przyspieszającego puls. Pytę otwiera klasyczny stonesowy idiom, inspirowany typową frazą bluesową i taka jest ta muzyka od pierwszego do ostatniego nagrania. Z brzmieniem raczej potężnym, stadionowym, ale jak zawsze koronkowymi aranżacjami gitarowymi Richardsa–Wooda i charakterystycznym śpiewem Jaggera. Co więcej, muzyczni dziennikarze są zgodni – to jedna z lepszych płyt w ich historii. „Foreign Tongues" zostało ukończone w zeszłym roku, po miesiącu spędzonym w londyńskim Metropolis Studio z 35-letnim, modnym ostatnio producentem Andy Wattem, który wyprodukował także niedawny album Paula McCartneya. Płytę zasila też kilka marketingowych sztuczek, jak ostrzejszy „Hit Me in the Head" z zarejestrowaną przed śmiercią, charakterystyczną i nienagannie swingującą perkusją Charliego Wattsa. W „Divine Intervention" słychać ponoć gitarę Roberta Smitha z The Cure, mamy świetny cover znanej piosenki nieżyjącej Amy Winehouse „You Know I'm No Good" z partią jaggerowej harmonijki. „Jealous Lover" to znów popis jaggerowego disco i jego nieznośnego falsetu. Przewijają się też perkusista Red Hot Chili Peppers Chad Smith w hołdownicznym „Beautiful Delilah" Chucka Berry'ego czy sam wspomniany już McCartney, który zagrał na basie w „Covered in You". Kilka politycznych docinków skierowanych pod adresem w Elona Muska („Mr. Charm") i amerykańskich polityków. Dobry marketing, trochę donkiszoterii, a także świetna muzyka. Cóż – to tylko rock and roll.



Rolling Stones, „Foreign Tongues", Universal Music Group 2026

Wspomnienia starego bursza

Mieczysław Jałowiecki to postać nietuzinkowa, a książeczka, którą serdecznie wszystkim polecam, jest świetną zachętą do lektury jego sztandarowego dzieła – „Na skraju imperium". Ciągle wznawianego i będącej skarbcem kapitalnych wspomnień księcia Perejesławskiego-Jałowieckiego z epoki poprzedzającej wybuch Wielkiej Wojny, życia i obyczajów polskiego ziemiaństwa kresowego, a także czasu widzianej na własne oczy rewolucji bolszewickiej czy burzliwych narodzin niepodległości.

Jałowiecki w roli dyplomaty doprowadził wszak do zakupu cypla Westerplatte, ratując Polską gospodarkę przez niedoborami węgla i zboża. Środki te pożyczył od ufających mu – także przez wzgląd na pamięć o jego ojcu Bolesławie – szwedzkich przemysłowców. Okres powojenny spędzał jednak na wygnaniu w Wielkiej Brytanii. W 2022 r. staraniem polskich władz jego prochy zostały sprowadzone do ojczyzny i złożone na gdańskim Srebrzysku.

Wydane właśnie wspomnienia wraz z odręcznymi szkicami ręki samego autora opisują jego studia na Politechnice Ryskiej. Uczelnie w Rydze i Dorpacie zachowywały bowiem autonomię uniwersytetów zachodnich z możliwością grupowania swych wychowanków w korporacjach akademickich, takich jak niemiecka Rubonia, rosyjska Arktyka czy polskie Welecja i Arkonia, które zostały reaktywowane po 1989 r. Wywodząc swój rodowód z tajnych bractw filomatów i filaretów, kultywowały narodowe tradycje, a kultura i wspólna sfera towarzyska oraz – jak wspominał Jałowiecki – ożywiany w nich instynkt samozachowawczy chroniły studenterię przed „wschodnim nihilizmem i skrajnym moskiewskim nacjonalizmem", a więc działającymi równolegle stowarzyszeniami rekrutującymi – jak pisał – żywioł rosyjsko-żydowski, lewicowy i często wywrotowy. Członkostwo w Arkonii to czas intensywnego życia towarzyskiego, kształtowania charakteru, odwagi cywilnej, np. w przeciwstawianiu się chamstwu, wyrabiania towarzyskiego oraz samokształcenia. Czytając tę garść wspomnień, spisanych już w emigracyjnej samotności, otrzymujemy też sporo anegdot, m.in. o zaprzyjaźnionej z Jałowieckim pisarce Marii Rodziewiczównie czy znanych korporantach, m.in. bp. Edwardzie O'Rourke'u i o samym bohaterze. „Pan był jednym z ostatnich prawdziwych burszów [student należący do korporacji akademickiej – red.], którzy odsiadywali karcer" – miał zaczepić Jałowieckiego portier Politechniki Ryskiej już w międzywojniu. Warto poznać tę historię.

Maciej Walaszczyk

DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL



Mieczysław Jałowiecki, „Gaudeamus. Szkice z lat minionych", Czytelnik 2025

eprasa.pl/efcf109b2d





HITY i KITY ZAREMBY

Plagi naszych czasów – film zły, ale...

Obejrzałem „Citizen vigilante", bardzo głośny i bardzo atakowany film Niemca Uwego Bolla. Zgadzam się, że jest nakręcony nieporadnie, ale nie dlatego budzi emocje. Jakub Majmurek potępia go nie jako recenzent filmowy, nawet nie jako człowiek zdegustowany okrutną wymową, a jako strażnik politycznej poprawności. Nie wiem, czy „skrajna prawica" istotnie uwielbia ten film. Jest on symptomem szaleństwa naszych czasów

„Citizen" to obywatel, „vigilante" – członek straży obywatelskiej. Główny bohater, Michael Sanders, Amerykanin i dawny wojskowy, grany przez Armiego Hammera, mści się w jednym z państw europejskich na nierozliczonych sprawcach przestępstw, głównie przybyszach z Afryki czy Azji, a także na ludziach z aparatu władzy, którzy umożliwiają ten brak rozliczeń. Filmów o mścicielach było dużo, szczególnie w Ameryce. O czym jest w końcu „Brudny Harry" czy kolejne filmy z cyklu „Życzenie śmierci"? Okrutne, etycznie wątpliwe, ale już było.

Clint Eastwood w „Brudnym Harrym" korygował absurdy systemu sądowego, pozwalające na zwalnianie winnych w następstwie kruczków prawnych. Twórcy kolejnych części „Życzenia śmierci" kazali Charlesowi Bronsonowi zabijać bandziorów, zgodnie z tamtą rzeczywistością – głównie kolorowych, co narażało ich na oskarżenia o rasizm. „Citizen vigilante" wyróżnia się tym, że główna postać wygłasza tyrady o współczesnych społeczeństwach Zachodu, które same niszczą się przyzwoleniem na masową migrację, pozwalającą na import przemocy.

Film jest kiepski, miejscami nieznośnie rozwlekły. Uwe Boll nieprzypadkowo był adaptatorem gier komputerowych, czasem uznawanym za najgorszego reżysera na świecie. Notabene działa trochę przeciw swojej głównej intencji. Mściciel Sanders jest postacią antypatyczną jako biznesmen i co najmniej kontrowersyjną w swoich działaniach. Wybija rodzinę muzułmańskiego gwałciciela, można wdać się w dysputę o etyczności zemsty. Film stawia tezę, iż normalne drogi sprawiedliwości nie istnieją. Ale krwawa łaźnia, jaką urządza antyterrorystom – także wtedy, kiedy go już nie atakują, a tylko rewidują jego kryjówkę – nie może nie wzbudzić sprzeciwu.

To czysty anarchizm. Mam jednak wrażenie, że emocje jego krytyków są ponadstandardowe. Filmy akcji drugiej klasy często bywają równie nieudolnie realizowane. Pewien recenzent nazwał go w rozmowie ze mną „sadystycznym gó...nem". I znowu – rekordu sadyzmu bynajmniej nie bije.

Niedawno, pisząc o patologiach brytyjskiego systemu, pobłażającego kolorowym, a na wyrost surowo traktującego białych, spytałem, czy to temat dla popkultury. Zachwycano się brytyjskim filmem Netfliksa „Dojrzewanie" o białym 14-latku mordującym koleżankę. Otóż takiego przypadku nie było. Byli za to nastoletni kolorowi mordercy. Czy ktoś nakręcił o tym produkcję? A wyczyny pakistańskich gangów odpowiedzialnych za zniewolenie tysięcy dziewczynek? Z raportu posła Lowe'a wynika, że kierowali się oni wpisaną w ich kulturę pogardą dla kobiet, a dla białych kobiet w szczególności.

Uwe Boll coś o tym powiedział. To dlatego skupił się na nim taki atak, a w kilku krajach częściowo uniemożliwiono dystrybucję filmu. Że mówi topornie, nie na poziomie? To pytanie do bardziej wyrafinowanych artystów, dlaczego się tym nie zajmą. Co zabawne, choć funkcjonariusz Interpolu ściga Sandersa „w imię demokracji", on sam wykłada muzułmanom, że stawiają religię ponad demokrację właśnie. To przyczynek do paradoksów sporu wokół imigrantów niosących zagładę europejskiemu liberalizmowi. Boll, symptom plag naszych czasów, zapowiada drugą część.

Piotr Zaremba

Fot. Materiały prasowe



„Zaproszenie” – kolejna seksterapia

Recenzenci przyjęli film „Zaproszenie” Olivii Wilde z zachwytem. Stawiają go obok „Rzezi” Romana Polańskiego czy „Dobrze się kłamie w miłym towarzystwie” Paola Genovesego, czyli kameralnych, niemal teatralnych komediodramatów obnażających skrywane tajemnice. Mnie zachwycił mniej. Ale nie żałuję, że go obejrzałem

Olivia Wilde, z pierwszego zawodu aktorka, gra w swoim filmie tęskniącą za wrażeniami żonę, Angelę, która zaprasza do mieszkania sąsiadów – wbrew oporom stetryczałego, a tak naprawdę zmęczonego życiem męża Joe (Seth Rogen). Ta druga, wyluzowana para: Hawk (Edward Norton) i Latynoska Pina (Penelope Cruz) zwrócili wcześniej ich uwagę hałasami, ewidentnie wywoływanymi uprawianiem seksu. Podczas kolacji atmosfera zmienia się wielokrotnie. W pewnym momencie goście proponują gospodarzom coś niecodziennego.

Przyznam szczerze, że na początku dobrze się bawiłem. Nasycone wzajemnym skrępowaniem dialogi, inkrustowane stylową muzyką, w pewien sposób oddawały naturę współczesnych ludzkich relacji, gdzie pozorna rubaszna bezpretensjonalność skrywa kompleksy.

Kulminacja akcji mnie jednak rozczarowała. Ileż to razy oglądaliśmy rozprawki o zmęczonych sobą, poddających się rutynie małżeństwach. Pisałem tu niedawno o spektaklu „Eks” z naszego Teatru Ateneum. Niemiecki autor Marius von Mayenburg pokazał ten problem ciekawiej. Swoista terapia, jakiej poddają nieudaczników progresywne motyle, wydała mi się sztucznym banałem. Choć można zapytać, czy życie skoncentrowane na seksie to nadzieja, czy zapowiedź nowej udręki. Brak tu jednoznacznej odpowiedzi.

Wytrawni aktorzy oczywiście się spisali. Przy czym najbardziej zdominował tę chwilami męczącą mnie opowieść Seth Rogen – nie tylko swoją misiowatą posturą i tubalnym głosem, lecz także największymi komplikacjami dotyczącymi natury swojego bohatera. Można podziwiać sprawność jego i pozostałych w krzesaniu emocji. Wydały mi się one jednak zbyt rutynowe. Udręki codzienności wymagają – jak dla mnie – większej oryginalności. Ale rozumiem, dlaczego wielu widzom się to podoba.

Fot. Monolith Films

GRY SZPIEGOWSKIE BEZ MASKI

„W masce i bez maski” to tytuł pracy dr. Władysława Bułhaka. Podtytuł: „Wywiad polski na wychodźstwie w czasie II wojny światowej”. Temat wciąga, a najbardziej zręcznie wplecione w książkę sylwetki polskich szpiegów

Władysław Bułhak napisał już kilka prac o służbach specjalnych, choćby tych z czasów PRL. Wykłada tematykę bezpieczeństwa na Uniwersytecie Warszawskim. I to podobno pytania studentów zainspirowały go do podjęcia tego tematu.

Punktem wyjścia jest bilans służb specjalnych II RP, czyli sławnej Dwójki (II Wydział Sztabu Generalnego). Z jednej strony sporo dokonań, z drugiej – dość niefortunny finał. Część archiwów polskiego wywiadu, pozostawionych podczas chaotycznej ewakuacji we wrześniu 1939 r., wpadła w ręce Niemców, co oznaczało wyrok na agentów działających w III Rzeszy.

Zarazem wojna przyniosła nawet ekspansję naszego wywiadu. Rozrósł się on z jednej do pięciu różnych instytucji, działających na emigracji, choć mających też przełożenie na okupowaną Polskę. Jego rolę wzmacniała również porażka wywiadu brytyjskiego, który musiał się wobec tego kierować zasadą „wszystkie ręce na pokład”. Niemcy porwały dwóch jego agentów z Holandii, co wiązało się również z wsypą i dezorganizacją. Nie my jedni bywaliśmy nieostrożni, a czasem partaccy.

Bułhak opowiada o brawurowym przebiegu niektórych akcji, o intrygach politycznych, o podbieraniu sobie informacji (czasem z Niemcami), a także o konkurencji wewnętrznej czy konfliktach z państwami, w których podejmowano aktywność wywiadowczą. Więcej dowiadujemy się o plątaninie kompetencji i strukturalnych drgawkach szpiegowskich struktur niż o ich ostatecznych wynikach. Ale te w wielu przypadkach poszły do grobu razem z ludźmi tamtych służb. Mamy też zabawną demitologizację. Sławny Kazimierz Leski nie zdobył planów Wału Atlantyckiego w mundurze niemieckiego generała.

Nieustannie wyłaniają się kolejne sylwetki uczestników tamtych zdarzeń. Są wśród nich sumienni oficerowie, choć czasem ze skłonnościami do brawury. Są też przedziwne międzynarodowe postaci typu polsko-żydowskiego łowcy przygód Stanisława Appenzellera czy Haliny Szymańskiej, która dobrze znała, a może miała romans z szefem Abwehry Wilhelmem Canarisem. Mamy trochę dwuznaczności wynikających z różnych podwójnych gier.

Zaczyna się od rewii jeszcze przedwojennych agentów „na odcinku niemieckim”, takich jak Eberhard Löwe, niemiecki oficer z monoklem w oku, który w 1936 r. dał się zwerbować Polakom. Oglądając serial „Zatoka szpiegów”, zastanawiałem się, na ile takie transfery były możliwe. Bywały, choć Löwe, przechrzczony na Karola Lubińskiego, nie był Polakiem, a po części Żydem. I on, i niektórzy inni działali po wojnie w już niepolskich służbach. Osiągnięcia poszły w pewnym stopniu na marne, ale jest do czego nawiązywać.





WIOLETA BŁAZUCKA*

Nie tylko pierogi z kimchi

„Pierogi z kimchi. Moje ulubione azjatyckie przepisy" to już jej trzecia i najbardziej osobista książka. Nie bez powodu dedykuje ją „wspaniałym pomocnikom" – Sonu i Jonie.



Wioleta Błazucka – autorka popularnego kanału na YouTube „Pierogi z kimchi", który ma ponad 367 tys. subskrybentów – tym razem zabiera czytelników w kulinarną podróż nie tylko po Korei, lecz także po innych zakątkach Azji. Podaje przepisy sprawdzone na co dzień, gdy gotuje dla swojej rodziny i przyjaciół. Znajdziemy tu propozycje różnorodnych dań – od klasycznych onigiri i katsudonu, przez ryż po singapursku, aż po viralowe tanghulu. Wszystkie receptury zostały opracowane tak, by można je było przygotować z łatwo dostępnych składników.

„Od 2017 r., czyli od kiedy zamieszkałam w Korei, kuchnia azjatycka stała się dla mnie czymś bardzo codziennym. To już nie są egzotyczne dania, ale jedzenie, które pojawia się na naszym stole. Oczywiście Korea jest mi najbliższa, bo to tutaj mieszkam, tutaj robię zakupy, tutaj uczę się nowych smaków i tutaj podpatruję, co jedzą inni. Ale z czasem do mojej kuchni zaczęły trafiać też przepisy z Japonii, Chin, Tajlandii, Wietnamu i innych miejsc oferujących naprawdę smaczne dania" – pisze we wstępie do „wyjątkowej" – także z powodów rodzinnych – książki.

„W jej tworzeniu towarzyszyła mi dwójka dzielnych pomocników. Mój synek Sonu, którego część z Was zna już z poprzednich książek i filmów, oraz moja córeczka Jona, która po raz pierwszy dołączyła do naszej książkowej ekipy. Oboje byli ze mną przy testowaniu przepisów, robieniu zdjęć – i oczywiście przy próbowaniu tego, co udało się ugotować".

Jolanta Gajda-Zadworna

**Autorka bloga, vloga oraz książek z cyklu „Pierogi z kimchi"*

Strawberry matcha latte

Matchy chyba nie trzeba już nikomu przedstawiać. Ta intensywnie zielona, drobno mielona herbata z Japonii w ostatnich latach podbiła kawiarnie na całym świecie i dziś spotkamy ją w najróżniejszych deserach i napojach. W samej Japonii najczęściej przygotowuje się ją w prostej formie – ubijaną z gorącą wodą, czasem z dodatkiem mleka.

Strawberry matcha latte to bardziej nowoczesna kawiarniana interpretacja tego smaku. Choć w Japonii nie spotkamy jej na każdym kroku, w Korei stała się prawdziwym hitem. Warstwowe połączenie słodkich truskawek, mleka i intensywnej zieleni matchy wygląda pięknie i smakuje równie dobrze. To napój lekki i orzeźwiający, idealny na lato.

Składniki: 150 g truskawek, 1 łyżka cukru, kostki lodu, 200 ml mleka, 2 łyżeczki herbaty matcha, 80 ml wody.

Wykonanie: truskawki kroimy na kawałki, dodajemy cukier, następnie rozgniatamy je widelcem lub blendujemy na mus. Rozgniecione truskawki przekładamy na dno dwóch wysokich szklanek. Szklanki wypełniamy kostkami lodu do 3/4 wysokości. Do każdej z nich wlewamy po 100 ml mleka. Matchę rozprowadzamy w gorącej wodzie i dokładnie mieszamy. Wlewamy herbatę do szklanek powoli, tak by warstwy się nie wymieszały. Podajemy z grubą słomką.

Fot. pierogizkimchi/instagram, materiały prasowe



eprasa.pl efcf109b2d



SŁODKO-SŁONY

Tylko sałata

ANNA MONICKA

Dziś będziemy jeść sałatę – zapowiedziała moja córka i ruszyła na bazarek. Przytargała z niego kilka główek jędrnej i świeżutkiej sałaty rzymskiej, którą uprawiają nasi ulubieni rolnicy. Jemy ją bardzo często, bo nawet polana sosem jogurtowym czy winegretem długo zachowuje chrupkość, a podana z młodymi ziemniakami posypanymi koperkiem i popijana kefirem wystarcza za obiad w upały. Córka miała jednak inne plany, bo będąc u koleżanki, robiły smażoną sałatę. Przyznam, że była to dla mnie nowinka, bo smażyłam dotychczas tylko pak choi i tatsoi, ale to kapusty, chociaż z wyglądu bardziej przypominają sałatę. Ponieważ obie lubimy bawić się w kuchni i poznawać różne nowe smaki, wyciągnęłyśmy naszą największą patelnię i zabrałyśmy się do dzieła.

Sałaty dokładnie myjemy, osuszamy, żeby potem tłuszcz nie pryskał i przecinamy wzdłuż na pół. Na naszej dużej patelni zmieszczą się trzy główki. Rozgrzewamy oliwę z odrobiną masła klarowanego, wciskamy trzy ząbki czosnku i szczyptę płatków chilli, a gdy uwolnią aromaty, układamy sałaty przecięciem do dołu. Trzeba pilnować, żeby czosnek się za bardzo nie przysmażył, bo robi się gorzki i psuje cały smak. Listki sałaty powinny się przyrumienić – wystarczy je smażyć dwie, trzy minuty, a potem przewrócić na drugą stronę na kolejne dwie, trzy minuty. I to wszystko, cała filozofia. Zmiękną, ale pozostaną sprężyste w środku. Potem połówki można posolić i popieprzyć, polać sokiem cytrynowym albo limonkowym, posypać startym dojrzewającym serem – kozim, krowim, owczym lub fetą. Można też skropić sosem sojowym, ostrą sriracha lub słodkawym teriyaki albo ukręcić własny sos na bazie gęstego jogurtu, czosnku, otartej skórki z limonki z dodatkiem kaparów lub pokruszonych orzechów. Ostatnio robię namiętnie sos z pełnoziarnistej musztardy francuskiej z oliwą, czosnkiem i odrobiną miodu.

Niezależnie od sosu, samo danie jest uzależniające. Mnie taka główka wystarczy za cały obiad, ale można ją śmiało potraktować jako jarzynkę i podawać do grillowanego kurczaka czy karkówki, pieczonej ryby albo ziemniaków.

Fot. Shutterstock



WILCZYM OKIEM

Bananowiec zamiast brzozy

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

W cieplejszej części naszego kontynentu uwidaczniają się obecnie dwa procesy. Zresztą, prawdę mówiąc, pod różną postacią zachodzą w całej Europie.

Ostatnia, wciąż trwająca na południu fala upałów, przekraczających 40 st. Celsjusza w cieniu, odcisnęła drastyczne piętno na kondycji drzew. To nie tylko susza. W wielu miejscach nawet przy podlewaniu temperatury są tak skrajne, że wytrzymałość drzew zostaje przekroczona. Co ciekawe, zdarza się to w przypadku gatunków uchodzących za odporne, np. na południu Francji na skrajach lasów i wzdłuż dróg, wśród przyżółkłej zieleni wyróżniają się brzozy – są brązowe i całkiem suche. Sporo drzew innych gatunków również wygląda źle i wiele z nich z pewnością nie przetrwa do kolejnej wiosny.

Jednocześnie coraz częstsze w krajobrazie są gatunki egzotyczne, np. niedziwiący już nikogo figowiec, a nawet – całkiem niedawno nie do pomyślenia – bananowiec. Ten ostatni zresztą powoli przestaje być osobliwością również w polskich ogrodach.

Zmiany będą zachodzić. Czasem powoli, a czasem bardzo gwałtownie. W przypadku drzew wystarczy jeden ekstremalny sezon, by spowodować straty, których odbudowanie trwa kilkadziesiąt lat – drzewo uschnie w ciągu jednego lata, ale odrastać będzie przez dziesiątki. Czasem susza i upał są tak dotkliwe, że same załatwiają sprawę, a czasem zapoczątkowują proces. Zwróćmy uwagę na świerk pospolity. Brak zimowych mrozów i zbyt mała ilość wody, również w powietrzu, sprawiają, że te drzewa słabną. Natychmiast atakują je korniki i to jest koniec. Drzewa są zbyt słabe, by się obronić i korniki dobijają je w ciągu sezonu lub dwóch. Niedługo świerk pospolity poza wysokimi górami będzie rzadkością. W miastach ich liczebność spadła już bardzo widocznie, a te, które jeszcze rosną, są w złej kondycji.

Drugą kwestią są wspomniane gatunki egzotyczne. Pojawiają się i będą się pojawiać. Jednak ten proces należy powstrzymywać, a na pewno samemu nie przyczyniać się do niego. Bo bezpowrotnie stracimy unikalną lokalną i regionalną bioróżnorodność.

Zmiany trzeba obserwować. I mądrze dostosowywać lasy, zadrzewienia, parki oraz zieleń miejską – korzystając z puli rodzimych gatunków i odmian o cechach odpowiednich do nowych wyzwań.

eprasa.pl efcf109b2d

3 MIŁOŚCI

Pomiędzy kultem a kulturą



ROBERT TEKIELI

Kiedy powstała ludzka kultura? Nie był to moment, w którym prawie 2 mln lat temu nasi przodkowie zaczęli produkować narzędzia, bo tych używają nawet ptaki. Nie był to czas, w którym neandertalczyk wytworzył klej z brzozy jakieś 200 tys. lat temu, bo niektóre ptasie gniazda są ulepione za pomocą gliny bądź mułu. Czy był to moment, w którym powstały pierwsze malunki naskalne i figurki Wenus, jak ta ceramiczna z Dolních Věstonic na Morawach, na powierzchni której zachował się odcisk palca dziecka w wieku 10–15 lat?

Czy pojawienie się kultury niematerialnej było przejawem twórczości, czy troski? Troski, ponieważ idąc tropem słynnej antropolog Margaret Mead, możemy sądzić, że o narodzinach kultury ludzkiej świadczy pierwsza zrośnięta kość udowa starszej osoby. Bo wcześniej – tak jak zwierzęta – umieraliśmy na skutek obezwładniającej rany.

Ale niezależnie od tego, czy początkiem kultury duchowej były działania symboliczne, czy miłość, od samego początku kultura duchowa była terenem odwiecznej bitwy.

Wojna duchowa, której stawką jest szczęście i zbawienie człowieka trwa od czasu, gdy Bóg tchnął sumienie w małpie nozdrza. Powstająca od tego czasu kultura była narzędziem kultywowania dobra, miejscem bezpiecznym dla człowieka. Przestała nim być kilkadziesiąt lat temu, gdy kulturę i popkulturę opanowali kulturowi marksiści. Środowiska Nowej Lewicy i Nowej Ery kontynuują nowożytny projekt pod hasłem „wszystko, byle nie chrześcijaństwo".

W XX w. światopogląd człowieka Zachodu zdominowały ideologie materialistyczne. Dziś z marginesu do mainstreamu przeszły okultyzm i spirytyzm, nurty magiczne i różne odmiany satanicznego neoszamanizmu oraz zeświecczone wschodnie techniki transowe. Od lat piszę o idących za nimi zagrożeniach duchowych. O ukrytych w kulturze i popkulturze toksycznych duchowościach. Dziś na kliknięcie są setki propozycji mających zaspokoić właściwie wszystkie ludzkie potrzeby. Wyglądają na bezpieczne i pożyteczne, a są duchowymi pułapkami. Omawiam je, pokazując uniwersalne mechanizmy manipulacji i specyficzne konsekwencje otwarcia się na nadzwyczajne oddziaływanie szatana. O walce ze zwykłymi formami działania złego ducha –pokusach, czyli o zwodzeniu – naucza nas Kościół. Ale są duchy, których nie da się wypędzić modlitwą. Dobrze jest wiedzieć, jak można nieświadomie otworzyć się na ich oddziaływanie.

Na moim kanale na YouTube zatytułowanym „Otwórz oczy" zamieszczam świadectwa, w których ludzie zniewoleni opowiadają o wejściu w destrukcyjną duchowość oraz o swojej drodze do uwolnienia.

Ewa poszła na kurs metody Silvy. Jakiś czas potem rozpoczął się proces nawrócenia i kobieta zaczęła doświadczać manifestacji demonicznych. Traciła władzę nad ciałem. Jej mąż, Paweł, opowiadał mi, że krzyk, który z siebie wydawała, nie był głosem człowieka. Skończyło się kilkudniowymi egzorcyzmami.

Metoda Silvy ma w sobie pewien rys wyjątkowości. Większość zagrożeń duchowych jest związana z konkretnym nurtem demonicznych inicjacji. Metoda Berta Hellingera to spirytyzm, tak samo bioenergoterapia, channeling, podróże poza ciałem, modny wśród dzieci i młodzieży Charlie Charlie challenge, pismo automatyczne czy wywoływanie duchów. Okultyzmem jest wiara w moc amuletów, wróżbiarstwo kartami tarota, capoeira, aikido. Joga, tai chi, hipnoza czy reiki to przykłady inicjacji transowych. Metoda Silvy łączy wszystkie te duchowe ścieżki.

Zapraszanie wewnętrznych doradców wprowadza na ścieżkę spirytystyczną, techniki depersonalizacyjne są wzięte z szamanizmu, skuteczne wizualizacje w stanie alfa to forma magii.

Metoda „kontroli umysłu" według Silvy ma być programem samopomocy i medytacji, zbiorem technik umożliwiających dokonywanie w życiu trafniejszych wyborów. A jest drogą do cierpienia.

Ma dać możliwość zwiększenia swoich zdolności poprzez relaksację, rozwinięcie wyższych funkcji mózgowych. Otwiera na oddziaływanie demona.

Techniki nauczane na kursie metody Silvy mają podnieść jakość życia: poprawić pamięć, pomóc w szybszej nauce, projektowaniu pozytywnej przyszłości, mają być drogą do przezwyciężania nałogów, dawać zdolności samouzdrawiania i uzdrawiania innych ludzi za pomocą wizualizacji w stanie alfa. Ta metoda ma dawać wszechmoc, jest zaś rodzajem bardzo skutecznego zwiedzenia. Gdy okres „cukierków" się kończy, zostajemy z depresją, której nie da się leczyć farmakologicznie. Mówienie o „wykorzystaniu potencjału naszego mózgu" jest sposobem ukrywania duchowego charakteru

eprasa.pl efcf109b2d

metody przed ludźmi Zachodu. Nieświadomie zapraszasz do swojego życia demony.

Ludzkiego ducha kaleczą wszystkie odmiany okultyzmu, spirytyzmu czy zwesternizowanych religii transowych pochodzących ze Wschodu. Polski Kościół jednak od lat 60. przez kilka dekad programowo nie zauważał tego problemu. Zresztą przestawał też mówić o destrukcyjnym duchowo działaniu złego ducha, diabła. Od lat 90. ub.w. sytuacja uległa odwróceniu, czego przejawem było m.in. powołanie egzorcystów przez biskupów właściwie wszystkich polskich diecezji.

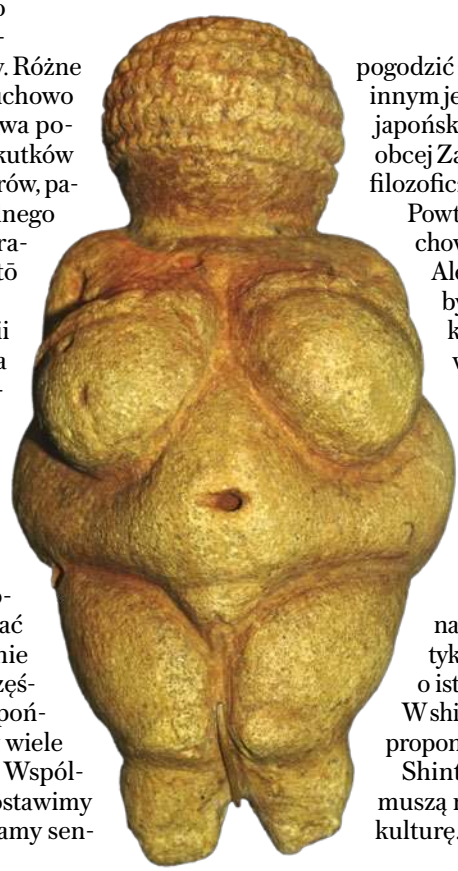
Po jakimś czasie na marginesie tego nurtu troski o duchowy dobrostan Polaków pojawiła się jego ludowa karykatura. Jakaś część wiernych widzi działanie złego ducha również w nowinkach kulturowych, które docierają do naszego kraju.

Z jednej strony mamy zatem dzisiaj ludzi, którzy otwierają się na obce formy kultyczne, z drugiej – osoby widzące toksyczne duchowości w przejawach obcych kultur. Mądrością zaś jest troska o to, by nie przekraczać granicy między kulturą a kultem. Innymi słowy: joga to nie sushi. Konsekwentne i uważne praktykowanie specyficznych pozycji ciała i praca nad oddechem może bowiem prowadzić do duchowego otwarcia. Joga powstała jako technika religijna i taką pozostaje, cokolwiek mówiliby jej zachodni propagatorzy. Różne przejawy obcych kultur są natomiast duchowo obojętne. Warto umieć rozróżniać te dwa podejścia, np. nie odrzucać pozytywnych skutków specyficznych, japońskich leśnych spacerów, pamiętając jednak o istnieniu niezauważalnego przejścia od kultury do kultu. Taka granica przebiega właśnie pomiędzy shintō a shinrin-yoku.

„Ogród Botaniczny Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie zaprasza Państwa do udziału w kolejnym niedzielnym spacerze z przewodnikiem pt. »Kąpiel Leśna«. Będzie on poświęcony tematyce kąpieli leśnych shinrin-yoku". Czym są terapeutyczne kąpiele leśne? „Shinrin-yoku nazywane jest również japońską sztuką czerpania mocy z przyrody. Leśna terapia obniża ciśnienie, poprawia odporność, pomaga zredukować poziom stresu. Shinrin-yoku to spędzanie czasu w lesie, żeby być zdrowszym, szczęśliwszym i spokojniejszym". „Spacer w japońskim duchu w Ogrodzie będzie zawierał wiele zapożyczeń z filozofii i kultury Japonii. Wspólnie przekroczymy bramę tori, za którą zostawimy problemy dnia codziennego, wykorzystamy sentencje filozofii zen i motywy pracy ze zmysłami. Na koniec oddamy się ogrodowym medytacjom, wykorzystując barwne karty Mocy Lasu".

Japońskie tori to symboliczne bramy łączące świat ludzi z wiecznym światem kami – duchów i bogów. Związane są z mitem o Amaterasu, najważniejszej bogini shintō. Materialista powie: dziecinne bajania. Mitologia, która ma wyznawców, jest jednak kultem. Bóstwom shintō oddaje się cześć nieprzerwanie od wieków, skłania się przed nimi głowę. Rytuały greckich misteriów przestały być praktykowane, grecka mitologia stała się częścią kultury. Dziś nie składa się już ofiar Zeusowi, w Japonii shintoizm wyznaje ponad 80 mln ludzi.

O walce ze zwykłymi formami działania złego ducha –pokusach, czyli o zwodzeniu – naucza nas Kościół. Ale są duchy, których nie da się wypędzić modlitwą. Dobrze jest wiedzieć, jak można nieświadomie otworzyć się na ich oddziaływanie



Fot. Don Hitchcock/CC BY-SA 4.0

Shinrin-yoku nie są praktyką inicjacyjną jak metoda Silvy. Leśne kąpiele łączą relaks z zanurzeniem w japońską tradycję kulturową. Poznawanie nowej możliwości przeżywania piękna świata stworzonego przez Boga nie jest niczym złym. Uwielbiam leśne spacery. Trzeba jednak pamiętać, że każda kultura została zbudowana na konkretnym duchowym fundamencie, że wyrasta z tej, a nie innej religii.

Odkrywanie różnorodności kultur może być wartością, dopóki człowiek jest świadom, iż żadnej z odmian kultów dharmicznych czy filozofii bazujących na naturalistycznym spirytualizmie nie da się pogodzić z objawionym rozumieniem świata. Czym innym jest też przyjęcie zewnętrznych przejawów japońskiego stylu życia, czym innym zaś przyjęcie obcej Zachodowi filozofii życiowej. A synkretyzm filozoficzny to zamęt.

Powtórzę: kąpiele leśne nie są zagrożeniem duchowym, takim jak bioenergoterapia czy reiki. Ale dla części osób uczestniczenie w nich może być opuszczeniem bezpiecznej przestrzeni kultury. Czym innym jest bowiem poznawanie sentencji filozofii zen, a czym innym medytowanie „kart mocy".

Każda z kilkuset znanych mi historii zniewolenia duchowego rozpoczynała się od przekroczenia granicy oddzielającej przestrzeń nauki i wiary od przesądów, zabobonów, intelektualnych błędów i wierzeń. Od spraw błahych.

Nie mam nic przeciwko otwieraniu się na różne elementy obcych kultur. Sam praktykuję leśne spacery. Trzeba jednak pamiętać o istnieniu granicy pomiędzy kulturą i kultem. W shinrin-yoku granice są zatarte. Oprócz relaksu proponuje się akty duchowe – medytacje mocy.

Shintoizm to kult. Joga to nie sushi. Katolicy muszą nauczyć się czytać współczesną, skażoną kulturę.

eprasa.pl efcf109b2d

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Warunki dla Ukrainy

Na portalu wPolityce.pl ukazała się ciekawa analiza na temat domniemanej kontrowersji, do jakiej miało dojść między kandydatem opozycji na premiera prof. Przemysławem Czarnkiem a prezesem PiS Jarosławem Kaczyńskim. Domniemanej, a w zasadzie nieistniejącej, gdyż nigdy nie było zasadniczej różnicy poglądów między obydwoma politykami PiS. Pojawił się za to kolejny pretekst do wbijania klina w PiS, głównie za sprawą środowisk związanych z Konfederacją. Najkrócej rzecz ujmując, prof. Czarnek uważa, że poprzez polityczne naciski na UE trzeba wymusić na Ukrainie rezygnację z „bazowania na antywartościach", czyli odejście od gloryfikowania banderyzmu. Jak powiedział, trzeba zaprzestać – „w tym momencie" – finansowania zbrojeń i odbudowy państwa ukraińskiego. A więc chodzi o próby nacisku w drodze twardych negocjacji.

Prezes PiS napisał zaś na platformie X, że „pomoc militarna, realizowana także przez UE na rzecz Ukrainy, jest bezwzględnie potrzebna". Zapowiedział szersze wyjaśnienie wypowiedzi prof. Czarnka i ta ostatnia uwaga zachęciła wrogów PiS do wbijania klina. Bezpodstawnie, gdyż wcześniej, podczas obchodów rzezi wołyńskiej w Chełmie, Jarosław Kaczyński zapowiedział działania w Europie i USA w celu uświadomienia Ukraińcom, że czczenie ludobójców z UPA i OUN jest nie do zaakceptowania dla „całej cywilizacji chrześcijańskiej" i że w przyszłości zaszkodzi to suwerenności Ukrainy. Będzie też poważną przeszkodą do dalszej integracji z UE.

Czy pomoc Ukrainie powinna być bezinteresowna? Z punktu widzenia polskiej racji stanu każda pomoc temu państwu powinna wiązać się z odpowiednią rekompensatą polityczną. Marcin Dybowski, szef Ruchu Kontroli Wyborów, słusznie zauważa, że w polityce liczy się tylko coś za coś, a nie naiwne pomaganie. Tę zasadę najlepiej wyraził w połowie XIX w. lord Palmerston, brytyjski premier, mówiąc w Izbie Gmin: „Wielka Brytania nie ma wiecznych sojuszników ani wiecznych wrogów, wieczne są tylko interesy Wielkiej Brytanii i obowiązek ich ochrony". Na tę pragmatyczną i jakże cyniczną wypowiedź angielskiego lorda my, Polacy, odpowiadamy zasadą z czasów powstania styczniowego: „Za wolność naszą i waszą". Dlatego poglądy dwóch czołowych polityków PiS nie są ze sobą sprzeczne, lecz zgodne, gdyż polskim interesem politycznym, militarnym, gospodarczym i finansowym jest to, aby Ukraina skutecznie prowadziła swoją walkę z agresywną Rosją w obronie swojej niepodległości, gdyż w przyszłości także nasza wolność może być zagrożona. Mamy w tym względzie własne doświadczenia sprzed 100 lat i warto je teraz przypomnieć.



Józef Piłsudski, ruszając w kwietniu 1920 r. na wschód (wyprawa kijowska), nie miał na celu zyskania zdobyczy terytorialnych. Według historyka Jerzego Kumanieckiego Marszałek rozpoczął ofensywę przeciwko Rosji radzieckiej, bazując na planach przygotowanych przez gen. Paula Henrysa na polecenie marsz. Ferdynanda Focha. Ruszył siłami dziewięciu dywizji polskich oraz dwóch ukraińskich i zajął Kijów. Pochód polskiego wojska nie został przyjęty entuzjastycznie przez ukraińską ludność. Bano się powrotu polskiego ziemiaństwa i szlachty do opustoszałych dworów, zajętych już przez chłopstwo. Bo zmieniły się już zasadniczo stosunki społeczne i polityczne. Nie było do czego wracać i Piłsudski to rozumiał, wręcz zakazując ziemiaństwu powrotu do swoich dawnych siedzib. Poza tym Ukraina doświadczyła kilku okupacji (czerwoni, biali, Czesi, Niemcy, Węgrzy), dlatego niechętnie, a nawet wrogo odnosiła się także do Polaków. Do Ukraińców nie dotarły odezwy zarówno Piłsudskiego, jak i Semena Petlury o niepodległości i idei suwerenności narodowej. Potwierdzeniem tego, że Polska nie dążyła do nowych zdobyczy terytorialnych, było zawarte w odezwie Piłsudskiego stwierdzenie: „Wojska polskie pozostaną na Ukrainie przez czas potrzebny po to, aby władze na ziemiach tych mógł objęć prawy rząd ukraiński. Z chwilą, gdy rząd narodowy Rzeczypospolitej Ukraińskiej powoła do życia władze państwowe, gdy na rubieży staną zastępy zbrojne ludu ukraińskiego, zdolne uchronić kraj przed nowym najazdem, a wolny naród sam o swoich losach stanowić będzie mocen, żołnierz polski powróci w granice Rzeczypospolitej Polskiej".

I tak się stało, choć w tragicznych okolicznościach. Ukraina nie stworzyła wtedy żadnej siły w obronie swojej niepodległości, a polska armia cofała się w pośpiechu aż do Warszawy. Marsz Armii Czerwonej na zachód, zatrzymany „cudem" nad Wisłą, był śmiertelnym zagrożeniem nie tylko dla Polski, lecz także całego europejskiego porządku politycznego stworzonego po I wojnie światowej. Rosyjscy komuniści liczyli na wywołanie bolszewickiej rewolucji w Europie, szczególnie w Niemczech. Dzięki Polakom to się nie udało, ale Ukraina na 70 lat musiała zapomnieć o swoim niepodległym państwie, które powstało dopiero w 1990 r., aby po 32 latach znowu odpierać rosyjską agresję.

Polsko-ukraińskie losy są szczególnie ze sobą powiązane, jak to w tej części Europy. Dla nas Ukraina to bufor przed Rosją, jak 100 lat temu. Dziś oczekujemy od Ukraińców minimum – odrzucenia raz na zawsze zbrodniczej ideologii spod znaku UPA-OUN. To ona zatruwa nasze wzajemne stosunki oraz szkodzi samej Ukrainie w jej integracji z resztą wolnej Europy.

www.wojciechreszczynski.pl

Czerwony baron



Andrzej Rafał Potocki

Siły Zbrojne Ukrainy (SZU) zorganizowały operację, która może wyznaczać nowy kierunek rozwoju współczesnych działań wojennych. 13 lipca br. akcję przeprowadził 1. Batalion Bezzałogowych Systemów Powietrznych, należący do 123. Samodzielnej Brygady Obrony Terytorialnej Ukrainy. Celem misji był Półwysep Kinburnski – pas lądu u mającego kształt lejka ujścia Dniepru oraz Bohu do Morza Czarnego. Według strony ukraińskiej obszar ten został odzyskany z rąk wojsk Kremla trzy tygodnie wcześniej. Pod koniec czerwca na tym terenie ponownie podniesiono ukraińską flagę, jednak rejon nadal pozostaje strefą aktywnych działań bojowych i jest regularnie ostrzeliwany. Ruskie działa strzelają tam jak „w sedno tarczy" i nawet myszy trudno by się było prześliznąć. Ale Tryzuby wykorzystały bezzałogową platformę morską (dron nawodny) do przetransportowania naziemnego robota bojowego przez Morze Czarne. Po dotarciu na okupowane wybrzeże dron morski opuścił rampę, z której zjechał na plażę opancerzony robot o nazwie Ryś (produkowany przez lwowską firmę Roboneers) i wyposażony w moduł Wolly 7,62 z kaemem o tym właśnie kalibrze. Po wydostaniu się z oczeretów zajął pozycję w zaroślach i otworzył ogień do ciężko zdziwionych Moskali. Po wystrzelaniu amunicji oddalił się w kierunku platformy i bezpiecznie odpłynął tam, skąd przypłynął. Całą operację z powietrza monitorował dron z kamerą, który rejestrował przebieg akcji. Była to pierwsza znana tego typu misja bojowa na świecie, łącząca technologie morskie, lądowe i powietrzne, w której nie zaangażowano ani jednego szturmowca. Rany Boga, co się dzieje?! Wiatru (wroga) nie ma, płot się chwieje.

Nocny łowca (Mi-28N) to jeden z nowocześniejszych śmigłowców szturmowych obok Aligatora (Ka-52) czy Mi-35, jakimi dysponuje Moskwa. Zaczął się pojawiać w służbie od 2006 r. jako jednostka wyspecjalizowana do działania w nocy i trudnych warunkach pogodowych. Jego podstawowe uzbrojenie stanowi działko kal. 30 mm, ale na pylonach umieszczonych na skrzydłach szczątkowych może przenosić również przeciwpancerne pociski kierowane oraz rakiety niekierowane. 15 lipca w obwodzie biełgorodzkim jeden z egzemplarzy tego śmigłowca wybrał się na łowy, ale tym razem nie wrócił do bazy. Podczas polowania dopadł go ukraiński dron FPV i zwalił myśliwego na ziemię. Okazuje się, że na współczesnym polu walki drony skutecznie mogą atakować nawet śmigłowce. Portal Defense Express skomentował to słowami: „Latanie w pobliżu frontu staje się coraz bardziej niebezpieczne dla rosyjskich pilotów śmigłowców ze względu na rozwój dronów FPV, co podkreśla porażka kolejnego Mi-28N na niebie". Od nas dodam, że łowca coraz częściej staje się łowny.

Nad Donbasem od jakiegoś czasu szalał kacapski „Czerwony Baron". Tryzuby nie mogły sobie z nim poradzić niczym Francuzi w czasie I wojny światowej z Manfredem Freiherrem von Richthofenem w kokpicie. Ten z kolei był najbardziej skutecznym pilotem cesarstwa. Na koncie miał 80 potwierdzonych zestrzeleń, co daje mu pierwsze miejsce w rankingu pilotów Wielkiej Wojny. Z powodu koloru swojej maszyny (czerwony trójpłatowiec Fokker D-1) i szlacheckiego pochodzenia zdobył nome de guerre (imię wojenne) „Czerwony Baron". Dziś o ruskim „Czerwonym Baronie" kacapski bloger napisał: „Jego maszyna Su-35 wypiła wiele ich krwi, więc chcą go dopaść". No to tak zrobili. Jeden z ukraińskich F-16 symulował atak bombami szybującymi, podczas gdy dwa kolejne zapewniały osłonę i próbowały wciągnąć myśliwiec Kremla w pułapkę. Su-35 (w kodzie NATO Super Flanker), próbując przechwycić ukraińską maszynę pociskiem R-37 lub R-77, wszedł w zasięg systemu Patriot, rozmieszczonego ok. 60 km od linii frontu, który go namierzył. Reszty dokonała rakieta dalekiego zasięgu (Sidewinder), wystrzelona z F-16. Samolot runął (są zdjęcia), ale pilot przeżył – zdążył się katapultować. Ma być „żywy i zdrowy" i gotów do walki „na kolejnym Su-35" – donoszą ruscy blogerzy. Spoko. Prawdziwego „Czerwonego Barona" też zestrzelili tylko raz. Potem jeszcze trochę poszalał, aż za drugim razem skończyło się śmiercią asa. Decyzja należy do ciebie, Moskwicinie.

Współpraca: „Skipper"

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl efcf109b2d

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Trud wdzięczności



Aleksander Nalaskowski

Zacznijmy od truizmu. W ostatnich latach Polska zrobiła dla Ukrainy więcej niż większość państw Europy. Otworzyliśmy granice, przyjęliśmy miliony uchodźców, przekazaliśmy sprzęt wojskowy, organizowaliśmy pomoc humanitarną i ponieśliśmy niemałe koszty gospodarcze. Dla wielu Polaków była to sprawa oczywista – pomoc sąsiadowi napadniętemu przez silniejszego agresora. Nie oczekiwaliśmy pomników ani niekończących się podziękowań. Liczyliśmy jednak na coś znacznie prostszego: szacunku dla partnera.

Tymczasem w wielu momentach relacji polsko-ukraińskich trudno było oprzeć się wrażeniu, że polskie zaangażowanie zaczęto traktować jak obowiązek, a nie gest solidarności. Gdy pojawiły się spory o import zboża, ton części ukraińskich polityków i przedstawicieli władz był zaskakująco konfrontacyjny. Zamiast szukania kompromisu pojawiały się oskarżenia, presja międzynarodowa i narracja, w której polskie interesy gospodarcze przedstawiano niemal jako akt wrogości.

Relacje między państwami przypominają partnerstwo. Nie mogą polegać na tym, że jedna strona stale daje, a druga uznaje to za rzecz oczywistą

To właśnie w takich chwilach rodzi się rozczarowanie. Nie dlatego, że ktoś oczekuje nieustannych wyrazów wdzięczności. Państwa nie kierują się emocjami, lecz interesami. Problem pojawia się wtedy, gdy partner zapomina, kto poniósł realne koszty i ryzyko, by udzielić mu pomocy w najtrudniejszym momencie.

Gdy do Polski przybyły miliony Ukraińców uciekających przed ruską przemocą, przed brudną wojną, przyjęliśmy pod dach Olgę. Uciekła z Mariupola wygnana ostrzałem i bombami. Daliśmy jej schronienie, znaleźliśmy pracę, była jak członek rodziny. Nie oczekiwaliśmy zapłaty ani wdzięczności, chociaż ze smakiem jedliśmy ugotowany przez nią barszcz ukraiński czy żarkoje. Była u nas ponad pół roku i wyjechała, gdy sytuacja na Ukrainie nieco się ustabilizowała.

Do tego dochodzi kwestia historii. Polska od lat oczekuje uczciwego dialogu o zbrodniach na Wołyniu i możliwości godnego upamiętnienia ofiar. Nie chodzi o zemstę ani o rozdrapywanie ran, lecz o elementarny szacunek wobec prawdy historycznej. Budowanie przyszłości na przemilczeniach zawsze kończy się kolejnymi konfliktami. Jeśli oba narody mają być prawdziwymi partnerami, muszą umieć rozmawiać również o najtrudniejszych kartach wspólnej historii.

Nie oznacza to jednak, że należy przekreślać całą Ukrainę lub wszystkich Ukraińców. Wielu z nich wielokrotnie dziękowało Polsce, pracowało tu uczciwie, zakładało firmy, angażowało się w lokalne społeczności i okazywało autentyczną wdzięczność zwykłym Polakom. Problemem nie jest narodowość, lecz konkretne decyzje polityczne i sposób prowadzenia dyplomacji. Nie oczekując wdzięczności, nie chcemy jednak doznawać niewdzięczności. Bo to zasadnicza różnica. Zbyt dużo daliśmy Ukrainie, by teraz zbierać za to razy.

Relacje między państwami przypominają partnerstwo. Nie mogą polegać na tym, że jedna strona stale daje, a druga uznaje to za rzecz oczywistą. Istnieje zasadnicza różnica pomiędzy miłosierdziem a frajerstwem. Polska ma prawo oczekiwać wzajemności, poszanowania własnych interesów oraz uczciwego dialogu historycznego. To nie jest egoizm. To normalna zasada prowadzenia polityki.

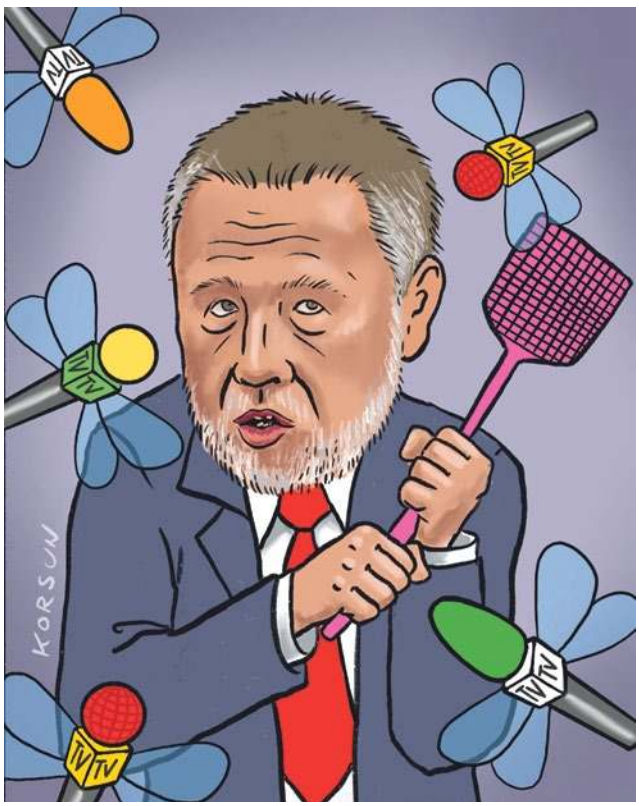
Najgorsze, co moglibyśmy dziś zrobić, to popaść w dwie skrajności. Pierwsza to bezkrytyczne przekonanie, że każde działanie Ukrainy należy akceptować bez pytań. Druga to przekonanie, że wszyscy Ukraińcy są niewdzięczni i nie zasługują na wsparcie. Obie postawy są równie błędne. Rozsądna polityka wymaga chłodnej oceny faktów, a nie emocjonalnych uogólnień.

Polska powinna pozostać krajem solidarnym, ale nie naiwnym. Pomoc nie oznacza rezygnacji z własnych interesów. Partnerstwo nie oznacza milczenia wobec błędów drugiej strony. A wdzięczność – choć nie jest kategorią prawa międzynarodowego – pozostaje fundamentem dobrych relacji między ludźmi i narodami. Kiedy się o tym zapomina, nawet najszlachetniejsza pomoc może z czasem ustąpić miejsca rozczarowaniu.

Jeżeli Polska i Ukraina mają budować trwały sojusz, powinien się on opierać na wzajemnym szacunku, uczciwości i pamięci. Nie na oczekiwaniu, że jedna strona będzie bez końca dawać, a druga nigdy nie będzie musiała powiedzieć: „dziękujemy” – nie tylko słowami, lecz także czynami. Trzeba o tym pamiętać, zanim pozbędziemy się kolejnych czołgów czy Patriotów.

eprasa.pl efcf109b2d

***Michał Korsun** prezentuje: Szef MSWiA Marcin Kierwiński atakuje dziennikarzy*



Wycinki z przeszłości

W 1930 r. „Express Kaliski" wytropił „dziwoląga językowego" – walijską wieś o liczącej 58 liter nazwie: Llanfairpwllgwyngullgogerych Wyrndrobwlll-landisiliogogogoch. Gazeta donosiła: „Gdy na miejscowej poczcie miano umieścić szyld z nazwą, zdołano zmieścić tylko 20 liter, rezygnując z reszty". Dodawała też, że wniosek burmistrza o podwyżkę nie mógł być rozpatrzony przez władze „ze względu na niemożność wymówienia przeklętej nazwy". ***(sp)***


ess Kaliski

Aż 58 liter składa się na nazwę jednej wioski

Dziwoląg językowy w Irlandji

W uroczym zakątku malowniczej Irlandji, na wyspie Anglesey znajduje się cicha wioska, o niewielkiej liczbie mieszkańców, rzadko odwiedzana przez turystów.

Wioska ta ma niezwykłą wprost nazwę.

Llanfairpwllgwyngullgogerych Wyrndrobwll - Llandisiliogogogoch.

58 liter, składających się na tę nazwę prawie że niemożliwa do wymówienia.

Gdy na miejscowej poczcie miano umieścić szyld z nazwą, zdołano umieścić tylko 20 liter, rezygnując z reszty.

Gdy burmistrz wioski podał podanie o podwyżkę swej pensji, nie mogło ono być rozważane przez władze ze względu na niemożność wymówienia przeklętej nazwy.

Ów dziwoląg językowy utrzymuje się jednak, bo Anglicy z trudem decydują się na zamach na tradycję.

Katastrofa na morzu

KOPENHAGA, 20.12. Na wodach duńskich w pobliżu Laesö zderzył się fiński parowiec „Oberon" z okrętem „Arkturus".

Z pośród 19 pasażerów i 50 do 60 ludzi załogi „Oberona" zdołano wyratować jedynie 39 osób. Reszta prawdopodobnie utonęła wraz „Oberonem".

Z WOLEJA

Adiós mundial!



Ryszard Czarnecki

I po mundialu. W jego początkowej fazie dostałem SMS od jednego z najważniejszych ludzi polskiego futbolu ostatnich 30–40 lat: „Siedzę sobie na Kaszubach, jeżdżę po imprezach amatorskich dla młodzieży, czysta przyjemność. Mundialu na razie nie oglądam, czekam, aż się zacznie prawdziwe granie". Cóż, mój przyjaciel niezbyt dużo stracił, bo mieliśmy do czynienia wręcz z inflacją piłki: mecze 48 drużyn trudno było skonsumować – święto spowszedniało.

Co utkwi w mojej – i nie tylko mojej – pamięci po północnoamerykańskich mistrzostwach świata? Pierwszy w historii finał, w którym zagrały drużyny mówiące po hiszpańsku. Co prawda rozgrywano wcześniej finały latynoamerykańskie (Brazylia–Urugwaj 1930,1950), ale językowo były to starcia portugalsko-hiszpańskie. Holowanie faworytów przez sędziów: francuski arbiter przepchnął Albion przez ćwierćfinał z Norwegią, Albicelestes (po hiszpańsku: Biało-Błękitni) mieli sędziów po swojej stronie, choćby w meczu z Egiptem. Zapamiętam piłkarzy z klasą, a także ludzi bez klasy: Anglik Bellingham po półfinale z Argentyną uderzył rezerwowego rywali w tył głowy, a Francuz Mbappe nie podał ręki bramkarzowi Paragwaju. Mistrzem końcówek okazała się Argentyna, która wygrała po dogrywce z rewelacją turnieju – Wyspami Zielonego Przylądka – w ostatnich minutach z Egiptem, po dogrywce ze Szwajcarią i wreszcie strzeliła dwa gole Anglikom w 12 minut, w tym jednego w doliczonym czasie gry.

Zapamiętam kolejną kompromitację Niemiec, które odpadły, notując spektakularne porażki z Ekwadorem (mimo pomocy sędziów z USA, którzy uznali Teutonom nieprawidłowo strzeloną bramkę) oraz Paragwajem. Zapamiętam też napompowany przez „ekspertów" do granic możliwości francuski balon: Les Bleus mieli wygrać mundial w cuglach, bo jak napisał Zbigniew Boniek, „dominowali w każdej formacji", a w końcu okazało się, że galijski kogut bez większej walki czmychnął przed hiszpańskim bykiem. Nie zapomnę też błędu niemieckiego trenera reprezentacji Anglii, który po strzeleniu gola przez swoją drużynę ustawił „autobus" na własnym polu karnym, w efekcie przez kolejne 42 minuty meczu (łącznie z 7 minutami doliczonego czasu) wyspiarze posiadali piłkę raptem przez 22 proc. czasu i wymienili tylko 72 podania, czyli mniej niż dwa na każdą minutę, zachęcając Argentynę do ataków.

Biało-Czerwoni po raz trzeci w XXI w. (na siedem mundiali) nie pojechali na MŚ. I to dalej boli.

eprasa.pl efcf109b2d



OD A DO ZYBERTOWICZ

Więcej domostw, tylko nas mniej

Najmocniej rosną gospodarstwa jednoosobowe: w 2006 r. stanowiły one 22 proc. wszystkich gospodarstw, w 2025 – już 35 proc.

Dwa liczniki: jeden mierzy gospodarstwa domowe w Polsce, a drugi liczbę ludności. Ten pierwszy wyraźnie rośnie. Drugi od lat wskazuje spadek.

Mniej ludzi, więcej gospodarstw domowych? Paradoks dobrobytu?

DOMOSTWA DZIŚ

Współczesne gospodarstwo domowe to niekoniecznie rodzina w tradycyjnym rozumieniu. Oficjalne statystyki bazują na definicji mówiącej, że gospodarstwo domowe tworzy jeden dorosły albo więcej osób, nie zawsze spokrewnionych, mieszkających razem i współdzielących koszty codziennego życia.

Z danych Eurostatu wynika, że w Polsce w 2025 r. było 15,7 mln gospodarstw domowych, a jeszcze niemal dwie dekady temu – 12,7 mln. Ta liczba wzrosła nie dlatego, że jest nas więcej. Między 2006 a 2025 r. populacja Polski spadła z 38,1 do 37,3 mln mieszkańców. Mniej więcej o tyle, ile liczy dziś Kraków.

Mieszkamy wprawdzie w różnych warunkach, lecz wspólny dach obejmuje coraz mniej ludzi. Zwiększył się przede wszystkim udział gospodarstw jednoosobowych oraz tworzonych przez pary (w obu przypadkach niezależnie od liczby dzieci).

Najmocniej rosną gospodarstwa jednoosobowe: w 2006 r. stanowiły one 22 proc. wszystkich gospodarstw, w 2025 – już 35 proc. W tym samym czasie udział gospodarstw z dziećmi spadł z 37 do 25 proc.

Jeszcze rzadziej występują wielopokoleniowe gospodarstwa domowe, w których wspólnie zamieszkują osoby starsze i dzieci. W 2006 r. co 7. gospodarstwo domowe tworzyli seniorzy mieszkający wspólnie z dziećmi i wnukami, dziś jest tak już tylko w co 17.

I CO Z TEGO?

Jesteśmy zamożniejsi, bardziej niezależni, mobilni. Żyjemy bardziej komfortowo, później zawieramy małżeństwa, świadomie rzadziej decydujemy się na dzieci, żyjemy dłużej. Człowiek mieszkający sam też może mieć świetną rodzinę, przyjaciół i sąsiadów.

Demografia jest o tyle wyjątkowa, że jej skutki ujawniają się z opóźnieniem. Kiedy problem staje się widoczny w statystykach rynku pracy czy systemu emerytalnego, zwykle jest już za późno na szybkie odwrócenie trendu. Demografia nie działa w rytmie kadencji parlamentu, lecz pokoleń.

Im więcej gospodarstw jednoosobowych, tym wyższe koszty życia. Więcej śmieci i zanieczyszczeń. Więcej usług i towarów. Na krótką metę napędza to konsumpcję i wzrost gospodarczy.

ALE NA DŁUŻSZĄ…

…system emerytalny i zdrowotny mierzy się z narastającym obciążeniem.

Gdy członkowie rodzin mieszkają osobno, obowiązki nie znikają. Babcię zastępuje opiekunka, córkę lub syna – pomoc domowa i pracownik socjalny. Rodzina traci naturalne zaplecze, a na państwo spada następne zadanie.

Demografia ma też wymiar obronny. Mniej obywateli nie przesądza o słabości państwa, ale wyznacza granice jego możliwości. Nowoczesne armie bazują dziś bardziej na technologii niż na masowości, jednak nawet najbardziej zaawansowane państwa potrzebują odpowiedniego zaplecza ludnościowego.

Migracja może łagodzić niedobory demograficzne, ale jednocześnie nieuchronnie wpływa na krajobraz kulturowy oraz wymaga skutecznej i kosztownej polityki integracyjnej.

WSPÓLNY WYSIŁEK LUDZKI

Wraz z zanikiem zobowiązań rodzinnych słabnie jeden z najważniejszych mechanizmów uczenia odpowiedzialności za przyszłość ojczyzny. Nie chodzi o przymus wspólnego mieszkania ani o piętnowanie osób bezdzietnych czy samotnych.

Problem polega na tym, że naturalne mechanizmy budowania więzi społecznych – rodzina wielopokoleniowa, odpowiedzialność za dzieci, troska o starszych rodziców – drastycznie słabną.

Stawką jest to, by suma jednostkowych, na pierwszy rzut oka sensownych decyzji nie doprowadziła do zbiorowej niemocy.

Smartfony i media społecznościowe dają złudzenie połączenia, ale nie zastępują prawdziwych więzi ludzkich. Bez głębokiej zmiany w kulturze (priorytet rodziny i dzieci), polityce mieszkaniowej, rynku pracy i systemie wartości Polska dalej będzie demograficznie słabnąć.

Żadna, nawet najbardziej wyrafinowana technologia nie wychowuje dzieci, nie buduje zaufania między pokoleniami i nie przejmuje odpowiedzialności za wspólnotę. To wciąż nasze, ludzkie zadanie.

Katarzyna Zybertowicz

Autopromocja x2

eprasa.pl efcf109b2d

Małgorzata Gałka Małgorzata Gałka Małgorzata Gałka Małgorzata Gałka Małgorzata

wPolsce 24



MAŁGORZATA GAŁKA

PYTANIA O POLSKĘ

od poniedziałku do soboty o 20:05

„Czas na rozmowy, w których to nie politycy dyktują warunki, ale ja. Zadaję konkretne pytania i poruszam tematy, które nurtują Polaków – prosto, odważnie i zawsze w punkt".

Pytania o Polskę Pytania o Polskę Pytania o Polskę Pytania o Polskę Pytania o Polskę Pytania o Po

GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

52	909 921, 196	62	192	32	825	65 339, 121	459	631	43	EPG 825, EPG PON 257	YouTube
telewizja naziemna	polsat box	CANAL+	netia	orange	vectra	PLAY	inea	TOYA	evio	multiMedia	TelewizjawPolsce24

eprasa.pl efcf109b2d

wPolsce 24

Wierzbicki Biedroń

mówią jak jest



GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

52	909 921, 196	62	192	32	825	65 339, 121	459	631	43	EPG 825, EPG PON 257	YouTube
telewizja naziemna	polsat box	CANAL+	netia	orange	vectra	PLAY	inea	TOYA	evio	multiMedia	TelewizjawPolsce24

eprasa.pl efcf109b2d